

98
G. ZAPOLSKA

Utwory Dramatyczne

Utwory Dramatyczne



Библиотека домцова

GOLINSKICH

№

UTWORY DRAMATYCZNE.

Utwory Dramatyczne.

— Biblioteka domowa —

GOLINSKICH

IV.

№

98.



Gabryela Zapolska

WARSZAWA.

1910.

K. FISZLER.



101686

MĘŻCZYŻNA.

SZTUKA

w trzech aktach.

O S O B Y:

JULKA.

ELKA.

NINA.

KAROL.

Rzecz dzieje się w mieście.

AKT PIERWSZY.

Scena przedstawia nieduży pokój, bardzo czysto umeblowany. Po prawej i lewej drzwi— w głębi dwa okna. U okien muszlinowe czyste firanki, związane wstążkami. Biurko, półki z książkami, kanapa pod ścianą; przed nią stół, dwa fotele, krzesło, na stole lampa, pianino, parawanik, piec. Wogóle umeblowanie zacisza domowego. W chwili podniesienia zasłony scena ciemna — tylko w piecu się pali. Przed piecem siedzi JULKA, owinięta szalem i patrzy w płomień, który ją oświeca czerwono. Duża pauza. Zegar bije szóstą. Julka przebudza się z zamyślenia.

SCENA I.

Dzwonek. JULKA wstaje — idzie na prawo, otwiera drzwi do przedpokoju—wchodzi KAROL—ośnieżony i wychyla głowę z przedpokoju. JULKA powraca przedtem i szuka zapalek.

Karol. Cóż to? ciemno?

Julka. Szukam zapalek.

G. Zapolska. Mężczyzna.

Karol. Nie szukaj, mam je przy sobie.
(podaje zapalki przez próg — Julka bierze
i zapala lampę).

Karol (rozbierając się w przedpokoju).
Zimno, mróz!

Julka. Widzę to po szybach, całe w brylantach.

Karol (wchodząc). Ba!... gdyby tak naprawdę!... Moznaby spieniężyć.

Julka. Dziwna natura. Wiecznie pragnąć tego, czego się nie posiada.

Karol. Naturalnie (podaje jej rękę). Jak się miewasz, siostrzyczko!

Julka. Jestem zdrowa. Dziękuję. Cóż? jak tam w redakcyi?

Karol. Nic nowego. Sama sieczka. Ciężar takiej bezproduktywnej pracy wyniszcza mię. Przytem...

Julka. Niema nieproduktywnej pracy.

Karol. Frazesy. Wogóle, ty, Julio, rzucaś frazesami.

Julka. Zależy od tego, co kto nazywa frazesami.

Karol. Przytem masz dziwne upodobanie przeczyć mi ciągle.

Julka. Trudno — nie mogę padać przed tobą na kolana. Musisz się z tem pogodzić, że i ja — kobieta, mam swoje zdanie.

Karol (grzejąc się przy piecu). Jesteś feministką.

Julka (spokojnie). Proszę cię — nie mów o tem, czego nie rozumiesz.

Karol. Daruj mi. Pisałem niedawno cały artykuł w kwestyi feminizmu.

Julka (wzruszając ramionami). Można pisać artykuł a mimo to nie znać tematu, o którym się pisze.

Karol. Czy chcesz, żebym wziął kapelusz i poszedł?

Julka. Cóż znowu! Elkaby mi tego nigdy nie przebaczyła.

(Chwila milczenia. Karol podchodzi ku Julce i staje naprzeciw niej).

Karol. Julko!

Julka (jakby wyrwana z zamyślenia). Słucham cię, Karolu!

Karol. Ty mię nie lubisz, Julio!

Julka. Mylisz się.

Karol. Lubisz mię?

Julka. Nie.

Karol. A więc?

Julka. Jesteś mi obojętnym.

Karol. Wolałbym, ażebyś mnie nie lubiała.

Julka (z uśmiechem). Postaraj się o to.

Karol. Zdaje mi się, iż próżne byłyby moje starania. Ty wogóle nie potrafisz nikogo ani kochać ani nienawidzić. Zamało masz temperamentu, Julko—zamało temperamentu!

Julka. Dla mnie wystarczy. I wiesz, gdy patrzę na ciebie, na Elkę, jak was dręczy ten temperament, którym się szczycisz, wolę moją zimną krew rybą.

Karol. Jeżeli pójdziesz za mąż — żałuję twego męża.

Julka. Przedewszystkiem nie wyjdę nigdy za mąż.

Karol. Feminizm!

Julka (ostro). Prosiłam cię raz, żebyś nie mówił o tem, czego nie rozumiesz.

Karol. Więc dlaczego nie chcesz iść za mąż?

Julka. Bo małżeństwo nie jest dla mnie szczytem szczęścia. Ja mam o tem wyrobione zdanie.

Karol. Teoryę!

Julka. Przykłady. Dość spojrzeć na ciebie.

Karol. A...

(Milczenie).

Julka. Daruj mi! nie chciałam ci zrobić przykrości.

Karol. Zapomniałem na chwilę o mojej obroży. Tak... masz rację. Małżeństwo często jest przegraną. Mimo to jednak...

Julka (wpadając w ton). Chcesz się żeni z Elką.

Karol. A! to będzie zupełnie co innego.

Julka. Tak sądzisz?

(chwila milczenia).

Julka. Jakże stoją twoje sprawy?

Karol (cichym głosem). Źle!

Julka. Znów była przesłuchiwaną?

Karol. Znów!... I zawiadomiono mego adwokata, że zeznania jej są tego rodzaju, iż niema żadnych punktów do rozwodu! A bez niej, bez jej pomocy nie dojdziemy nigdy do celu. Zarzutów przeciw jej moralności nie mam prawa czynić. Ona tak samo co do mego prowadzenia się...

(Julka podnosi głowę i patrzy na niego uparcie).

Karol. Dlaczego tak na mnie patrzysz? Czy z powodu mego stosunku do twojej siostry. Nic mi przecież zarzucić nie można. Jakkolwiek nas to dużo kosztuje, nie przekroczyliśmy granic dozwolonych narzeczonym. Wszak o tem nie wątpisz, Julio?

Julka (oschle). Radabym, żebyś mnie uwolnił od podobnych zwierzeń.

Karol. A przepraszam cię. Zapomniałem, że z wielką uroczystością obnosisz swoją szatę Westalki. Sądziłem, że mówię przed kobietą—widzę, iż mam do czynienia z marmurowym blokiem.

Julka. Mylisz się, Karolu. Nie obnoszę uroczyście swojej szaty Westalki, ale sądzę, że ty i Ela nie powinniście zdawać sprawy ze swych czynności przed nikim, ani prze-

demną, ani przed światem. Czy ja spowiadam się kiedy przed wami z moich czynności?

Karol. O! ty żyjesz w abstrakcyach. Twój świat cały kończy się na izm—feminizm, socyalizm.

Julka (powstając). Czy pragniesz czekać na Elkę?

Karol. Chciałem ci tylko powiedzieć, że nie powinnaś być taką, jaką jesteś. To cię doprowadzi do czegoś złego. Zostaniesz nałogową działaczką a to najfatalniejsze.

Julka. Najfatalniejszym jest być—niczem, zerem albo przeciętnym mężczyzną lub przeciętną kobietą.

Karol. Do jakich mię zaliczasz?

Julka (obojętnie). Do tych... przeciętnych.

Karol. Dlatego, że twoich czerwonych nie podzielam poglądów?

Julka. Dlatego, że jesteś... bezbarwnym.

Karol. Dobrze mi z tem.

Julka. Zapewne. Najłatwiej w takim razie dostać możesz miejsce. W każdej redakcyi chętnie cię wezmą. Nie jesteś skompromitowany.

Karol. przyznaj jednak, że chcielibyście mnie mieć w swojej partyi. Jestem sprytny, inteligentny...

Julka (zimno). Twój spryt i inteligencya na wieleby się nie przydała. W naszej par

tyi inteligencya musi być na czemś więcej oparta.

Karol. Na czemże?

Julka. Przedewszystkiem na sile charakteru, na równowadze moralnej, na zupełnym braku chwiejności w dążeniach i upodobaniach.

Karol. Zdaje mi się, że ja chwiejny nie jestem.

Julka. Mam wręcz przeciwne dowody.

Karol. Czy mówisz o mojem rozstaniu się z żoną? Ależ to jest objaw czysto uczuciowy. Przekonania społeczne nie mają nic z tem wspólnego.

Julka. Mylisz się. Człowiek musi być całością — i wszystkie jego uczynki czy w dziedzinie sentymentu, czy w działalności, obejmującej społeczne horyzonty, łączą się ze sobą.

Karol (zrywa się z miejsca i chodzi niepokojnie po pokoju, po chwili staje przed Julką). A więc po prostu czynisz mi zarzut, iż będąc żonatym pokochałem twą siostrę?

Julka. Nie — ale, żeś nie miał siły charakteru tę miłość w sobie stłumić.

Karol. Sądzisz jak ślepy o kolorach. Nie wiesz nawet co jest serce.

Julka. Każdy ma serce jakie sobie wychował.

Karol. Jakie sobie wychował? To frazes. Serce w nas się wpierw budzi, niż rozum. A więc serce wychowuje rozum.

Julka. Jeśli mamy mówić logicznie, to zważ, iż najpierw budzą się w nas... zmysły. Te więc, według twojej teoryi wychowują serce a serce zmysłami przepojone—rozum.

Karol. U ciebie w każdym razie jest wszystko naopak. U ciebie zbulżił się rozum...

Julka. I ten wychował serce. Dlatego ja w uczuciach moich rządę się rozumem.

Karol (z wybuchem). A ja zmysłami!

Julka (zimno i poważnie). A ty zmysłami. I pamiętaj co ci mówię w ten zimowy wieczór. To, co bierzesz za uczucie serdeczne w tej chwili, to tylko pragnienie zmysłów, nic więcej.

Karol. A więc, według ciebie, ja jestem jeszcze w pierwszym stadium? Ani serca, ani rozumu—nic—tylko zmysły?

Julka. Takie jest moje przekonanie.

Karol (gwałtownie). Jest błędne.

Julka. Być może.

(Julka idzie do okna — opiera czoło o szybę i tak pozostaje nieruchoma).

Karol (chodząc po pokoju, staje przy stole i przegląda leżące ćwiartki papieru). Co to jest takiego?

Julka (przy oknie). Gdzie?

Karol. Tu na stole.

Julka. Mój dzisiejszy wykład.

Karol. Gdzie?

Julka. W czytelni na przedmieściu.

Karol. Czy można przejrzeć?

(Chce sięgnąć i wyjmuje notatnik).

Julia. Czy taka posucha w kronice waszego pisma, że aż sięgasz do ubożuchnej skarbonki ludowych światełek?

Karol (zamyka notatnik i chowa go do kieszeni). Rzeczywiście chciałem zrobić małą wzmiankę.

Julia. Byłbyś mi tem zrobił wielką przykrość.

Karol. Wiem! wiem! I rozumiem. Jesteś za dumną w swojej skromności. (Podchodzi ku niej i staje przy oknie). Wiesz — ja ci kiedy zrobię figla... Ogłoszę z tobą interwiew.

Julka (odwraca się ku niemu szybko i patrzy z gniewem). Nie zrobisz tego!

Karol. Dlaczego?

Julka (nizkim głosem). Bo cię znienawidzę.

Karol. Dobrze, że wiem, jak mogę choć nienawiść wzbudzić w tobie.

Julka (oparta na oknie z jednej strony — on z drugiej). Nie staraj się lepiej wzbudzać we mnie nic dla siebie. To będzie bezpieczniej (słychać zgrzyt klucza). Elka!

S C E N A II.

JULIA, ELKA, KAROL.

Karol. Wreszcie!

Elka (wbiega do pokoju, młoda blondynka ubrana skromnie, ciemno, ośnieżona — wpada szybko i zarzuca Karolowi ręce na szyję). Stęsknił się?

Karol (całując ją namiętnie). Stęskniła się?

Elka. Mój! mój!

(całując się).

Elka (w objęciach Karola). Czemuż patrzysz tak na nas, Julko?

Karol. Jej profesorska mość bada termometrem swego rozumu stopień ciepła naszych serc.

Julka. Frazes długi, źle złożony i fałszywy. Serce tu nie ma nic do czynienia.

Elka (z wyrzutem). Znowu?

Julka. Zawsze!

(Siada przy stole i zaczyna układać kartki odczytu. Karol i Elka przechodzą na drugą stronę sceny. Elka zdejmuje żakiet — czapkę — Karol to wszystko odnosi aż do przedpokoju).

Elka. Kochasz?

Karol (całując ją). Kocham!

Elka. Jak mocno?

Karol (j. w.) Z całego serca!...

Elka (prawie mdlejąc od jego pocałunków). Ja także.

(Spogląda w stronę Julki).

Elka (śmiejąc się). Pst!... cicho, starsza filozofuje.

Karol (ironicznie). Na temat społeczny. Nie przeszkadzajmy.

Elka. Pocałuj!

(Julia patrzy na nich).

Elka. Przeszkadzamy ci?... Biedna starsza. (Biegnie ku niej i całuje ją). Och! jakież ty masz zimne usta.

(Julka nic nie odpowiada tylko patrzy na nią).

Elka. Patrzysz na mnie z takim wyrzutem! Julko, pozwól mi być szczęśliwą!

Karol. Chodź tu, Elko, do mnie, nie przeszkadzaj Julce w pracy.

Elka. Zaraz... mam sposób... (Chwyta za parawan i zasłania Julię parawanem. Teraz, siostrzyczko, będziesz pracować w spokoju.

Julka (z ironią). A!... więc to tak z troskliwości o mój spokój?

Elka! Niedobra jesteś.

(Biegnie do Karola siada na małej sofce i pociąga go ku sobie).

Elka gorąco). Siadaj przy mnie. A jeśli masz złą nowinę, nie mów mi o tem zaraz. Pozwól mi być szczęśliwą, wesolą i cieszyć

się tobą i twoją pieśczętą. (Tuli się do niego namiętnie). Och! ty... drogi!...

Karol. Jakżeś ty zbladła!

Elka (z bezwiedną namiętnością). Nic... nic... nie uważaj... Tak mi dziwnie, coraz dziwniej, gdy jestem przy tobie. Jest mi błogo a zarazem ta błogość aż ból mi sprawia. Cierpię a jestem szczęśliwa. To straszne uczucie... (Po chwili). Dlaczego mnie nie całujesz?

Karol (odrzucą ją lekko). Elko! droga Elko... muszę ci oznajmić coś, co cię zasmuci.

Elka (blednąc). Och!... zgaduję... znów zwłoka.

Karol (szybko). Tak... tak... tylko zwłoka... nie innego.

Elka (z wybuchem). Och zła, zła, nikczemna kobieta! Tak nas dręczyć, trzymać po prostu na uwieży. O co jej chodzi? Wszak powinna zrozumieć, że ty do niej nie wrócisz. Ona nie ma serca!

Karol. Powiedziałaś prawdę. Ona nie ma serca i to jest jej cała wina. Właśnie dlatego, że nie miała serca, przestałem ją kochać. Zamiast serca, ta kobieta miała modny kapelusz, modną suknię — strój! strój, zabawa, rozrywka, fixy, flirty, bale... oto było wszystko.

Elka (po chwili). Dlaczego ty się z nią ożeniłeś?

Karol (niechętnie). Tyle razy ci to tłumaczyłem.

Elka. Ja nigdy tego pojąć nie mogę. Ty, taki rozumny, taki... wielki... i żenić się z taką... lalą.

Karol. Estetyczne wrażenia... zgubił mnie mój artyzm...

Elka. Nie rozumiem.

Karol (ironicznie). Nina... to jest „ona“ była zawsze taka śliczna, taka kształtna, taka uczesana, taką miała buzię, napatrzeć się na nią nie mogłem. Było w niej coś z Primavary Boticellego, ubranej w terazniejsze szaty. Ja byłem wówczas zacięłym prymitystą i szukałem wszędzie preraphaelizmu. Natknąłem się na taką żyjącą Primaverę i ożeniłem się z nią. Głupie? co?

Elka (zasmucona). Ciężko mi zrozumieć to wszystko, coś powiedział... ale... jedno tylko wiem. Ona była piękną i pięknie ubraną.

Karol. Tak, ona była tylko piękna i tylko pięknie ubrana. He, he... to chyba za mało.

Elka (smutno). A jednak było dosyć, ażebyś ją pokochał.

Karol. Nie — to było dosyć, ażebym ją przestał kochać... Co ci się stało?

Elka. Smutno mi.

G. Zapolska. Mężczyzna.

Karol. Czy powiedziałem coś takiego, co ci smutek sprawia?

Elka (ze łzami). Tamta była piękna i pięknie ubrana. Ja jestem prawie brzydka i noszę takie ciemne, biedne sukienki.

Karol (z wybuchem). Ależ ty jesteś inną, ty jesteś moją najdroższą i najpiękniejszą dziewczynką... Ty właśnie pociągnęłaś mnie ku sobie twoją skromniuchną biedotą, bo ja wiedziałem jakie serduszko spotkałem w ten zimowy wieczór... pamiętasz? co? Zjawiałaś mi się jak biały posążek. Śnieg cię opadł całą — na włosach miałaś białe gwiazdeczki, spudrowaną byłaś jak markiza jaka albo jak aniołek, który wprost z obłoków leci. A mnie było smutno tego wieczora, a mnie było ciężko, a mnie brakowało serca... tak, że byłbym wył prośbą o to serce... no i ty mnie jakoś nie odepchnęłaś i dobrze zrobiłaś...

Elka. Tak... ale jaką ci się ja muszę po tamtej wydawać. I sama wyglądam tak nędznie i tu tak biednie...

Karol (oglądając się). Tu? ależ to dla mnie pałac. Tu zupełnie inaczej niż u mnie w domu. Ja się tej szóstej godziny doczekać nie mogę... Wasz dom cichy i ciepły — przedstawia mi się jako oaza, do której spieszę. Często, kiedy w redakcyi albo w knajpie siedzę, to mi się to wszystko przed oczy nasu-

nie i tak pragnę być już u was! (zaczyna chodzić po pokoju włożywszy ręce w kieszenie. Zbliża się do Elki). Chciałbym tu mieć swój home, swoje gniazdo... Tu jak lampa ofiarna płonie serce kobiece... (zbliża się do Elki). Zrozum, Elko... serce kobiece. Ja tego tylko chcę od ciebie—nie więcej! Tylko to, co serce dać może. Spokój, cisza, kąt domowy. Tam o! tam! u niej ja nie miałem kąta... Wszystko było za nowe, za ładne, wszystko poustawiane modnie a zimno było wiecznie — zimno moralne i fizyczne, albo znów nerwy! nerwy! A ja cóż? cóż... jestem mężczyzną, muszę mieć koło siebie w domu atmosferę ciepłą... Ja byłem tam gościem, niezem więcej tylko gościem. Lekceważono mnie i moją pracę i mój umysł i wszystko... Więc co dziwnego, żem poszedł? co?

Julka (która od chwili przypatrywała mu się, odsunawszy parawan). Ile upłynęło czasu od chwili, kiedyś poznał swą żonę, do waszego ślubu?

Karol. Trzy miesiące.

Julka. Mówisz mi, że masz spryt, więc musisz mieć i zmysł obserwacyjny — powinienś ją był obserwować.

Karol. Zaslepił mnie... Botticelli.

Julka. Twoja tedy wina.

Karol. A nie! wiecie, to już za dużo!... Moja teraz wina, że się taka lalka zamaskowała.

Julka. Czy Nina mówiła ci, że ma serce? Czy żądałeś od niej jakiego dowodu na to, że ona ma to serce!

Karol. Poszła za mnie!

Julka. Może i ją co zaślepiło... o! nie Boticelli, bo tobie chyba do Primavery daleko, ale mogło ją zaślepić stanowisko współredaktora, potem pewien niedbały szyk, który posiadasz.

Elka. Bronisz ją!

Julka. Niech mnie Bóg zachowa. Ja bronię tylko kobiety przed zarzutami mężczyzny. Mówię ogólnie (zbiera swoje papiery). Idę się ubierać. Czy cię tu jeszcze zastanę, Karolu?

Karol. Muszę być dziś jeszcze w redakcyi... Być może jednak, że później wpadnę.

Julka. A więc dowidzenia!

(Wychodzi na lewo).

SCENA III.

KAROL i ELKA

Karol (patrząc za nią). Odetchnąłem!

Elka. Dlatego, że Julka wyszła?

Karol (znudzony). Jej obecność mię męczy.

Elka. Mnie także. Ale ja to co innego. Ona mi tak imponuje swoim rozumem. Ona dużo umie. Ciągłe po nocy czyta. Ją rodzi-

ce kształcili... Mnie już nie. Mówili, że jestem tupa i że szkoda na mnie pieniędzy. A potem mama nieboszczka myślała, że ja będę ładna i że łatwo wyjdę za mąż, mówiła zawsze, że ja jestem stworzona na żonę i na matkę dzieci. Ja później tak zbrzydłam.

Karol. Ależ ty jesteś śliczna!

Elka. E! taka jestem czerwona — mam taką okrągłą twarz. Tam u nas w agencji, to się zawsze ze mnie śmieją.

Karol. Dla mnie jesteś piękna i mądra, dobra i wszystko — ty moja dziewczynko.
(Z wzrastającą namietnością — mówią coraz ciszej — prawie szeptem — słowa im więzną w gardle).

Elka (nieśmiało). Naprawdę?

Karol. Naprawdę.

Elka (naiwnie). Daj słowo honoru — bo jak mężczyzna daje słowo honoru, to nigdy nie kłamie—prawda?

Karol. Prawda. Więc daję ci słowo honoru, że kocham cię nad życie i że wydajesz mi się najpiękniejszą i najpiękniejszą istotą na świecie.

Elka. Taką... jak ty powiedziałeś... „prima“... (zasmucona) widzisz... jaka ja jestem głupia, powtórzyć nawet nie umiem.

Karol (pieszcząc ją). Taka „primavera“... Taka wiosna, przy której serce odżywa. Ty

umiesz roztoczyć takie serdeczne ciepło... ty... droga... Tak serdeczne ciepło... Pójdę już ztąd Elko!

Elka (cicho). Dokąd?

Karol (jak błędny). Pójdę pisać do redakcyi. Muszę jeszcze dać na jutro coś przed kronikę. Sobotni numer musi być staranniej redagowany. No... bądź zdrowa, jedyna małutka moja!... może jeszcze zajrzę...

Elka. Przyjdź! Julka i tak późno dziś wróci...

Karol. Cóż! kiedy do was po dziesiątej przyjść nie można. Mam tyle jeszcze pisać (z wybuchem). Gdybym miał rozwód i był twoim mężem, pisałbym w domu. Miałbym o tu—biurko—o tu fotel—i siedziałbym przy tobie spokojnie i cicho. Czuje, że w takiej atmosferze serdecznej zdołałbym pracować lepiej, artystyczniej. Dałbym coś za ciebie ze swej duszy. Tam w redakcyi pusto, urzędowo, smutno a ja jestem człowiek serca... rozumiesz, Elko? serce przede wszystkim. No... bądź mi zdrowa! Daj mi usta na pożegnanie!...

SCENA IV.

JULKA i ELKA.

(Elka chwilę stoi jak nieprzytomna — potem zwolna stara się przyjść do siebie, rozpina

u szyi kołnierzyk, idzie do okna i próbuje otworzyć lufcik).

Julka (wchodzi, ma na rękę żakiet i w ręku kapelusz). Co tam robisz przy oknie?

Elka. Duszno mi, gorąco... chcę zaczerpnąć powietrza.

Julka (ironicznie). Nie ochłodziś się — zaziębisz się tylko, nie więcej.

Elka (kręci się po pokoju, przez chwilę poprawia lampę, wreszcie pada na krzesło i wybucha płaczem). Boże, mój Boże! kiedy się to skończy!...

Julka (spokojnie). Od was tylko zależy.

Elka. Przecież słyszysz, że jego żona nie chce się na rozwód zgodzić, że znów zeznaniami sparaliżowała jego zabiegi.

Julka (zimno). A więc rozstańcie się.

Elka (zrywa się). Julko! Julko, coś ty powiedziała? my rozstać się. Czyż my możemy żyć bez siebie.

Julka. Ty, nie wiem, ale, że on bez ciebie może żyć, to więcej niż pewne.

Elka. Ciągłe zniechęcasz mnie — robisz wszystko, ażeby wmówić we mnie, że on mnie nie kocha.

Julka (spokojnie). Bo on cię nie kocha!

Elka (gniewnie). Zła, zła! — widziałaś przed chwilą jaki był dla mnie, jak mnie całował — jak mówił, że ja mu serce daję i spokój.

Julka (obojętnie). To nie jest miłość.

Elka (szybko). Zazdrość przez ciebie mówi—nie więcej.

Julka (z wyrzutem). Elko! Elko!

Elka (po chwili). Dlaczego mnie doprowadzasz do tego? Widzisz przecież, co się ze mną dzieje. Widzisz, że jestem chora, że jestem w gorączce. Patrz! patrz! jak mi twarz płonie. Tak cały dzień; kiedy go nie ma, to zdaje mi się, że ja jestem obłąkana... czekam tylko, kiedy on przyjdzie... Och jestem nieszczęśliwą!...

Julka. Wierzę ci, że jesteś nieszczęśliwą.

Elka. A przecież, przecież nie chciała-bym, za nic wrócić do tego, co dawniej było. Mnie się zdaje, Julko, że ja dawniej spałam, że się zbudziłam — że dopiero teraz żyję... (patrzy na zegar). Która godzina?

Julka. Zajmij się czem. Masz książki—czytaj!

Elka. Nie mogę! nie mogę! (chodzi po pokoju). Zresztą... ja dziś coś zrobiłam stanowczego. Kto wie—Kto wie!...

Julka. Elko! coś ty zrobiła takiego?

Elka. Nic tak dalece głupiego. Tobie się zdaje, że ja jestem bardzo głupia i nie już mądrego nie wymyślę. Ale w obronie naszego szczęścia, to kto wie, na co ja się zdobyć mogę.

Julka. Lękam się, ażebyś właśnie bronić swego szczęścia, nie zburzyła go po prostu.

Elka. Otóż nie!... Dziś mi przyszło tak nagle do głowy... Zresztą—powiem ci wszystko. Dusi mnie ta tajemnica (po chwili) ...Ty wiesz—ja napisałam do niej...

Julka (przeżrana). Do jego żony?

Elka (szybko). Tak. Napisałam jej wszystko. Napisałam, że się kochamy, że jesteśmy bardzo nieszczęśliwi — że on nigdy do niej i tak nie wróci i że lepiej niech ona zezna już w konsystorzu jak potrzeba. Bardzo ją nie prosiłam, bo mam przecież ambicję, ale dobrze napisałam. Moje przyjaciółki z agencji powiedziały, że bardzo dobrze napisane.

Julka. Ja byłabym ci ten list odradziła.

Elka. Tak... pewnie... Dlatego też ja wolałam ci nic nie mówić. Co ty chcesz? Ja jestem prostą, serdeczną dziewczyną i kieruję się sercem. Tak Karol mówi i za to mnie kocha.

Julka (poważnie i ironicznie). Za co cię Karol kocha, dowiesz się trochę później. Co zaś do twego listu, nie wiem jaki będzie jego skutek.

Elka. Przeczucie mi mówi, że będzie dobry.

Julka. A mnie rozum mówi, że będzie zły. (Dzwonek).

Elka. Kto to być może? Czyżby Karol?

Julka. Karol w redakcyi, to ktoś obcy.

Elka (strwożona). Idź—otwórz! ja się czegoś boję.

Julka. Jeśli to twoje nieszczęście, to ono cię i tak znajdzie.

(Bierze świecę, zapala, idzie do przedpokoju, otwiera drzwi, po chwili wchodzi do pokoju i mówi trochę zmienionym głosem).

Julka. Proszę, racz pani wejść!

SCENA V.

(Wchodzi Nina, ubrana nadzwyczaj iście i pięknie, blondynka, nerwowa, z włosami uczesanemi à la Boticelli).

Nina (nerwowo). Czy panie Koreckie?...

Julka. Tak.

Elka (zmieszana do Julki). To ona.

Julka (cicho, spokojnie). Wiem o tem.

Nina (dość impertynencko). Która jest... młodsza?

Julka. Pani daruje — siostra moja musi nas opuścić. Jest chora. Ja sama się z panią rozmówię.

Nina. A... więc to „tamta“?

Julka (z godnością i ostro). Tak... właśnie... to „tamta“ (do Elki). Idź, Elko, do

sypialni. Masz gorączkę. W razie potrzeby przywołam cię.

(Elka posłuszna wychodzi dławiąc łzy).

Nina (ironicznie). Siostra pani odważniejszą jest, pisząc list, niż w rzeczywistości.

Julka (zawsze spokojnie). Siostra moja jest jeszcze dzieckiem trwożliwym i nieumiejącem dać sobie rady, wobec tragedyi, w którą ją los postawił.

Nina (ciągle szydersko i gniewnie). Ładne dziecko!... romans z żonatymi ludźmi zawiązywać potrafi...

Julka (ostro). Milcz pani! Czy przyszłaś po to, by nas obrażać?

Nina (szarpiąc nerwowo boa). Przyszłam po to, aby wam ustnie odpowiedzieć na to szkolne wypracowanie, które mi dziś rano posłaniec wręczył. Nie bawię się w kompromitujące pisaniny — zwłaszcza, gdy nie wiem w jakiego to rodzaju ręce list mój się dostanie. Przyszłam...

Julka. Przepraszam, ja pani teraz przerwę. Przyszłaś pani poprostu dlatego, że sądziłaś, że zastaniesz tu swego męża i że będziesz mogła, użyjmy tego szablonowego słowa—zrobić mu tu „scenę“. Czy się mylę?

Nina. Jakiem prawem mnie pani badasz?

Julka (spokojnie). Czy się mylę?

Nina (zmieszana, spuszczaając z tonu). Dziwna z pani kobieta...

Julka (po chwili wpatrując się w oczy Niny). Kochałabyś pani jeszcze swego męża? (Nina nerwowo otwiera kilka razy usta, jakby chciała odpowiedzieć, wreszcie pociera ręką po czole i ogląda się za krzesłem).

Julka. Usiądź pani!... Tak!... napij się pani wody!... (daje jej krzesło — Nina siada, Julka jej podaje wodę). Teraz będziemy mówić (siada po drugiej stronie stołu, światło lampy pada na twarz Niny). O ile widzę jesteś... pani... kłębkim nerwów.

Nina (usta jej drżą, powieki zasłaniają się mimowoli). Wistocie — jestem bardzo nerwowa.

Julka. Cóż więc dziwnego, że i czyny pani są nieświadome, nieobliczone, nerwowe. Przyszłaś pani tu za popędem nerwów, nie obliczając jakie konsekwencje mogą z tego wynikać.

Nina (coraz więcej się denerwuje). Ja byłam dość długo cierpliwą... ja nigdy nie zwracałam się do pani, choć przyznasz pani, że miałam prawo czuć się strasznie dotkniętą waszem postępowaniem. Panowałam o ile mogłam nad swemi nerwami i mówiłam sobie — „e! To przelotna miłostka, co tam taka...” (miarkując się) przepraszam panią.

Julka (spokojnie i grzecznie). Mów pani dalej — ja umiem wejść w pani położenie

i rozumiem stan twoich nerwów. Słucham panią dalej.

Nina (coraz więcej tracąc ton impertynencki, z jakim przyszła, lecz coraz więcej nerwowo). Mówię, że... zaraz... w głowie mi się już po prostu miesza... Pani siostra swym listem wprowadziła mnie w stan takiego rozdrażnienia, że był u mnie dwukrotnie doktor i uspokoić mnie nie mógł. A więc, sądząc, że to jest przelotna miłostka... czekałam. Tymczasem z listu siostry pani widzę, że się na coś innego zanosi. Pani siostra rości sobie jakieś pretensye... Żąda, ażebym ja popierała rozwód... Tego już nadto!... (Ożywiając się nerwowo). Ja na to nigdy nie przystanę. Ja mam prawo do Karola, prawo, które mi nadało moje z nim małżeństwo i od niego nie ustąpię!

Julka zimno). Tylko spokojnie. Inaczej nie dojdziemy nigdy do porozumienia. Pani mówi ciągle o swoim mężu. Ale... pan Karol nie jest już mężem pani.

Nina (gwałtownie). Jakto? rozwód przecie nie dany i danym nigdy nie będzie.

Julka. Tak... rozwód formalny... Ale w rzeczywistości z chwilą, gdy mąż pani odszedł od niej, duchowo i fizycznie przestałaś być żoną jego. I wtedy to mąż pani spotkał moją siostrę i zaczął bywać w naszym domu.

Nina. Gdyby nie ona, byłby — do mnie powrócił.

Julka. Mylisz się pani. Karol nigdy byłby do pani nie wrócił.

Nina. Zkąd pani możesz wiedzieć o tem?

Julka. To mniejsza, dość, że wiem. Słuchaj pani teraz uważnie. Być może, że po raz pierwszy w życiu ktoś — jakaś druga kobieta ośmieli się tak brutalnie powiedzieć ci całą prawdę. Musisz mieć dokoła siebie cały tłum ludzi, przyznających ci słuszność i łudzących cię nieuczciwie. A więc — zapamiętaj co ci mówię. Ty — grałaś na nerwach swego męża. Granie na nerwach musi być twoją silną stroną. Zresztą, wszystko w tobie jest stworzone i tak się składa, aby grać na nerwach ludzkich a zwłaszcza męzkich. Twoja postać, głos, ruchy, spojrzenie, strój — twój sposób bycia — szarpie nerwowo. A mężczyzna bierze to za miłość.

Nina (słuchając mimowoli). Niech pani mówi dalej...

Julka. Ale nerwy przywykają łatwo tak do środków uspakajających jak i podniecających. Mąż pani przywykł nerwowo do pani i przestałaś na nim robić wrażenie. Ale poza nerwami nie miałaś pani dla niego nic więcej...

Nina (szybko). Dlaczegoż ja miałam się o to starać, on powinien się starać przywiązać mnie do siebie.



Julka. Skoro się jest egoistką — to najlepiej z mężczyznami nie zaczynać i trzymać się od nich zdaleka. Ja jestem egoistką i dlatego zostanę starą panną. Ale o to nie idzie. Chcę panią przekonać, że mężowi pani źle było w domu. Podbiłaś go wdziękiem i strojem, ale utrzymać go powinnaś czemś innem. Tymczasem jemu w domu było... zimno... on sam o tem mówił.

Nina (głupio). Nie mogłam kazać palić w piecach dwa razy dziennie: od tego cera się psuje.

Julka (z uśmiechem politowania). Jak pani go nie rozumie nawet i teraz. Ja i on myśleliśmy o cieple moralnem, nie o paleniu w piecu.

Nina (która ze wstydem pojmuje głupotę). A!... (po chw.) Ale to egzaltacya... to wszystko dobre w książkach... Zresztą, chyba nie siostra pani może otoczyć go tą wyższością umysłową—dość przeczytać jej list...

(Rzuca list na stół).

Julka. Do siostry mej ciągnie go co innego.

Nina. Ciekawa jestem co takiego?

(Julia milczy).

Nina (gryząc usta). Brzydka... ordynarna... (podniecając się nerwowo) tak, brzydka...

Julka. Nie denerwuj się pani.

Nina (uderzając nogą o ziemię). Brzydka mówię!... A zresztą... jakie pani prawo masz mówić mi impertynencye? spowiadać mnie? To ja przyszłam was oskarżać, was sądzić — a pani mnie czynisz winną i stawiasz na pręgierzu. To za wiele! Za dużą krzywdę mi robić chcecie. Ale przerachowałyście się... nic z tego nie będzie. Siostra pani schowała się teraz ze strachu przedemną! Naturalnie! Może pani jej jednak powiedzieć, że ja nie ustąpię, na rozwód się nie zgodzę nigdy!... nigdy!... nigdy!...

Julka (spokojnie). Należałoby słowo „nigdy“ usunąć zupełnie z mowy ludzkiej.

Nina (w pasyi). Pani ośmielasz się drwić ze mnie?

Julka. Broń Boże! Tylko ja jestem spokojna i to moja wyższość nad panią.

Nina (j. w.) Panina wyższość? Tego tylko brakuje! Ja wogóle nie wiem, po co ja z panią mówię.

Julka (z uśmiechem). Ażeby sprawić ulgę swoim nerwom.

Nina (drżąc cała nerwowo). Wszystko jedno. Zapowiadam jednak, że zgody mej na rozwód nie uzyskacie. Będę się bronić do ostatka. Wy możecie ze swej strony robić, co wam się podoba.

Julka (spokojnie). My nic nie będziemy robić. My będziemy czekać.

Nina. Nie doczekacie się nigdy! A jeżeli chcecie, żebym wam powiedziała prawdę...

Julka. Daj pani pokój! Zacznesz za chwilę mówić rzeczy brzydkie i szablonowe. To nie harmonizuje z pani postacią.

Nina (dławiąc się pasyą). Jesteś pani impertynentką! Bądź panna zdrowa!

Julka (grzecznie). Żegnam panią!... (bierze świecę). Pozwoli pani, tam ciemno...

Nina. Sama trafię.

(wybiega, słysząc trzask drzwi).

SCENA V.

JULKA i ELKA.

Elka (wybiega strwożona i tuli się do Julki). Słyszałam wszystko! Julko, to zła kobieta.

Julka (zimno). Nie — ona jest także nie-szczęśliwą. Trzeba być, sprawiedliwą, Elko.

Elka (cicho). Julko!... słyszałaś? ona go jeszcze kocha.

Julka (spokojnie). Kocha go — nerwami, ale kocha.

Elka. W każdym razie mniej odemnie. Prawda Julio?

Julka (j. w.). Trudno to osądzić, Elko.

Elka. Nazwała mnie brzydką, ordynarną. Wyśmiewała się z mego listu. A przecież ja tak płakałam, kiedym go pisała.

G. Zapolska. Mężczyzna.

Julka. Właśnie dlatego był śmiesznym. To, co dajemy światu przez łyzy, wzbudza zwykle śmiech... Zechcesz kogoś rozrzewnić, śmieć się tworząc. Zapamiętaj to sobie.

Elka. Jakże ja mogłam śmiać się, kiedy całe życie się przedemną łamie! Bo co ja teraz pocznę? co?... Mnie dziś jedna z panienek w agencji powiedziała coś, co mnie bardzo zaniepokoiło. Ona miała także takiego niby narzeczonego. Nie mogli się pobrać, bo on miał dużo długów i strasznie za nim żydzi chodzili. Więc oni czekali i on do niej przychodził — niby jak Karol do nas. Ale że to tak było Bóg wie jak długo, on się znudził i znalazł sobie inną a ją porzucił. Czy to możliwe, Julko?

Julka (wybiera się powoli). To bardzo możliwe, Elko!

Elka. On mnie także może porzucić! Jemu się to także może sprzykrzyć — prawda?

Julka. Prawda.

Elka (chodzi gorączkowo, łamiąc ręce). Co począć? có począć?... (po chwili). Najwięcej mi się rozchodzi o to, że on tak pragnie jakiegoś spokoju, jakiejś ciszy, jakiegoś dachu nad głową. Ot... dziś—mówił—gdybym miał tu fotel, tu biurko — pisałbym szczęśliwy... Tak! o to mi się rozchodzi! Chciałabym

go tak czemś przywiązać do siebie. Co tu począć?...

Julka (ubrana do wyjścia patrzy na Elkę z politowaniem i mówi). Biedne dziecko!

Elka (nagle zalewa się łzami). Tak! tak! biedna ja... biedny on!.. Julko, daj mi jaką radę.

Julka (smutnie i spokojnie). Nie, Elko... ja ci żadnej rady dać nie mogę.

Elka (czepiając się jej rąk). Dlaczego? przecież ty jesteś moją siostrą.

Julka (jeszcze smutnie). Właśnie dlatego, że jestem twą siostrą.

Elka (pada przy stole na krzesło z płaczem). Cóż! chyba mi nie żyć więcej na świecie!

S C E N A VII.

JULKA, ELKA, KAROL.

Karol (wsuwa głowę z przedpokoju). Drzwi były otwarte, wiecznie u was drzwi otwarte.

Julka. Elko! Karol przyszedł.

(Elka łka gwałtownie).

Karol (wchodzi do pokoju). Zimno w redakcyi, kaloryfery nie funkcyonują, nie mogę pisać... (podchodzi do Elki). Co to, Elko?

Elka (z wybuchem płaczu rzuca mu się na szyję). Karolu!... Ona tu była.

Karol (zmieszany, odsuwa Elkę od siebie). Kto?

Julka (spokojnie). Twoja żona...

Karol. Tu? po co? czego chciała?... Jak śmiała?... Zkąd miała jakąś pewność?

Elka. To ja byłam winna. Ja napisałam do niej list.. O! nie gniewaj się! Ja myślałam, że ją uproszę... Ona tu przyszła i... i... (wybucha płaczem). Taka ładna... tak ślicznie ubrana!... — co ja przy niej! co ja przy niej!

Karol (do Julki). Co mówiła?

Julka. Masę nerwowych i chaotycznych frazesów, kilka impertynencyi...

Karol. Obraziła was?

Julka (szybko). O! nie!... wzbudziła tylko pewną litość. Czasem i ptasie nerwowe mózgi cierpieć umieją, Karolu...

Karol. Ale rezultat?

Julka. Zacięła się. A wiesz... kiedy tu (pokazuje czoło) brak—upór rozwija się jak chwast.

Elka. Powiedziała — nigdy!

Karol. Przeczuwałem to (chodzi po pokoju wreszcie siada na sofeczce i ukrywa twarz w dłoni). A niegodziwa, niegodziwa!... Co jej na tem zależy? Przecież mnie nie kocha!

(Elka szybkim ruchem kładzie swą rękę na ustach Julii).

Elka (cicho do Julii). Nie mów nic!

Karol (jakby do siebie). Jaki smutek! jaki smutek... I nic, nic!... Nawet jakiejś nadziei, że wreszcie przestanę być tym bezdomnym, tym, który z zazdrością patrzy na lampy płonące nad stołami o wieczornej porze, w cichych, dobrze zamkniętych wnętrzach mieszkań. Tułacz poranny, tułacz dzienny, wieczorny, Ahaswer sercowy i wszystko to, co stanowi potrzebę serca, zakazane... (z wybuchem). Bo tak chce świat! (po chwili). Ha! no! trudno... (spogląda dokoła siebie i znów kryje głowę w dłonie). Gościem tu wiecznie będę! gościem — niczem więcej! (po chwili). Jestem zmęczony!...

Elka (cicho do Julki). Zobaczysz... on mnie porzuci! on gotów do niej wrócić. Daj mi radę, siostró! daj radę!

Julka. Nie mogę!

(wybiega).

SCENA VIII.

ELKA, KAROL.

(Długa chwila milczenia. Karol siedzi z twarzą ukrytą. Elka powoli zbliża się ku niemu i kłeka u jego kolan, odejmuje jego ręce od twarzy i mówi wzruszona).

Elka. Lolek? Co to... łzy?

Karol (ocierając oczy). Nie zważaj na to... tak się już jakoś we mnie wszystko zebrało... Widzisz... ja od dziecka nie miałem nigdy spokojnego kąta i tułałem się po obcych. Teraz uchwyciłem się ciebie, jak tonący, bo czułem po prostu, że utonę, jeśli będę dalej rozrzucał swe życie po knajpach i obcych kątach. Przy tobie chciałem wytechnąć! tyś mi stworzona właśnie na ciche, dobre, ko-chane dziecko... Byłoby nam tak dobrze... Ty, ja — Julka. I tego wszystkiego mi zabrania kto? kto?... świat! I nie! nie dla mnie! Dla nas Elko — nie...

Elka (nagle z namiętym wybuchem). Kłamstwo, że dla nas nie—dla nas wszystko słyszysz! dla nas wszystko!

Karol. Elko! Elko!

Elka (gorączkowo i namiętnie). Tak! tak! ja nie chcę widzieć twych łez, ja nie chcę czuć twych łez, ja nie chcę czuć twych łez... dość tego! Tobie ten nasz biedny kąt drogi a miły. Zostań tu! Ja nie umiem ci powiedzieć, co się w mem sercu dzieje... ale tak się coś we mnie zbuntowało—strach! strach!..

Karol (wpatrując się w nią). Jakaś ty śliczna teraz, Elko!...

Elka (na klęczkach w objęciach Karola). Zostań tu z nami! będzie ci dobrze. To będzie twój dom!...

Karol. Jak twoje oczy płoną! patrz na mnie, patrz prosto!...

Elka. Będę ci wszystkim... czem, mogę, na co mnie stać—tylko nie płacz już nigdy!...

Karol (namiętnie). Jaka to dziwna godzina! to czarów godzina! Elko! Przetwarzasz mi się w rękach! Aż łuna od ciebie bije tak piękniejesz, tak promieniejesz cała.

Elka. Bóg mi świadkiem, jak proste i szczere w tej chwili serce moje. Pragnę cię kochać i być ci wierną do śmierci... Tak mi Boże dopomóż!...

Karol (namiętnie). Usta twoje, Elko! oczy twoje!... Ty primavera brylantową rosą łez skąpana!...

Elka (omdlewając mu prawie w rękę, ciągle na klęczkach). Sługą jestem twoją!

Karol. Nie! — tyś żoną moją!

(całują się długo, namiętnie).

Zasłona spada.

AKT DRUGI.

Ta sama dekoracya, jak w akcie pierwszym—tylko biurko stoi przy oknie, przy niem kosz, na biurku lampa się pali, przez zasłony okien świat się przedziera. Na sofce śpi KAROL ubrany. Przy biurku siedzi JULKA w szlafroku, okryta szalem i pisze.

SCENA I.

JULKA, KAROL, ELKA.

Julka. Skończyłam!...
(dzwonek).

Karolu! pewno chłopiec z drukarni po skrypta.

Karol (przez sen majacząc). Na biurku... zgromadzenie w Niezawisłości... i komers... a Rada miejska zaraz będzie...

Julka. No, dobrze! dobrze!
(układa na biurku skrypta, zanosi je do przedpokoju, poczem powraca, gasi lampę, podnosi roletę, uchyla okno i wciąga w siebie ranne powietrze).

Elka (uchyla drzwi z lewej, jest w szlafroku). Kto to dzwonił?

Julka. Chłopak po skrypta.

Elka. A Karol śpi!

Julka. Już sama uporządkowałam z notatek i oddałam, bo on był tak zmęczony, gdy przyszedł, że nie mógł pracować.

Elka. Czy późno przyszedł?

Julka (wymijająco). Nie widziałam godziny.

Elka. Wiesz dobrze — tylko nie chcesz powiedzieć mi prawdy... (po chwili). Pewnie znów grał w karty.

(wchodzi na scenę, jest ubrana w brudnym szlafroku, pantofle przydeptane, włosy rozrzucone na ramiona. Jest blada.

Julka. O ile wiem miał Zgromadzenie, musiał pójść zobaczyć zajścia, jakie były na komersie a ponadto miał jeszcze Radę miejską.

Elka (wydymając usta). Tak... naturalnie... Rada... ale z koleżkami.

Julka (patrzac na nią ze zmarszonymi brwiami). Elka! idź się trochę ubrać, ogarnąć. Jak ty wyglądasz?

Elka (wzruszając ramionami). E!... co mnie to obchodzi!

(idzie do Karola).

Julka. Dajże mu spokój, nie budź go!

Elka (gniewnie). No!... zostaw! nie widziałam go prawie dwa dni. Przychodzi nad ranem, potem leci niby do redakcyi... Karol!... Karol!... nie śpij!...

(Karol mruczy niewyraźnie, odsuwając ją ręką).

Elka. Pocałuj!

Karol (przez sen, zatulając się w szal. Daj mi spać!

Elka (ściągając z niego szal). Nie śpij! No przywitaj się ze mną.

Karol (gniewnie zrywa się, wyrywa jej szal, owija się nim i kładzie się). Zostaw mnie w spokoju!...

Elka (do Julki, która siedzi przy biurku i pisze). Widziałas jak się ze mną obchodzi? Nie—tego już za dużo. Przychodzi tu odpoczywać po nocnych hulankach... Widziałas?...

Julka. Widziałam — i znajduję, że masz to, na coś zasłużyła. Pozwól mu spać...

Elka. Jeszcze uu poduszkę dać pod głowę?... Zaraz.

(wyciąga Karolowi poduszkę z pod głowy i rzuca na ziemię. Ten śpi jak zabity).

Julka. Elka! Elka! upamiętaj się! Zrazisz go tem zupełnie do siebie...

(po chwili).

Idźże się ubrać.

Elka. Nie wiem w co.

Julka. Przynajmniej się uczesz. Patrz—i ja jestem w szlafroku, noc spędziłam bezsennie a inaczej wyglądałam.

Elka. Ty jesteś ładna, ja jestem brzydka. Potem ty masz nowy szlafrok, a ja odkał musiałam odejść z biura, to już nie mam.

Julka. Dałam ci niedawno dziesięć reńskich.

Elka. Rozlażyły się— a potem mam teraz inne wydatki. Musiałam kupić dużo rzeczy.

Julka. Wiem!...

(Elka łązi po pokoju, wreszcie zagląda do kieszeni palta Karola, które leży na krześle).

Julka. Elka! co ty robisz?

Elka. Już raz tak znalazłam listy jego kolegów, w których go zapraszają na karty.

Julka. Proszę cię, nie rób tego. Gdyby Karol to zobaczył—będzie się gniewał z pewnością.

Elka. A ty także, jakim weszła, szukałaś coś w jego palcie.

Julka. Ja wyjmowałam notatki z posiedzenia Rady miejskiej, potrzebne mi do artykułu.

Elka. Co to? Ty znów piszesz za niego artykuł?

Julka. Tak!—i proszę cię, idź sobie, bo mi przeszkadzasz a za chwilę chłopak wpadnie po skrypta.

Elka (rozkładając ręce). Nie! Wiecie państwo, to już koniec świata, żebyś ty ślęczała nad jego artykułami, a on żeby się wysypiał w najlepsze. (Z nagłą furią). Ja go obudzę i powiem mu słowa prawdy.

Julka (zrywa się i chwyta ją za ręce). Elka zostaw go w spokoju! Nie igraj z nadto! Zabierze się i pójdzie...

Elka. Niech idzie na cztery wiatry!

Julka (ze znaczeniem). Nie wolno ci teraz tak mówić.

Elka (nagle wybucha płaczem, osuwa się na fotel). Prawda... prawda...

Julka (wraca do okna i usiłuje odcyfrować notatki). Trudno mi dojść ładu... (idzie do Karola i nachyla się nad nim delikatnie). Karolu!... Karolu!...

Karol (przez sen). Cóż tam?

Julka. To ja... proszę cię... chcę się tylko poinformować co do artykułu...

Karol (zaspany). Jakiego artykułu?

Julka. O wczorajszym posiedzeniu Rady. Powiedz mi jak się nazywa ten radca, który interpelował w sprawie rzeźni. Nie mogę przeczytać...

Karol. Bombecki, Trombecki, Dąbecki, nie wiem.

Julka. No... i ja nie wiem.

Karol (zrywając się nagle siada na sofie i przeciera oczy). Któraż to godzina?

Elka (nadaśana). Taka, o której porządni ludzie wstają i piją śniadanie.

Karol. Do stu dyabłów!... do stu dyabłów!...

(Idzie do biurka — wraca, przewraca w kieszeniach palta).

Elka. Nie powiesz mi dzień dobry.

Karol. Miałem notatki, miałem notatki.

Elka (płacząc mu się). Pocałuj mię chociaż.

Karol. Dajże mi spokój!... widzisz, że szukam ważnych notatek!...

Julka. Jeżeli te z Rady, to ja je tu mam na biurku.

Elka (płaczliwie). Nie! wiecie państwo, tego już zanadto. Nawet się ze mną przywitać nie możesz?

Julka (biorąc Elkę za rękę). Elko, idź do kuchni—zajmij się śniadaniem.

Karol. Dajcie mi tylko prędko herbaty, bo muszę iść do redakcyi.

Elka. O!... już!...

Julka. Cicho! proszę cię!... idź — przynieś herbatę!

(Wyprowadza Elkę na lewo. Karol siada przy biurku. Jest nieumyty, blady brzydki, koszulę ma zmiętą, kołnierz od tużurka podniesiony. Nerwowo przewraca papiery, nie mogąc nic porządnie utrzymać w ręku).

S C E N A II.

KAROL, JULKA.

Karol. Miałem jeszcze napisać o zgromadzeniu Spójni... Psia krew! Nie wiem nawet co się tam działo.

Julka. Napisałam sama notatkę na trzydzieści wierszy. Nie było nic nadzwyczajnego. Trwało krótko bo... komisarz zgromadzenie rozwiązał. Powiedziano mi o tem podczas odczytu Bindera w naszym uniwersytecie.

Karol. Dziękuję ci, Julko!.. Zaraz — coś to się jeszcze wczoraj działo... Komers był zdaje się.

Julka. Tak—o komersie napisałeś notatkę przyszedłszy. Ja ją uporządkowałam i dodałam z tego co widziałam, wracając z odczytu. Pozostaje tylko Rada... Spiesz się... za chwilę chłopak wpadnie... o tu zaczęłam—dorób tylko zakończenie.

Karol. Julka! Julka! Ja muszę zaproponować, by cię przyjęto do naszej redakcyi.

Julka. Dziękuję ci — za dużo miałabym do roboty.

Karol. Po Radzie poszliśmy tu i ówdzie... no i tak jakoś... (Z wybuchem wdzięczności).
Julka — ja ci strasznie dużo zawdzięczam.

Julka. pisz lepiej — potem mi będziesz dziękował.

Karol. Zaraz! zaraz! muszę zapalić papierosa. (Zapala papierosa, ogląda się za drzwiami). Cóż tam z tą herbata!

Julka. Elko! Elko!

Elka (z za drzwi). A czego?

Julka. Herbata!

Elka (j. w.) Zaraz, bo samowar zgaś.

Karol. No! ta jak się do czego weźmie... Brr!... nie pisać nie mogę... ani rusz! Prostu litery mi skaczą przed oczami. (Pisze, rzuca pióro). Ja nie mogę bez herbaty pracować! no! nie mogę!

Julka (łagodnie). Pozwól mi... ja zaczęłam to i dokończę.

Karol. Pisz!... ja formalnie formalnie pióra w rękę utrzymać nie mogę...

(Idzie na sofkę, kładzie się z papierosem, ale nie zasypia—Julka siada przy biurku i pisze. Wschodzące słońce oświetla ją złoto-purpurowym blaskiem. Karol patrzy na nią ciekawie. Za oknem słychać zdaleka granie gamy i trzepanie dywanów.

Karol (po chwili milczenia). Julka!

Julka (pisząc ciągle). Co Karolu?

Karol. Ty jesteś niezwykła kobieta.

Julka (j. w.). Mylisz się. Jestem najzwyczajniejszym okazem człowieka.

Karol. Dlaczego mnie poprawiasz. Ja mówię „kobiety“ — ty mówisz „człowieka“.

Julka. Przedewszystkiem biorąc rzeczy utartą drogą, to jest we mnie mało kobiecości... tej waszej kobiecości. Powtóre — ja czuję się głównie człowiekiem, skoro analizuję wartość moją i dlatego nadaję sobie chętnie miano człowieka.

Karol. Mylisz się, Julko.

Julka. Czy w określeniu mego człowieczeństwa!

Karol. Nie—tylko odmawiając sobie cech kobiecości... tej naszej kobiecości. O! bo ja zrozumiałem doskonale coś ty pod tem myślała. Kobiecość ta, która nas ciągnie, niby urok na nas rzuca. Otóż—ty masz duże tej kobiecości...

Julka. Skądże znowu? Wszyscy mężczyźni uważają mnie za dobrego kolegę i nie więcej.

Karol. Zapewne. Ten dobry kolega w tobie przeważa... Ale przecież ty masz jakiś urok... swój odrębny... coś — co się określić nie da. Żebyś się mogła zobaczyć teraz — oświetlona tak wschodzącem słońcem—w tej jasnej fałdzistej sukni. Masz w sobie coś bardzo duchowego...

Julka (ironicznie). Primavera? Boticelli?

Karol. Wiesz... jest coś w tobie takiego...

Julka (śmiejąc się). Niedługo przypniesz mi skrzydła...

Karol. Niepotrzeba... uleciałabyś jeszcze a wtedy zbyt pusto byłoby w tym domu.

S C E N A III.

ELKA, KAROL, JULKA.

Elka (wchodzi ze szklankami na tacy i mówi płaczliwym głosem). Samowar się nie chce zagotować... nie wiem co mu się stało... Palce sobie na nic popiekłam... o... będą bąble...

(idzie do Karola).

Niech patrzy, ona sobie palce popiekła... Ją boli...

(tuli się do niego, on ją usuwa z niechęcią).

Karol. Cóż z tą herbatą?

Elka. Jeszcze się nie gotuje. Trzeba będzie kupić nowy samowar. Nasz stary zupełnie zniszczony.

Karol (przyczესując włosy). To kup!

Elka. Bo potem znów będziesz się dziwił na co pieniądze poszły -- więc ja teraz nie nie będę kupować bez twojej zgody. Kupić samowar?

Karol (zniecierpliwiony). Kupuj—nie kupuj—rób co chcesz!

Elka (urazona). Trudno, mój kochany... trzeba coś o domu pomyśleć.

Karol. Dom—dom — dom — słyszę ciągle to słowo...

Elka. Widocznie za mało je słyszysz, skoro o nim nie pamiętasz.

(idzie do kuchni na lewo).

S C E N A IV.

KAROL, JULKA.

Karol (podechodzi do biurka) I cóż? znów piszesz?

Julka. Skończyłam. Może przeczytasz?

Karol. Po co? Wiem, że jest staranniej robione, niż gdybym ja to zrobił. Zaczynam być feministą.

Julka (ironicznie). Doznawszy błogich wyników owego feminizmu.

Karol. Julko!

Julka (porządkuje na biurku). Czego chcesz, Karolu?

Karol. Podaj mi rękę!

Julka. Po co?

Karol. Na zgodę.

Julka. Czy my jesteśmy w niezgodzie?

Karol. Tak mi się zdaje. Ty masz albo ironiczny uśmiech, skoro na mnie patrzysz, albo jest w twym obejściu coś lekceważącego...

Julka. Zaręczam ci, że to mimowolne.

Karol. Więc w głębi duszy masz przychyny, dla których tak ze mną postępujesz?

Julka (wymijająco). Co ci na mojem zdaniu zależy?

Karol. Widocznie mi zależy, jeśli pragnę, ażebyś miała o mnie inne przekonanie.

Julka (ironicznie). Czy sądzisz, że nabiorę je, skoro ci podam moją rękę?

Karol. Zaczynasz mnie pobijać na każdym punkcie.

SCENA V.

ELKA, KAROL, JULKA.

Elka (wchodzi z herbatą zadyszana). Herbata!

Karol (zbiera skrypt z biurka i ubiera się w palto). Skoro chłopiec z drukarni przyjdzie, powiedzcie mu, że ja już poszedłem do redakcyi.

Elka. Wypijże herbatę!

(Julka wychodzi do kuchni na lewo).

Karol. Nie mam już czasu. Wypiję później w kawiarni.

Elka (płaczliwie). Mógłbyś też raz wypić w domu.

Karol. Zapóźno. W tym domu nie bardzo dbają o to, ażebym miał na czas to, co potrzeba.

Elka. Jestem chora, nie mogę pracować.

Karol. Skoro jesteś chora, to się połóż. Ja nie od ciebie nie wymagam... I tak poważnie jadam w restauracyi.

Elka. Naturalnie... natura wilka ciągnie do lasu. W knajpie najlepiej smakuje.

Karol. Nie — tylko w knajpie dadzą mi zaraz to, co zjeść potrzebuję i w dodatku nie mam scen, co jest główne.

Elka. E! mój kochany!... to są wszystko tylko takie wymówki. Przedtem to ci tak o dom chodziło... Mówiłeś—och! żeby mi tu zostać, żebyś miał tu biurko, tu fotel — to-bym pisał... No... więc masz biurko, masz dom, czego chcesz? Dlaczego nie pisesz? Dlaczego cię nigdy niema?

Karol (wymijająco). Puść mnie!

Elka (uparcie). Nie! Odpowiedz mi, dlaczego nie siedzisz w domu. Masz przecież biurko... masz fotel...

Karol (po chwili, dość gwałtownie). Chcesz wiedzieć dlaczego? Mam biurko, mam fotel, mam dom—ale mam i ciebie!

Elka (nie rozumiejąc). No... przecież ci i o mnie chodziło.

Karol. A!... (po chwili). A pokaże mi się ty do światła. Niech ci się przypatrzę!
(Bierze ją za ramiona).

Elka. E! lepiej się na mnie nie patrz. Wyglądam jak Bóg wie co!

Karol. Ależ ja ci się chce przypatrzeć, bo ty jesteś curiosum w swoim rodzaju.

Elka (urazona). Daj mi spokój!

Karol. Bądź zdrowa!

(idzie do przedpokoju).

Elka (biegnie za nim). Ty, słuchaj!

Karol (niecierpliwie). Cóż tam znowu?

Elka. Przyjdiesz na obiad?

Karol. Przyjdę! przyjdę!

Elka. Znów pójdziesz na jaką kielbasę na widelcu i tyle cię będę widzieć!

Karol. Kiedy mówię, że przyjdę, to przyjdę.

Elka. Pocałuj mnie!

Karol. Spieszę się. Muszę być w sądzie!... Dziś proces Mons misericordiae. Puść mnie...

Elka. Puszczę, gdy pocałujesz!

(Karol całuje ją niedbale i wychodzi).

(Elka sama. Kiwa głową, wzdycha — idąc przez pokój gubi pantofel — ogląda go, dziwiąc się, że dziurawy, potem zasiada do herbaty, zostawionej przez Karola. Za oknem, od chwili gra katarynka. Elka słucha chwilę, potem biegnie na lewo).

Elka. Julko! moja złota Julko!... daj mi dwa centy!

Julka (za sceną). Po co?

Elka. Katarynka! Muszę dać kataryniarzowi. On tak ślicznie gra Miserere.

Julka (j. w.) Drobnе pieniądze leżą na biurku w popielniczce.

Elka. Dziękuję ci!

(biegnie do biurka, owija pieniądze w papier, przechyla się przez okno i rzuca pieniądze na ulicę. Chwilę czeka, potem woła przez okno).

O tu! tu!... leży na trotuarze!... nie widzą... no, dalej na lewo!... tak wreszcie!

(stoi przy oknie i słucha jak gra katarynka. Powoli jednak, wyraz jej twarzy się zmienia. Z dziecinnego rozradowania przechodzi w wielki smutek. Łzy nabiegają do ocz, spływają po twarzy. Elka osuwa się na krzesło i łka rozpaczliwie).

SCENA VI.

(Wechodzi JULKA, ubrana w suknię ciemną. Trzyma w ręku sporą paczkę zeszytów. Zbliża się do biurka i spostrzega łkającą Elkę).

Julka. Elko co tobie?

Elka (płacząc). Boże! Boże!...

Julka. Nie płacz tak. Wiesz, że ci to szkodzi.

Elka. Boże!...

Julka. Czy znów posprzeczałiście się z Karolem?

Elka. Nie.

Julka. Czy o to ci chodzi, że on wyszedł. Ależ przecież zrozum, że on ma zajęcie w redakcyi.

Elka. To ta katarynka wszystkiemu winna.

Julka. Przecież lubisz słuchać katarynki. Cieszysz się... rzucasz pieniądze.

Elka. Tak!... ale nie wiem co mi jest. Teraz jak posłyszę, jak gra tak katarynka, to się ucieszę, a potem tak mi smutno, ale to tak smutno... Julko!... Julko!... ja wołałabym nie żyć.

Julka. Cicho! uspokój się! ot i katarynka umilkła. Pójdą grać gdzieindziej.

Elka (z rozpaczą). Och! co ja zrobiłam!

Julka. Nie czas już teraz rozpaczać. Powinnaś tylko inaczej zapatrywać się na życie. Starać się utrzymać Karola przy sobie...

Elka (ocierając łzy). O to się chyba nie boję. Musi już zostać teraz przy mnie. To jego obowiązek.

Julka. Mówisz jak dziecko. Słowo obowiązek istnieje głównie dla kobiet w stosunku ich do mężczyzn. A przytem.. Karol nie ma względem ciebie obowiązku popartego prawem. Jest to tylko moralne zobowiązanie a to już zależy zupełnie od tego, jaki ty dasz obrót jego uczuciom dla ciebie.

(Siada przy biurku i poprawia zeszyty. Elka ubiera się powoli, zczesuje włosy niedbale

i zapina szpilką, zdejmuje szlafrok, nakłada spódnice i żakiet, przez ten czas mówi).

Elka. El... moja droga!... ty to wszystko rozumiesz... ja tak nie potrafię.. ja tylko po prostu rzeczy biorę. Karol mówił mi, że mnie kocha, że się ze mną ożeni, gdy ten przekłety rozwód dostanie. Ja mu uwierzyłam, teraz musi już być przy mnie do śmierci...

Julka. Choćby cię nawet przestał kochać?

Elka (zdziwiona). A dlaczego miałby przestać mnie kochać?

Julka. Dlaczego przestał kochać żonę?

Elka. Bo... bo... czy ja wiem... Może ona go nie kochała...

Julka. Nie—wiesz dobrze, że go kochała. Tylko ja ci powiem. Oto — tak ona jak ty, nie umiecie mu rozumnie okazywać tej miłości.

Elka. A... mam sobie jeszcze tem głowę zawracać. To niech on się stara mnie przypodobać a nie ja jemu.

Julka (kładzie pióro, patrzy na nią przez chwilę). I ty także tak mówisz? i ty?...

(wstaje, idzie do niej).

Posłuchaj ty uważnie tego, co ja ci powiem. Gdy otworzyłaś ten dom dla Karola i powiedziałaś mu: zostań z nami — dla kogo to uczyniłaś, dla siebie czy dla niego?

Elka. Naturalnie, że dla niego. On był taki nieszczęśliwy, narzekał, że mu źle, że się tuła po świecie, po knajpach... Płakał... Cóż mnie z tego przyszło?.. Nieszczęście—nie więcej. Widzisz więc sama, że zrobiłam to dla niego.

Julka. Dlaczego więc nie trwasz w tej myśli? dlaczego nie starasz się stłumić egoizmu, zaprzeć się swego „ja“ zupełnie i dać mu we wszystkim pierwszeństwo?

Elka. Ja robię co mogę... Jestem taką samą jak przedtem.

Julka. To nieprawda. A zresztą i to dla mężczyzny nie wystarcza. On zawsze żąda nowości. Pamiętaj więc, ażebyś była ty tą nowością a nie kto inny.

Elka. On mówił przecież, że innej nie pragnie.

Julka. Kiedy to mówił? W zimie—a teraz jest lato.

Elka (zasmucona). Więc co ja mam robić, Julko?

Julka. Drobiazgowo radzić ci nie mogę—powiedziałam ci tylko ogólnie. Postaraj się tylko, ażeby w tym domu o który mu tak chodziło, oprócz szklanki herbaty — pachniały jeszcze kwiaty... Zrozumiałaś mnie?

Elka. O! jeśli o to chodzi.. Kupię dziś całą wiechę róż...

Julka (patrzy na nią z politowaniem).
Ty bierzesz to, co mówię, dosłownie. Trudno!...

(siada do pracy).

Elka. Ja pójdę do miasta. muszę przecież coś kupić, Karol ma być na obiedzie. A ty?

Julka. Nie, ja zjem w taniej kuchni. Skończę poprawiać zeszyty. Dziś mam na pensyi lekcję o dziesiątej.

Elka (po chwili). Tak mi zawsze niesporo wychodzić. Boję się, żeby mnie kto nie spotkał z biura albo znajomy.

Julka. Co począć!

Elka. Wiesz... ja ją... no ją wczoraj spotkałam. Czułam, że blednę jak ściana. Nogi się podemną ugięły. Chciałam wejść do bramy, ale już było za późno. Ona nadeszła—i popatrzyła na mnie, ale tak jakoś dziwnie, dziwnie... Nie miała w oczach złości—tylko tak, jakby się zdziwiła. I wiesz, ona choć była bardzo wystrojona, ale źle wyglądała.. Taka blada tak wosk. Może nawet bledsza odemnie. Ja myślałam, że ona mi co powie, ale ona nic nie powiedziała, tylko stanęła i patrzyła za mną. Widziałam—bo i ja się za nią obejrzałam... (dochodzi do biórka i staje już ubrana w kapeluszu). Julko!... może się też Bóg zmiłuje i sumienie się w niej ruszy — co.

Julka. Nie wiem Elko! Jeżeli ona kocha naprawdę, to ustąpi.

Elka. Co też ty mówisz? Jeżeli kocha naprawdę, to właśnie go zechce odzyskać.

Julka. Nie Elko... prawdziwa miłość nie jest egoistyczna. Te kobiety, które naprawdę kochają, nie chcą być kulami u nóg tych, których kochają.

Elka. Ach już mi wszystko jedno — jak i co, byleby się stało... Ja już się i modlić nie umiem i nie śmiem.

Julka. Och! modlić się powinnaś zawsze.

Elka (smutno). Boję się!

Julka. (zimno). Czego? Bóg to miłosierdzie!

Elka (nieśmiało). To ja wstąpię do kościoła.

Julka. Wstąp, Elko!

Elka (ze łzami). Pocałuj mnie, Julko! mnie teraz już nikt serdecznie nie całuje.

(Julka całuje ją obojętnie, Elka tłumiąc łzy wychodzi do przedpokoju).

SCENA VII.

JULKA, potem KAROL.

(Julka siedzi przez długą chwilę zamyślona i smutna — potem spuszcza roletę, bo ją

razi słońce, i przegląda zeszyty. Wchodzi Karol).

Karol. Jesteś jeszcze w domu... To dobrze?

Julka. Czy co zapomniałeś?

Karol. Nie — ale mam coś dla ciebie. W naszej administracyi zawakowało miejsce. Wcale niezła posada. Jest mnóstwo kandydatek. Słyszałem jak mówiono o tem w administracyi. Będiesz siedzieć osobno w dziale administracyjnym i robota wcale łatwa. Pomyślałem o tobie, bo mi cię żal, gdy widzę, jak biegasz po lekcjach i zrywasz sobie płóca.

Julka. Dziękuję ci—ale to praca nie dla mnie.

Karol. Wolisz uczyć dzieci.

Julka. Woleę. Tu przynajmniej mam tę wielką rozkosz, iż widzę jak pod moim wpływem budzi się i rozwija umysł. A tam w waszej administracyi suche cyfry nie przemawiają do mnie zupełnie.

Karol. Ależ zdrowie zrujnujesz zupełnie.

Julka. Coś przecież ze siebie muszę dać społeczeństwu.

Karol. Ofiara bezcelowa. Społeczeństwo się o ciebie nie troszczy.

Julka. To nieprawda. Bezwiednie a troszczy się na każdym kroku. Przeszłe i te-

rażniejsze, korzystam ciągle z jego pracy i jego trudu. Należy więc, ażebym i ja dała nawzajem moją pracę i mój trud.

Karol. Myślałem, że ci tem sprawię ulgę...

Julka. Dziękuję ci... Dlaczego nie jesteś w sądzie?

Karol. Odczytują akt oskarżenia. Wydrukowaliśmy go w całości. To potrwa dość długo.

(Chwila milczenia).

Julka. Karolu.

Karol. Co, Julko?

Julka. Powiedz mi—co będzie z Elką?

Karol. Jakto co będzie z Elką — nie rozumiem.

Julka. Czy poczyniłeś znów jakie rozwodowe kroki?

Karol (zmieszany). Nie miałem czasu zajmować się tem obecnie.

Julka (poważnie). A jednak potrzeba, ażebyś się tem zajął i to bez zwłoki. Elka czuje więcej niż przypuszczasz...

Karol. Wątpię... Nie miałem pojęcia, aby istniało stworzenie tak bezmyślne, tak gruboskórne. Ja doprawdy nie pojmuję co się z nią stało. Jak ona była inna, w zimie... ho! ho!... no powiedz sama, Julko! nie była wtedy subtelną... odgadywała masę... miałem

z nią prawdziwą przyjemność przesiadywać tu wieczorami — a teraz!

Julka. Czy rzeczywiście ona się tak bardzo zmieniła?

Karol (chodzi po pokoju i pali papierośsa). Strasznie.... strasznie... nie do poznania.

Julka. Ale ja ci powiem, Karolu, że Elka jest tą samą Elką, jaką była przedtem, tak samo jak Nina była tą samą Niną przed i po ślubie. Tylko te zawody, jakie cię spotykają — przychodzą na ciebie poczęści z twojej winy. Powiedziałam ci raz, że jesteś przeciętnym człowiekiem i tak jest. Twierdzę to samo. Ty zaś na każdą kobietę, do której się zbliżasz, patrzysz albo przez szkła artystyczne albo zmysłowe... albo... Słowem, nie wiem. Wytwarzasz sobie całą aureolę nadzwyczajności dokoła takiej kobiety. Skoro jednak już nie masz do żądania—nie jesteś w stanie utrzymać dalej tej aureoli, która była bardzo mizerną widocznie i pustą. Winę braku siły swej duchowej składasz na kobiety i wołasz—„He! he! zmieniła się!...

Karol. A ja ci ręczę, że ty na przykład nie zmieniłabyś się w oczach mężczyzny i zawsze miałabyś tę aureolę.

Julka (zdziwiona). Ja? któż to o mnie mówi?

Karol (trochę zmieniony). Mówimy o kobietach.

Karol. Ja się nie liczę.

Karol (gorąco). Przepraszam, liczysz się! O! widzisz—znam cię od zimy tak samo jak Elkę i z tobą wiecznie mam o czym mówić. Ty zawsze jesteś dla mnie zajmującą, nawet powiem ci, codzień więcej zajmującą. Odkrywam w tobie coraz nowe zalety. Widzisz więc, że są kobiety, które za zbliżeniem zyskują.

Julka. Jak za jakim zbliżeniem. Ręczę ci, że gdybym naprzykład stała do ciebie w tym stosunku, w jakim stoją Nina albo Elka — utraciłabym tę wartość, jaką mi nadajesz tak łaskawie.

Karol (gorąco). A ja ci ręczę, że nie!

Julka. Frazesy!

Karol (z zapalem). Daję ci słowo, że nie kłamię!

(Chwila milczenia. Karol po chwili zaczyna znów chodzić po pokoju. Julka pisze).

Julka (nie odrywając oczu od zeszytów). Może już czas do sądu?

Karol. Czy chcesz się mnie pozbyć? przeszkadzam ci?

Julka. Bynajmniej!

Karol (cołrażniony). O ja wiem—coż ja jestem dla ciebie! pyłek, proch! ja nawet przeszkadzać ci nie mogę.

Julka (odkładając pióro). Widzę, że jesteś bardzo rozdrażniony. Skoro jednak chcesz, żebym się tobą zajmowała, pozwól, że znów mówić będziemy o Elce.

Karol. O Elce?... cóż możemy mówić o Elce? Co jest o niej wogóle do mówienia? Ona skoro jest w domu, tyle o sobie mówi, że wystarczy za siebie i za nas.

Julka. Ja krótko ci powiem to, co ci mam powiedzieć.

(odwraca się do niego i patrzy mu w oczy).

Jeśli i tej kobiety już nie kochasz, miej na tyle siły, ażebyś jej tego nie dał uczuć... Czy mnie zrozumiałeś?

Karol (zmieszany). Zkąd wiesz, że ja Elki nie kocham.

Julka, Ja nie nie wiem! Ja mówię.. jeśli!

Karol. Skoro mnie masz za przeciętnego mężczyznę, dlaczego wymagasz odemnie heroizmu!

Julka. Heroizm? Kto tu mówi o heroizmie?

Karol. Ja—bo żyć z Elką i to do śmierci, nie kochając, byłoby heroizmem z mej strony.

Julka. Mój drogi — przeciętni mężczyźni mają pewną przeciętną dawkę pewnej siły, którą nazywają wytrwaniem przy

obowiązkach. Otóż o tę siłę ja cię proszę... naturalnie do czasu — bo w to „do śmierci“ z twojej strony nie wierzę.

Karol. Nie znasz mnie! Ja niczego więcej nie pragnę, ja mieć zawsze na własność jedną duszę, któraby się ze mną zżyła, od-czuła mnie i zrozumiała. Czy może być większe szczęście, jak mieć za towarzyszkę życia kobietę, z którą mówić można. Przecież to jest szczytem szczęścia.

Julka. Wszystkiego naraz mieć nie można. Kto wie, czy Nina i Elka nie marzyły także o czem innem, łącząc się z tobą.

Karol (z pyszałkowatą złością). O! one mnie kochają i takim jakim jestem.

Julka. To dowodzi o sile ich serca i o pewnej czystej, pięknej mocy przywiązania.

Karol. Ja także miałbym tę samą siłę serca i moc przywiązania, gdybym natrafił na odpowiednią dla siebie kobietę.

Julka. Kilka miesięcy temu Elka była dla ciebie tą odpowiednią kobietą. Dziś rzeczy zaszły tak daleko, iż musi ona pozostać tą twoją kobietą na zawsze.

(Karol zasepiony siada w fotelu).

Należy przyspieszyć rozwód. Proszę cię o to.

Karol. Nie będę na kolanach błagał Niny, ażeby się zgodziła, albo żeby wystąpiła sama przeciw mnie ze skargą.

G. Zapolska. Mężczyzna.

Julka. Nina jest obecnie inaczej usposobiona względem Elki. Mam na to dane. Wiem, że się nami interesuje i zna nasze życie. Kto wie — czy teraz nie byłby czas odpowiedni.

Karol (znudzony). Pomyślę!...

(po chwili).

Słuchaj, Julka — ty musisz mieć mnie za ostatniego głupca?

Julka. Boże uchwaj!

Karol. Nie, nie, ja widzę... ja to czuję!... Ciągłe mi w oczy ćwierkasz tym przeciętnym człowiekiem. (z wybuchem). Cóż mam robić, żeby nim nie być? Proch wynaleziony, „Pan Tadeusz“ napisany, Gibraltar nie do zdobycia... więc co? co?...

Julka (składając zeszyty). Płaskie i trywialne.

Karol (zrywa się i chwyta ją za rękę). Julka! Julka!...

Julka (zdziwiona, patrzy na niego chwilę, usuwa rękę). A to co znowu?

Karol (zmieszany). Nie wiem sam... nie wiem sam!...

(odsuwa się od niej, idzie do okna i opiera się czołem o szybę. Julka składa zeszyty i chce wyjść na lewo, on na szelest jej sukni odwraca się i nie mówiąc wyciąga ku niej rękę. Ona patrzy nań coraz bardziej zdziwiona).

Julka. Puść mnie, muszę pójść ubrać się, idę.. na lekcję...

(Wychodzi na lewo. Karol zostaje sam, stoi oparty o szybę przez chwilę — potem zaczyna gwizdać, urywa, chodzi po pokoju — pali papierosa, wreszcie siada w fotelu i patrzy na drzwi, które wyszła Julka).

S C E N A V I I I .

KAROL, ELKA.

(Elka wchodzi drzwiami z prawej, ma w ręku koszyk z wiktuałami, pęk róż. Zobaczywszy Karola staje ucieszona, kładzie róże na biurku, biegnie ku niemu. Zarzuca mu ręce z tyłu na szyję i nadstawia policzek.

Karol (zdenerwowany). Oszalałaś!

Elka. Pocałuj!

Karol. Puść!

Elka. Puszczę, gdy pocałujesz!

(Karol ją całuje).

Elka (pieszczotliwie). Po co przyszedł? może na śniadanie? Ona jeszcze nie miała czasu nic zrobić, ale ona się pospieszy.

Karol. Przedewszystkiem chciałem cię już dawno prosić, ażebyś nie mówiła do mnie takim tonem. To śmieszne... to trywialne. Takie udawanie dziecka nie ma sensu.

Elka (strapiona). Przecież dawniej mówiłeś, że ci się to we mnie bardzo podoba i że to stanowi mój wdzięk.

Karol. Nie przypominam sobie, ażeby coś podobnego powiedział.

Elka. Sam zawsze mówiłeś o sobie także „on”—albo „Lolo“.

Karol. Co? co?... proszę cię, nie wmawiaj we mnie takich niedorzeczności. Czy ty nie możesz być... kobietą?

Elka. Zdaje mi się, że ja jestem kobietą.

Karol. Ale kobietą-człowiekiem!... kobietą-człowiekiem!...

Elka. A czy są kobiety-zwierzęta?

Karol. Och są! och są!... Kobiety-kaczki, kobiety-gęsi, kobiety... Zresztą ty tego pojąć nie możesz...

Elka. Zapewne... ty jesteś rozumniejszy odemnie, ale znów nie jestem taka głupia. A potem sam powiedziałeś, że w kobiecie szukasz głównie... serca.

Karol. No więc tak! to wiadome... Masz serce... serce i nic więcej!...

(idzie do biurka i szukając notatek zrzuca kwiaty).

Cóż to znów za śmiecie?...

Elka. Och!

(chwilę patrzy na porzucone kwiaty—potem zacina usta jakby ze sobą walczyła i mówi zmienionym głosem).

Czy mam ci przygotować co na drugie śniadanie?

Karol. Dziękuję ci... skoro zaczniesz przygotowywać, to się nie skończy tak prędko. Ja idę do redakcyi...

Elka (udając wesołość). Widzę, że chcesz wywołać scenę... nie uda ci się to jednak. Postanowiłam sobie znosić wszystko cierpliwie.

Karol. Myślałby kto, że znosisz tortury i że cię katuję.

Elka. No... nie katujesz fizycznie... to pewne... ale nie chcesz uwzględnić, że i mnie życie nie idzie po różach.

Karol. Po różach! co za wyrażenie!... Przypominają się powinszowania, albo listy szwaczek. Po różach!...

Elka (smutno). Mówię, jak umiem... mówię tak, jak mówiłam dawniej.

Karol. Przyznasz jednak, moja droga, że słysząc taki styl, trudno potem otrząsnąć się z niego i pisać tak, jak ludzie inteligentni mówią!

Elka. Tak rzadko z tobą rozmawiam.

Karol. A o czymże chcesz, żebym ja z tobą mówił?

Elka (cicho). Z Julką jednak masz zawsze co do pomówienia.

Karol (nagle). Spodziewam się!... A wiesz dlaczego? bo to jest... kobieta - człowiek... kobieta-człowiek!...

Elka. Dawniej denerwowałeś się jej obecnością... wyśmiewałeś się, nazywałeś ją starą panną, socyalistką...

Karol (wściekły). Ja... kiedy?... nie wma-
wiał we mnie głupstw, bo zabiorę się i pójdę w tej chwili do redakcyi.

Elka (wybuchając). A wiecie państwo, to już za wiele! Zarzucasz mi na każdym kroku kłamstwo! Czepiasz się wszystkiego... Ja teraz po prostu słowa przemówić nie śmiem. I za co to wszystko? za moje nieszczęście! za moje dobro! za moje psie przywiązanie...

(po chwili).

I z tym rozwodem mógłbyś się pospieszyć.

Karol. Pospieszę się!... pospieszę! tylko zostaw mnie w spokoju.

(Siada przy biurku i opiera głowę na rękach. Elka patrzy na niego chwilę, podchodzi do niego i staje po drugiej stronie biurka).

Elka. Karol!

Karol. Czego chcesz?

Elka. Nie gniewaj się!

Karol. Ja się nie gniewam.

Elka (zbliża się). Kochasz mnie zawsze?
Karol. Dlaczego mnie ciągle o to pytasz?

Elka. Ale powiedz...

Karol. Wiesz dobrze...

Elka. No to pocałuj... ale tak długo, długo jak dawniej.

Karol. Nie... nie... daj spokój... mam katar, jeszcze odemnie dostaniesz...

Elka. Pewnie się znów przeziębiesz, chodząc Bóg wie gdzie... Zostań dziś wieczorem w domu... Posiedzimy we troje—Julka dziś nigdzie nie idzie... Zostaniesz?

Karol. Zostanę!

Elka (ucieszona). To dobrze! to dobrze!... Ona dzięki... to jest... nie przepraszam... ja dziękuję jemu... nie... tobie... A zresztą... co tam — ona jemu dziękuję... A teraz idę zrobić śniadanie!... śniadanie!... śniadanie!...

(wybiega na lewo potrącając Julkę już ubraną w kapelusz).

Elka. Julko!... zostań i ty, zrobię wam obojgu śniadanie.

Julka. Nie mogę, ale gdy ci tak o to chodzi, za godzinę przyjdę na obiad.

Elka. Wiwat! będzie wielkie święto. Karol także będzie jadł obiad w domu!... Pędzę do kuchni!

(wybiega).

S C E N A IX.

JULKA, KAROL.

Julka. Dziękuję ci, Karolu!

Karol. Za co, Julko?

Julka. Musiałeś być dobrym dla Elki — to dużo zmazuje.

Karol. Och! to nie ma znaczenia!... Ale przed chwilą byłem względem ciebie brutalnym. Starałem się zrozumieć przyczynę tego kroku. Badałem się. Doszedłem do przekonania, że to twoja wina. Dlaczego mnie maltretujesz?

Julka. Powracasz znów do błędnego koła, w którym sam się zamknąłeś i mnie chcesz zabrać z sobą. Nie maltretuję cię zupełnie.

Karol. Dlaczego jednak nie chcesz uznać mojej wartości?

Julka. Czy ja ci uznanie mojej wartości gwałtownie narzucam?

Karol. Powiedz mi przynajmniej, jaka cecha w mym charakterze jest według ciebie dominującą—ta cecha, która mnie czyni w oczach twych owym przeciętnym mężczyzną.

Julka. Owszem — powiem ci to w kilku słowach. Oto ty z kwestyi miłości robisz główną kwestyę życia. Jesteś jednym z tych,

którzy życie obliczają według ilości miłosnych swych dramatów. Wszystko podporządkowujesz i poddajesz miłosnym kwestyom. Gdybyś pisał — dzieła twoje tchnęłyby zmysłową jedynie nutą, gdybyś malował, obrazy twoje miałyby za temat miłosne sceny.

Karol. Cóż począć! W talii kart musi być także i walet kierowy.

Julka. Nie, Karolu. A teraz puść mnie — muszę iść. Czekają mnie na pensyi.

Karol. Pozostań jeszcze chwilę... Tak mi dobrze, tak miło z tobą mówić.

Julka. Przed chwilą skarżyłeś się, że cię maltretuję.

Karol. Maltretuj mnie — to wolę niż obojętność twą i milczenie.

Julka. Dlaczego ci tak bardzo na mojem zdaniu zależy?

Karol (cicho). Nie wiem... sam nie wiem...

(chwila milczenia, Julka schyla się — podejmuje kwiaty wstawia je w wazonik, który stoi na biurku).

Karol. Julko! przyjmij miejsce w naszej administracyi. Gdy będziesz blisko mnie, ja lepiej i inaczej pracować będę. Ja to czuję! ..

Julka. Nie!

Karol. Jesteś egoistką!

Julka. W tym wypadku — tak. Reasumując wynik twojej pracy pod moim wpływem a wynik mej pracy obecnej, jestem przekonana, że moja praca przyniesie więcej korzyści społeczeństwu. Dlatego z czystym sercem odpowiem ci — nie!

Karol. Dla czego nie wierzysz, że i ja mogę dać z siebie dużo i stworzyć coś wielkiego, gdy ty będziesz mi w tem pomocą.

Julka (ze zmęczeniem). Dlatego, że tylko ci, którzy z czystym sercem przetwarzają się i rosną duchowo mogą zdziałać czyste i wielkie rzeczy. A ty...

Karol (gorączkowo). A ja?...

Julka (patrząc mu w oczy). A ty i w tej chwili nie wychodzisz po za błędne koło erotyzmu.

Karol. Julio!...

Julka. Pozwól mi odejść. Miałam cię za przeciętnego mężczyznę... staraj się, ażebyś nie odkryła w tobie, że...

Karol. Że?...

Julka. Że jesteś jeszcze coś gorszego! (wychodzi szybko, Karol pozostaje sam, namyśla się, idzie do kuchni i mówi do Elki).

Karol. Idę do sądu — gdy wrócę staraj się, aby śniadanie było gotowe!

(zamyślony bierze kapelusz i wychodzi do przedpokoju, idąc spotyka wchodzącą Ninę).

S C E N A X.

NINA, KAROL.

(Nina jest bardzo strojnie, letnio ubrana, jest jednak bardzo blada; wchodząc—sposstrzeża Karola; przez chwilę błędnie, zamyka oczy—potem przychodzi do siebie i postępuje naprzód nie patrząc na niego).

Nina (nerwowo, urywanym głosem). Czy... młodsza panna Korecka w domu?... Drzwi były uchylone...

Karol (zmieszany—obracając w rękę kadelusz). Tak... tu mają dziwny zwyczaj... nie zamykają drzwi... tyle razy mówiłem.

Nina (powoli odwraca ku niemu głowę i spogląda na niego z radzajem wyższości). Czy mogę mówić z młodszą panną Korecką?

Karol. Panna Korecka jest w domu... chciałbym jednak wiedzieć... z czym pani tu przychodzi...

Nina. To już sprawa pomiędzy mną i panną Korecką! O! niech się pan nie lęka... nie przyszedłam tu robić sceny...

Karol. Jednakże... znając nerwowość pani...

Nina (z uśmiechem smutnym). Chorowałam ciężko... nerwy moje tak osłabły, że nie miałabym siły zrobić sceny... Byłam pewna, że pan o tej porze jesteś w redakcyi...

(słabnie).

Karol (zapominając się). Może ci dać krzesło?

Nina (panując nad sobą). Dziękuję... o jedno cię poproszę... wyjdź ztąd... Ja... nie mogę na ciebie patrzeć... mnie to za dużo kosztuje.

Karol (zdziwiony i podrażniony). Tak mnie nienawidzisz?

Nina (cicho). Nie... tylko... ja zdołałam zapomnieć... jak wyglądasz... teraz mi się znowu wszystko przypomnia.

Elka (za sceną). Karolu! z kim ty mówisz?

Nina (pociera ręką po sobie). To ona!
(Karol przerażony—nie wie co robić—chwytając kapelusz i mówi szybko).

Karol. To... ja... pójdę!
(wychodzi szybko).

SCENA XI.

ELKA, NINA.

(Stoi niezdecydowana, wreszcie robi ruch, jakby chciała powiedzieć—Ha, trudno—idzie ku drzwiom, za którymi jest Elka).

Nina (otwierając drzwi). Przepraszam panią!... Pragnę z panią pomówić.

(Elka wbiega—jest w fartuchu—ma ręce umięczone, zobaczywszy Ninę, staje jak wryta).

Elka. To pani?

Nina. Tak, to ja...

(chwila milczenia).

Elka (strwożona). Czego pani chce ode mnie?

Nina (z wysiłkiem). Przedewszystkiem muszę usiąść... byłam chora... jestem jeszcze bardzo osłabiona.

Elka. Proszę, niechaj pani siada! (Podaje krzesło). Przepraszam panią... powalałam ją mąką...

Nina. Gdzie? (machinalnie ogląda suknię). Nic się nie stało.

Elka. Dzięki Bogu!

(chwila milczenia).

Nina. Przyszedłam pani powiedzieć, że ja się zgadzam na rozwód!

Elka (z wielką radością). Och! proszę pani! proszę pani! dziękuję... dziękuję... dziękuję!... Ale—może pani tylko tak mówi?

Nina. Nie... ja tak już postanowiłam. Ja dowiedziałam się o wszystkim. Widzi pani, ja mam także serce i teraz mi pani żal... Ja wiem, że pani musi być wstyd i potem byłby jeszcze większy dla pani wstyd... Ja się nad tem namysliłam. Potem, pani temu przecież nie winna, bo pani go poznała wtedy, gdy on już ze mną nie żył... Tak sobie umysliłam...

Elka. Pani dobra... a ja myślałam, że pani to się tylko umie stroić, nie więcej.

Nina. Niech pani nie myśli, że to głównie dla pani ja to robię—ale ja to robię dla pani dziecka. Ponieważ ono musi mieć nazwisko — bo to już tak przyjęte... Dziećmi bez nazwiska to poniewierają.

Elka (zaczyna płakać). A przecież to głupio... to nie ich wina, że ich matka była złą kobietą...

Nina (wstrzymując się od łez). Proszę pani, niech pani nie płacze. Mnie łzy szkoda bardzo... a ja nie mogę patrzeć na pani łzy. To nerwowe. Dokąd... tego... nie było, to ja chciałam pani Karola odebrać, bo zawsze zdawało mi się, że ja jestem dla niego czemś więcej, niż pani...

Elka (pokornie). Pewnie... bo pani była—żona.

Nina. Tak. Ale pani będzie matką jego dziecka — więc ja odrazu zrozumiałam, że to coś tak wielkiego, coś, co jego musi bardzo do pani przywiązywać i powiedziałam sobie... że to skończone... i że niech pani będzie lepiej jego żoną. Chciałam pani sama powiedzieć, że ja się godzę, bo przezemnie się pani bardzo martwiła, więc chciałam, żeby się pani przezemnie bardzo ucieszyła. Ja muszę pani powiedzieć, że ja sobie zawsze wybrałam macierzyństwo, jako coś

bardzo wielkiego i myślałam, że gdy będę mieć dziecko, to już nie będę myśleć ani o strojach, ani nic, tylko będę... stroić już moje dziecko. (Po chwili). Choć i ja się bardzo przez panią namartwiłam... i jeszcze ciągle martwię.

Elka (pokornie). Ja .. przepraszam panią!

Nina (po chwili — oglądając się). Ja już pójdę... Niech... mu... pani powie, że ja zeznam już jak oni zechcą. Niech memu adwokatowi przyśle brulion—to ja się na pamięć nauczę, co trzeba w konsystorzu odpowiadać. I niech się to skończy... (wstaje). Życzę pani szczęścia!

Elka (płacząc). Niech pani Bóg wynagrodzi za mnie i za moje biedne dziecko.

Nina. Niech pani będzie szczęśliwa!
(wychodzi szybko dławiąc się łzami. Elka odprowadza ją do przedpokoju i wraca—rzuca się na krzesło koło biurka i płacze szmatycznie).

Elka. Boże! Boże!... co za szczęście!... co za szczęście!...

SCENA XII.

ELKA, KAROL.

Karol (wchodzi szybko, zbliża się do Elki). Czekałem pod schodami aż wyjdzie... Odma-wia? co?... Byłem tego pewny! No!... wielka

historia... nie płacz... trudno!... będziemy musieli sobie wyperswadować małżeństwo.

Elka (radośnie). Ależ nie... nie... Przeciwnie!

Karol. Jakto... przeciwnie.

Elka. Ja płaczę z radości! słyszysz—z radości!... to dobra, to zacna, to święta kobieta... Ona się zgadza... ona powiedziała, że dobrze... że powinienes napisać jej adwokatowi, co ma mówić w konsystorzu a ona wszystko tak powie... jak każesz.

Karol (przerażony). Tak mówiła?

Elka. Tak... tak... i była bardzo dla mnie dobra i grzeczna i pocziwa... (klęka przed Karolem). Pobierzemy się... słyszysz... będziemy wreszcie tym mężem i żoną... będziemy już na całe życie.. razem! A kiedy?.. Kiedy?... (Karol przybity osuwa się na krzesło i patrzy osłupiałym wzrokiem w ziemię).

Elka (niespokojnie). Karol! Karol!... ja mówię do ciebie a ty nie słyszysz... Loluś... Loluś... ty się nie cieszysz? Lolek...

(Karol nagle, nerwowo wydaje stłumiony krzyk wstrętu, zrywa się i idzie ku oknu, opiera się o szyby i tak pozostaje. Elka podnosi się postępuje, za nim kilka kroków).

Elka (stłumionym głosem). Karolu... Karolu... ty... przecież się ze mną... ożenisz?

Karol (nieodwracając się od okna, przez zęby). Nie wiem...

Elka (bez tchu). Co? co?... musisz...
(Karol odwracając się nagle, ale pozostając przy oknie—twarz ma zmienioną, bladą, usta zacięte—ręce w tył założone)

Karol. Muszę? a to zkąd? nie muszę, nie!... nie! nie!

Elka (słabym głosem). O! o!...

(osuwając się bez zmysłów na ziemię).

Zasłona spada.

AKT TRZECI.

Pokój ten sam, co w poprzednich aktach. Tylko biurko i fotel stoją na dawnym miejscu. Zmrok wieczorny. W piecu pali się ogień. Przed piecem owinięta szalem siedzi Julka. Na kanapie osłonięta także chustką, siedzi Elka. Pod plecami ma podłożoną poduszkę w białej poszewce. Elka jest blada, bardzo wynędzniała po przebytej chorobie. Ma na sobie kaftanik poranny kolorowy, spódnice. Twarz jej pobladła, włosy uczesane gładko po obu stronach tak, że zakrywają uszy. W twarzy Elki jest wielka zmiana. Wypiękniła i wyszlachetniała. Całe jej obejście także nabrało cechy więcej szlachetnej. Julka coś jest także inną. Jest cieplejszą w obejściu, serdeczniejszą, więcej macierzyńską względem Elki.

SCENA I.

ELKA, JULKA.

Julka. Czy śpisz, Elko?

Elka. Nie, Julko!

Julka. Może płaczesz?

Elka. Nie... od kilku dni już nie płaczę wcale.

Julka. To dobrze, Elko... prędzej przyjdiesz do zdrowia.

(chwila milczenia).

Elka. Jak myślisz, Julko, czy oni... tam w agencji przyjmą mnie z powrotem?

Julka. Nie wiem. Ale zawsze jest tyle kandydatek, gdy jakieś miejsce, choćby najlichsze wakuje, że wątpię o tem, Elko.

Elka. Ja zaś myślę, Julko, że jeśli oni mnie nie przyjmą, to będzie pewnie i dlatego, że się... to stało... To się już musiało roznieść... prawda?... prawda?...

Julka. Nie myśl o tem Elko! Jeśli nie dostaniesz miejsca w agencji, to dlatego, że jest za dużo biednych kobiet na świecie, a za mało dla nich pracy.

Elka (z wybuchem). I powiadają, że każde stworzenie ma wyznaczone sobie miejsce pod słońcem. A poco żyją takie biedne dziewczyny jak ty i ja? po co?... Och! bo i ty, choć jesteś o tyle mądrzejsza odemnie... tylko nędzę masz za swoją pracę. A teraz ja ci spadłam na kark! ja!... Co ta moja choroba musiała cię kosztować!... Boże, mój Boże!...

Julka. Proszę cię — nie myśl o tem!

Elka (po chwili). Julko!

Julka. Co, Elko!

Elka. Powiedz mi prawdę — ale prawdę, jak na świętej spowiedzi... Ty... od... niego... nie wzięłaś?... ani centa?

Julka. Nie wzięłam nic. Na to ci mogę przysiąc.

Elka. Och! bo to byłoby straszne... ja umarłabym chyba, gdybym się dowiedziała, że on kupił mi choć łyżkę lekarstwa... Albo... trumienkę...

(nagle zaczyna płakać).

O! Julko! Julko!

Julka (podchodzi ku niej i głaszcze ją po włosach). Elko... proszę cię...

Elka. Tak straszno pomyśleć Julko, że ta mała trumienka, to wszystko...

(po chwili; biorąc Julkę za rękę)!

Powiedz mi, czy przynajmniej na cmentarzu był ksiądz?

Julka. Ależ tak, Elko—był. Dobry, siwy, poczciwy ksiądz, który o nie się nie pytał... i znakiem krzyża pożegnał.

Elka. Mój Boże!... mój Boże!...

(po chwili).

Co to tak szumi?

Julka. To deszcz po szybach dzwoni.

Elka. Och jak smutno! to już jesień!... znów jesień!... Gdy zachorowałam było jeszcze lato. Jak się to długo ciągnęło!

(po chwili).

Dlaczego i ja nie umarłam?

Julka. Zapalę lampę, Elko — będzie ci weselej.

Elka (owijając się chustką). Nie! nie! proszę cię. Szara godzina... to tak miło. Lepiej się rozmawia. Czy mnie słuchasz, Julko?

Julka (siadając przy piecu). Tak, Elko.

Elka. Jeśli cię nudzę, to powiedz, a ja wtedy przestanę mówić. Ale ja ci coś chciałam powiedzieć. Tylko może się ze mnie wyśmiejesz... co?

Julka. Nie, nie będę się z ciebie wyśmiewać, Elko.

Elka (nieśmiało). Ja bardzo się teraz zmieniłam, Julko, bardzo, bardzo. Gdy tak leżałam nieruchoma i milcząca całe dnie i noce, to ty myślałaś, że ja śpię. Ale ja nie spałam. Ja ciągle myślałam. I przyszedłam do przekonania, że ja jestem zupełnie inna niż dawniej. Ja jestem za głupia, żeby ci tak dokładnie powiedzieć w czym ja się zmieniłam, ale ja to czuję... Ja jestem teraz jakaś lepsza... Dlaczego to, Julko?

Julka. Dlatego, że tak wiele przecierpiałaś Elko. Ci, którzy mówią, że cierpienie uszlachetnia, nie kłamia.

Elka. Może ty masz rację. Bo z początku, to gdy sobie przypomniałam i... jego, co on zrobił, to mnie ogarnął taki gniew, że

gdybym go była zobaczyła, byłabym go zabiła. A potem w miarę, jak codzień więcej płakałam, serce mi jakoś miękło i ten gniew przechodził. Teraz już tylko, kiedy o nim myślę, to nie mam siły na gniew. A to, jak on ze mną postąpił, to widzę, jak przez mgłę.

Julka (cicho). Przez mgłę... łez!

Elka. Tak... może... nie wiem. To tylko we mnie teraz wzrosło, to jedno postanowienie. I dziś ci to chciałam powiedzieć, Julko. Już dłużej nie będę z tem zwłóczyć. Zresztą to dla mego spokoju... Czy chcesz mnie wysłuchać?

Julka (z dobrocią). Mów, moja droga... słucham cię!

Elka. Dziękuję ci! (po chwili). Czy... on... tu przychodzi!

Julka. Wiem, że dowiadywał się u stróżki z początku codziennie. Teraz spotkałam go kilka razy pod bramą.

Elka. Czy... mówił co z tobą? Och! nie myśl, że ja się nim jeszcze interesuję dla siebie samej... Ja już z nim skończyłam. To dla innych powodów.

Julka. Zamieniłam z nim tylko kilka słów. Powiedziałam mu, że byłaś między życiem a śmiercią, że... ono... nie żyje... i że powrót twój do zdrowia będzie bardzo długi. Więcej z nim mówić nie chciałam.

Elka. To dobrze!... Skoro go jeszcze spotkasz, nie mów z nim wcale, Julko. Ani ja, ani ty, nie powinniśmy go znać więcej. To był zły duch nasz... (po chwili). Jak ten deszcz o szyby bije! (pauza). Tak... co to ja. Ach tak!... Chciałam cię o coś prosić, bardzo, bardzo... Starsza! moja droga, święta, starsza, nie odmów ty mi tego!

Julka (zbliża się do kanapy). Uspokój się... co tylko w mej mocy, zrobię, możesz być pewna... o co ci chodzi?

Elka. Chodzi mi o... nią...

Julka. O kogo?

Elka. O... nią!... O tę jego... żonę!... Ty wiesz, ona mi się ciągle śni. Ciągłe, ciągle. I zawsze taka smutna, taka strasznie smutna i taka strasznie dobra, jak wtedy, gdy tu była i mówiła do mnie, że się na rozwód godzi. Ona go kochała i pewnie ciągle kocha. Gdy ztąd wychodziła, to miała oczy pełne łez... Ja zaraz pomyślałam, że mi to szczęścia nie przyniesie... i nie pomyliłam się.

Julka. Więc o co ci chodzi, Elko?

Elka. Ja chcę... żeby ona wiedziała, że ja za niego nigdy, nigdy nie wyjdę. I dlatego ona może się z nim nie rozwodzić.

Julka. Ale on się z nią nie pogodzi.

Elka. Kto wie, on przecie dziś to — jutro tamto... Przedemną się zaklinał, że się ze

mną ożeni a ot!... Tak samo i to. A zresztą... niech robią co chcą. Ja tylko chcę, żeby mnie już Bóg nie karał za jej łzy i niech ona mi się nie śni. Ja ci jeszcze coś więcej powiem.

Julka (cierpliwie). Cóż takiego, Elko?

Elka. Tylko się nie gniewaj moja starsza! Ja wczoraj położyłam sobie na kołdrze kabałę. Gniewasz się?

Julka (cierpliwie z uśmiechem). Nie!... Nie!...

Elka. I widzisz — koło niej... był as treflowy. I jak ten deszcz tak o szyby bić zacznie, to ja się boję, że ona... że ona...

(chowa głowę w poduszki).

Julka. Nie bój się! nie bój się!... proszę cię!... Elko!

Elka (gorączkowo). Trzeba ją o tem postanowieniu zaraz zawiadomić... zaraz...

Julka. Może napiszesz...

Elka. O nie!... za nic! ona się dosyć z mego listu nawyśmiewała. Potem tego nie można pisać. To trzeba jej wytłomaczyć, powiedzieć jak i co... trzeba tyle powiedzieć... to list nie obejmie... Słuchaj! Ty! Ty musisz przejść do niej...

Julka. Elko!

Elka (całując ją po rękach). Zrób to! zrób to!... a nie, to jak ciebie nie będzie

w domu, to ja się powlokę i powiem jej, że przepraszam i że nie chcę już nic! Zobaczysz ja to zrobię!...

Julka. Nie waż się! nie wolno ci wychodzić!

Elka. To ty idź!... i zrób to zaraz! Ja będę mieć spokojne sumienie! Ja będę mogła spać i ona będzie szczęśliwą... Idź! Idź!

Julka. Teraz?

Elka. Tak. Teraz. Ciemno już. Nikt cię nie zobaczy, że do niej wchodzisz. A potem co to już nas obchodzi, kiedy to wszystko skończone. Idź Julko. Ona była taka zmarzwiona... Niech ona przynajmniej nie płacze.

Julka. No... uspokój się... pójdę. Powiem jej. Choć ja jestem przekonana, że oni się nigdy nie pogodzą.

Elka. To nic, ale my zrobimy swój obowiązek.

Julka. Zapalę ci lampę przed odejściem.

Elka. Ja to sama zrobię.

Julka (biorąc żakiet i kapelusz). Tu masz małą, tu masz biszkopiki. Jeżeli ci się jeść zechce...

Elka (wstając z kanapy). Dobrze... dobrze!... och! kamień mi z serca spada!... dziękuję ci, moja droga, moja śliczna starsza!

Julka (ubrana). Proszę cię, tylko spokojnie. Ja zaraz wrócę. To niedaleko. Gdzież mój klucz od zatrzasku?... A jest!...

Elka (zatrzymując ją). Julko, trzeba jutro kazać zamek przerobić.

Julka. Dlaczego?

Elka. Bo... on... ma także klucz. To nie dobrze... po co?

Julka (zatrzymując się). Czy sobie nie ufasz, Elko? W takim razie ja nie pójdę tam, gdzie mnie posyłasz.

Elka. Nie, Julko. Ja sobie ufam... Tylko ja... jemu nie ufam.

(stoją obie na środku sceny).

Julka. Ty zaczynasz mnie zastanawiać, Elko.

Elka. Zmieniłam się—starsza, zmieniłam się—nic innego. Idź! idź!...

Julka. Idę, bądź zdrowa!

S C E N A II.

ELKA, KAROL.

(Elka, pozostawszy sama, zbliża się do stołu i zapala lampę, pije kieliszek malagi, w którym macza biszkopcik. Ruchy jej są ociężałe, niepewne, kaszle. Owija się w szal i siada znów na kanapie. Chrzęst klucza w zamku. Elka podnosi głowę. Kroki w przed-

pokoju. We drzwiach staje Karol, Elka przerażona klęka na sofie i z wyciągniętymi rękami jakby zasłaniała się przed widmem woła).

Elka. Nie! Nie!...

Karol (w palcie, kapelusz w ręku, blady). Nie... nie bój się... Czy Julki niema?

Elka (przychodząc do siebie), Wyszła... Czego... tu?... czego?

Karol (zmieszany). Chciałem się dowiedzieć o zdrowiu. Sądziłem, że śpisz... że zastanę Julkę... i zapytam.

Elka (ciągle na kanapie). Ja jestem zdrowa... tylko byłam bardzo chora.

Karol (j. w.) Wiem... i bardzo... bardzo żałuję... choć przecie...

Elka. To nic... to nic... już przeszło... Miałam dobrego doktora i lekarstwa i wszystko... Julka mi dała...

Karol. A... tem lepiej!... tem lepiej! (chwila milczenia, słysząc szum deszczu bijącego o szyby).

Karol. Czy... Julka już dziś nie wróci?

Elka. Wróci... ona poszła niedaleko. Czy pan z nią chce pomówić?

Karol. Tak... zawsze tak odemnie ucieka.

Elka. A o czym? Bo proszę pana, jeżeli to o mnie — to niech pan lepiej to mnie powie. No—co jej pan chce powiedzieć?

(Karol milczy).

Elka. Bo jeśli to o naszym małżeństwie, to ja wolę z panem odrazu o tem pomówić.

Karol (szybko). Może to odłożymy na później... Pani jeszcze słaba... nie ma sił...

Elka. Nie — nie. Lepiej niech się to wszystko odrazu wyjaśni. Ja tak, tak myślę, że jeżeli pan tu przyszedł, to pewnie pana sumienie ruszyło i pan chce się ze mną ożenić. Ale — widzi pan, jak mnie tak już śmierć w oczy zaglądała i byłam już, już w grobie, to ja się zupełnie odmieeniłam. Ja przejrzałam. Ja się zrobiłam dumniejszą. Gdyby się wróciło, to co dawniej, to już byłoby inaczej. Dlatego może pan się nie bać, ani mnie ślubu ze sobą nie proponować. To byłoby z litości a ja tego nie chcę. Ja nie dla pana — pan nie dla mnie... Niech pan sobie idzie od nas! To już będzie nasza krzywda... Niech panu Bóg przebaczy.

(z wielką prostotą).

Ja panu także przebaczam!

Karol (odzyskując rezon). Winy znów mojej takiej nie było.

Elka. Naszą winę to już Bóg kiedyś rozstrzygnie. Ja za mój grzech zapłaciłam ciężko... (cicho) strasznie ciężko. Byłam już taka chora, że ani jęczeć, ani płakać nie mogłam... Ale najgorsze było to, kiedy trumienkę wy-

nieśli... Oni cicho wynosili z domu, myśleli, że ja śpię a mnie aż coś targnęło za serce i jakby mi kto szepnął „już niema!”

(po chwili).

I widzi pan—wtedy to było mi tak strasznie, że już chyba tem zapłaciłam Panu Bogu za moje grzechy.

(pauza, słysząc łomot wichru o szyby).

Elka (ocierając oczy). Ha trudno!... stało się. Niechże mnie pan dobrze zrozumie, co ja panu mówię. Ja nigdy za pana nie pójdę. Nigdy!... Pomiedzy mną i panem będzie na zawsze ta mała trumienka. Ale jeżeli pan nie chce, żeby jeszcze ktoś się na pana żalił, to może pan... powróci do swojej żony. Ja panu nic nie mówiłam, ale wtedy, gdy ona tu była, to ja widziałam, że ona pana ciągle bardzo kocha...

Karol (żywo). Mogę panią zapewnić, że ja do niej nie wrócę.

Elka. To źle pan robi. Przecież ona może panu darować bo ona nie ma takiego żalu do pana jak ja.

Karol. Ale ja jej nie daruję... Zresztą to chyba już kwestya moja csobista.

Elka. Pewnie... Pan robi, jak pan będzie chciał.

(pauza).

Elka (przypatruje mu się nieśmiało). Pan bardzo zmizerniał

Karol. Jestem chory.

Elka. To pewnie dlatego, że pan jada znów po restauracjach.

Karol. Może!

Elka (z wielką dobrocią). Niech pan inne życie prowadzi!—dobrze? co?

Karol (niecierpliwie, oglądając się na drzwi). Czy panna Julia nie wróci?

Elka. Powiedziała, że wróci zaraz...
(Opiera się o poręcz sofy i tak siedzi długą chwilę, z pod zamkniętych powiek zaczynają płynąć łzy. Karol spogląda na nią i dostrzegłszy, że płacze, gryzie niecierpliwie usta).

Elka (cicho i zimno). Tak mi się wszystko przypomina.

Karol. Pani się denerwuje, ja pójdę.

Elka (j. w.) Nie bo choć pan tu jest, to ja tak jakbym pana nie widziała. Pan teraz dla mnie jest jak widmo z poza grobu... Pan wie — jak duch. Tamten to był inny. Pan mi jesteś zupełnie obcy.

(zgrzyt klucza w zamku).

Julka!

(Karol zmieszany cofa się ku oknom, wchodzi Julka szybko).

SCENA III.

JULKA, KAROL, ELKA.

Julka (idąc do Elki nie widzi Karola). Byłam... niema jej w domu. Zostawiłam biulet... co ci? Elko! blada jesteś jak trup? co tobie?

Elka (wskazując na Karola). Przyszedł... jest tam.

Julka (odwraca się szybko). Pan tu? po co? po co?

Karol. Sądziłem, że panią zastanę. Chciałem z panią pomówić.

Julka. Ze mną?

Elka. Ja już powiedziałam o swoim postanowieniu. Nigdy nie będę pana żoną... nigdy.. Pan może iść wolny...

Julka. Czy pan słyszy?

Karol. Słyszę.

Julka. Mimo to pan nie odchodzi?

Karol. Nie odchodzę, bo ja przyszedłem, żeby z panią pomówić. Kilkakrotnie chciałem to uczynić na ulicy—nigdy nie pozwoliła mi pani wejść z sobą w dłuższą rozmowę.

Julka. Ja panu nie mam nic do powiedzenia.

Karol. Ale ja—pani.

Elka. Julko! nie odmawiaj! Skoro on ci ma coś powiedzieć. Ja pójdę do mego po-

koju... Ja jestem bardzo znużona i zimno mi. (drży).

Julka. Tak... połóż się... Jeszcze jesteś za słaba na podobne wstrząśnienia. Chodź!... zaprowadzę cię!...

(do Karola).

Proszę tu poczekać.

SCENA IV.

KAROL potem JULKA.

(Karol chodzi po pokoju chwilę — potem siada, nagle przypomina sobie, że nie jest u siebie, zrywa się — idzie do biurka, chwyta fotografię dostrzega fotografię Julki — wysuwa ją z ramek i chowa do kieszeni — w tej chwili wchodzi Julka, widzi ten ruch i zbliżyć się do niego z oczyma groźnemi).

Julka. Dlaczego bierzesz moją fotografię?

Karol (szybko i cicho). Bo cię kocham jak szalenciec i żyć bez ciebie nie mogę!

(Julka odsuwa się od niego i patrzy na niego szeroko rozwartemi oczyma).

Karol. Tak! tak! niech będzie co chce... lepiej, że to przyszło na usta moje tak nagle i tak na pozór brutalne. Ale ja ci to opisałem... zanadto tęskniłem, zanadto szamotałem się w tej matni. Ja... ciebie... ciebie kocham i zdaje mi się... co mó-

wię, jestem pewny, że ja ciebie jedynie ciebie kochałem od pierwszej chwili, gdy t en próg przestąpiłem.

Julka. Więc to mi chciałeś powiedzieć?

Karol. To i jeszcze coś więcej. Julko...
(zbliża się do niej).

Julka (odsuwając się wyniośle). Odemnie zdaleka!...

Karol. Nie lękaj się!... nie chciałem cię znieważyć. Ty dla mnie jesteś tak piękną, tak czystą, tak niedoścignioną, że jedynie słowem mojem chciałem cię zakłąć w statuetę, przed którą mógłbym otworzyć duszę swoją.

Julka. Nie chcę słuchać dalej — nie powinienam.

Karol. Dlaczego? Przeciętna kobieta może tylko nie odczuć tego, co we mnie w tej chwili się dzieje. Ty wysłuchać mnie możesz i powinnaś. Tyś sama winna temu co się stało!

Julka. Ja?

Karol. Ty! dlaczego ty mi okazałaś się takim człowiekiem, taką duchową istotą wobec swej siostry? Każde twoje słowo, każdy twój postępek, każdy ruch niemal był nacechowany jakąś wyższością, myślą, czemś co mnie powoli do ciebie przy-

kuło. Masz mnie za bardzo poziomego, przeciętnego człowieka. A przecież widzisz, że tak nie było. Twój duch, twój rozum oddziaływał na mój duch, na mój umysł. Ty byłaś od wszystkich kobiet różna. Ty byłaś... inna!..

Julka (szybko). A... tu cię czekałam! Inna... ja byłam inna!... I w tem leżała moja potęga i ten urok, to oddziaływanie na twą duszę i na twój umysł. Ty myślisz, że mnie kochasz, dlatego iż jestem, jak mówisz, biała, uduchowiona... Nie—ty tego nie widzisz... ty tylko czujesz we mnie inną kobietę, niż te, które do tej chwili posiadały twe nerwy, twe zmysły—i wyciągasz ku mnie swe ręce. Ależ zrozumiej, że gdybyś mnie był spotkał w ów wieczór, w który spotkałeś tę biedną Elkę i gdybym ja zajęła tę pustkę, jaką miałeś dokoła siebie, dziś tak samo szalałbyś za Elką — bo ona wydałaby ci się ową... inną...

Karol (gorąco). Nie — to nieprawda. Ty opanowałaś mnie nie dlatego, że jesteś inną, ale dlatego, że jesteś sobą, kobietą — kobietą — człowiekiem, kobietą zupełną — mogącą być towarzyszką życia mężczyzny, jego przyjacielem, doradcą...

Julka. Ale nie kochanką... Widzisz więc, że i przy mnie bardzo szybko zapragnąłbyś zmysłowych szarów, nerwowych wstrząśnień, artystycznych wrażeń i goniłbyś za nimi. Wrogiem każdej kobiety, nieprzyjacielem jej

nieubłaganym jest każda inna kobieta. Ta, która posiada serce, nie działa na nerwy, ta, która działa na nerwy, nie podbudza zmysłów a podbudzająca zmysły, pokonaną jest przez kobietę bardziej uduchowioną. I tak wiecznie, wiecznie... błędne koło! błędne koło!

Karol. Ty rozumujesz... zimno, chłodno, obojętnie... ja szaleję, mózg mój pracuje dniami i nocami, aby odtworzyć twoje słowa, twoje uśmiechy, twoje nieporównane znaczenia, jakie umiesz nadać wyrazom. Czuję, że przez ciebie będę człowiekiem pracy i czynu...

Julka (ironicznie ale poważnie). Jak długo? Dopóki twoje zmysły lub nerwy lub wyobraźnia nie dopomną się o swoje prawa.

Karol. Jeśli tak mówisz, to wiedz, że nerwy moje szaleją na samą myśl o tobie..

Julka. Jeżeli nerwy—więc w takim razie dlaczego mówisz o duchu? o umyśle? Ale nie, ty się mylisz, ty sam nie wiesz, co tobą targa. A ja ci mówię, że to tylko chęć osiągnięcia tego, co jest dla ciebie niedościgłe — nie więcej.

Karol. Czuję, że zmarnieję bez ciebie.

Julka. Nigdy! Ty będziesz dalej odbywał swą wieczną wędrówkę, ciągle spragniony, ciągle za inną dążący. Jest was tysiące takich Ahaswerów miłosnych. Chodźcie ciągle w błędnem kole, wyciągacie ręce i objacie rozpaczliwie głowy o ściany więzienia, któ-

re sami zamknęliście na kłódki. Stworzyliście sobie świat pożądań, intryg, przygód miłosnych i kupczycie w nim, szalejecie sądząc, że poza temi bolami już nie istnieje. A miłosne wasze przygody, to przygody Guliwera w krainie Liliputów, w porównaniu z tragedią walk społecznych, w porównaniu z majestatem śmierci... Ale wy będziecie wiecznymi Ahaswerami, głuchymi i ciemnymi na wszystko, co nie jest wspólne z waszemi egoistycznymi erotycznymi aferami.

Karol. Mróz od ciebie wieje, gdy tak mówisz, mróz a mimo to ja gorzeję cały... Mówisz, że jestem Ahaswerem — dobrze. Ale zrozumiej, że od ciebie zależy, ażebym zakończył tę wieczną wędrówkę. I tak zmienilem się tak, że sam siebie poznać nie mogę.

Julka. W czym?

Karol (zmieszany). No... no...

Julka. Czy nie zajmujesz więcej niż kiedykolwiek siebie i drugih przygodami swego serca czy zmysłów? Gdy dziecko umarło posłałam cię szukać. Chciałam ci to powiedzieć. Byłam w domu, w redakcyi — powiedziano mi, że jesteś w handelku. Przez okno widziałam cię, jak przed bufetem zajadałeś się i popijałeś piwem. Potem pochyliłeś się i karmiłeś jakiegoś opasłego psa.

Karol. Chodziłem do knajpy dla zadurzenia się. Szukałem rozrywki...

Julka (ironicznie i smutnie). Ahaswer! Ahaswer!

Karol (wściekły). Julka!... Julka!...

(po chwili).

Jak cię przekonać? jak cię ubłagać? Julio! zrozumiej, miej litość!...

Julka. Duży dowód litości dałam rozmawiając w ten sposób z tobą, w ten sposób i tak długo. Imponujesz mi jednak, po prostu, dobrą wiarą, z jaką upierasz się przy tej całej sytuacji. A teraz dość tego! I tak za długo mówię z tobą w tej kwestyi. Spodziewam się, że zechcesz nas obie pozostawić w spokoju. Ani ja, ani siostra moja nie chcemy, nie możemy widywać cię więcej!...

Karol. Co chcesz, ażeby się teraz ze mną stało? Tak przywykłem do ciebie, do twego widoku, do twego głosu, do rozmowy z tobą, iż nie jestem w stanie pomyśleć, że muszę się wyrzec tego wszystkiego.

Julka. A czy zapytałeś się, co stało się z twą żoną, gdy ją opuściłeś, co stało się z Elką, gdy tak ją bezlitośnie odepchnąłeś? Wszak i one przywykły do ciebie a musiały wyrzec się tego wszystkiego.

Karol. To zupełnie co innego.

Julka. Dlaczego?

Karol. Im łatwiej—one kobiety a ja mężczyzna.

Julka. Zdumiewająca logika. To mnie jednak nie przekonywa. Zechciej mnie opuścić!

Karol. Wypędzasz mnie?

Julka. Nie — wskazuję ci tylko tę samą drogę, którą wyniesiono z naszego domu trumnę twego dziecka. Nie było cię wtedy — słuszną rzecz, ażebyś wyszedł teraz tym żałobnym śladem.

Karol (wściekły). Julka! Julka! milcz!... nie doprowadzaj mnie do szału.

Julka (zimno i spokojnie). Szału twego ja się nie boję! Sądzę jednak, że zechcesz swe miłosne komplikacye, które stanowią alfę i omegę twego życia, załatwiać inaczej i uszanujesz spokój mej siostry, która przez twoje pomyłki miłosne jest chorą i długo nią jeszcze będzie.

Karol. Więc... nie chcesz być moją... żoną?

Julka. Ani żoną, ani kochanką, ani towarzyszem, ani bratnią duszą!

Karol. Mam więc się ciebie wyrzec?

Julka. Pod wszystkimi postaciami.

Karol. Ironią swoją nie zgnieciesz mnie... Tę lodową przestrzeń, tę barykadę, którą stawiasz pomiędzy mną i sobą — ja obalę...

Julka. Niema siły, któraby to zrobiła.

Karol. Dowiodę ci, że nie szło mi o ciebie jako kobietę, której pożądam chwilowo,

ale że chcę cię mieć jako ideał przewodni-
mego życia. Rozumiesz? Jako coś wyższego,
coś na czem mógłbym się oprzeć moralnie
w chwili zwątpienia... I ja ci to dowiodę.

Julka. Jak? ja tych dowodów nie przyjmę.

Karol. Musisz!... Ja się ożenię z twoją
siostrą...

Julka (ze stłumionym krzykiem). Z Elką?...
z Elką po to, ażeby mnie nie utracić?

Karol. Tak — po to, aby ciebie nie-
utracić!

Julka. To się nigdy nie stanie!

Karol. Stanie się! ja ci to mówię!

Julka. Siostra moja już cię nie kocha...

Karol. Co? jesteś w błędzie. Zamieniłem
z nią parę słów i wiem co mam o tem są-
dzić. A nawet—gdyby mnie nie kochała—
ja potrafię w niej tę miłość na nowo obu-
dzić.

Julka. To nikczemne co pan mówisz!

Karol. Nie — pobudki moje są wyższe.
W ten sposób znajdę się znów w pobliżu
ciebie.

Julka. Mylisz się — ucieknę wtedy od
was. Ale ja nie dozwolę na to, aby Elka
miała wpaść w twoje ręce.

Karol. Rób co chcesz... zobaczymy kto
będzie silniejszy. O! nie teraz... gdy wyzdro-

wieje potrafię się z nią spotkać... a wtedy może się przekonasz, jak głęboko... jak namiętnie cię kochałem... Bądź zdrowa....

(wychodzi).

SCENA V.

JULKA i ELKA.

(Julka po wyjściu Karola parzy za nim jak osłupiała, we drzwiach pokoju na lewo pojawia się Elka).

Elka. Julko!

Julka (drgnąwszy). Ach! to ty!... nie spisz?

Elka. Nie mogłam. Ciągłe słyszałam wasze głosy. Co on ci mówił? Czy mu wytłumaczyłaś to wszystko? Czy mu powiedziałaś, ażeby wrócił do żony?

Julka (zmieszana). Tak... tak...

Elka. A... on... co on na to?

Julka (jak wyżej). Nic... nic... milczał... odpowiadał komunałami.

Elka. Starsza— ty kłamiesz... ty prawdy nie mówisz!... odwracasz twarz!... Ty coś kryjesz przedemną.

(dzwonek).

Julka. Ktoś dzwoni.

Elka. Może to on. Ale nie... on ma klucz od zatrzasku.

Julka. Pójdę, zobaczę.

(idzie do przedpokoju).

S C E N A VI.

JULKA, ELKA, NINA.

(Wchodzi Nina nadzwyczaj strojnie ubrana, w innej toalecie—dzwoni łańcuszkami i brelokami—szumi suknią. Jest w wybornym humorze i bardzo wesoła. Widać, że to nerwowa jej faza.

Nina (uprzejmie). Wróciłam do domu przed chwilą i zastałam pani bilet a na nim kilka słów, że pani pragnie się ze mną widzieć. Któraż to z pań u mnie była?

Julka. Ja... moja siostra jest chora—nie wychodzi.

Nina. Wiem... wiem... Przykra historia... No... ale... nie moja w tem wina... Ja oszczędzałam pani zmartwienia. Zastawszy pani bilet domyśliłam się, że się stało coś nadzwyczajnego i nie rozbierając się—przychodzę. O cóż idzie?...

Julka. Siostra moja pragnie z panią pomówić.

Nina (z grzecznym uśmiechem). Słucham.

(siada).

Elka. Julko... powiedz ty...

Nina. Bo jeśli to w sprawie rozwodu, to muszę panie zapewnić, iż wszystko na najlepszej drodze. Zeznania moje uznano za ważne i wystarczające. Powód rozwodu będzie bardzo przyzwoity i correct—bo przymus moralny. Naturalnie przeciągnie się to jeszcze trochę, ale spodziewam się, że cała rzecz załatwi się pomyślnie.

Julka. Siostrze mojej na rozwodzie już wcale nie zależy.

Nina (zdziwiona). Tak? czy dlatego, że Kar... to jest pan Karol jakoś się od pań odsunął i nie bywa tu wcale... Niech to pań nie dziwi... ale ja wiem dużo, mimowoli (z uśmiechem). Z początku interesowałam się tem bardzo, więc dowiadywałam się, ale teraz to już zupełnie wypadkowo. Ja sądzę jednak, że to się ułoży i że Karol się zastanowi, iż ostatecznie takie postępowanie nie ma sensu.

Elka. Ja najzupełniej nie pragnę, ażeby pan Karol do mnie powrócił. I gdyby on nie wiem jak tego pragnął, ja nie zgodzę się zostać jego żoną... Tylko chodzi mi o to teraz. Ja wiem, że pani go kocha i że pani bardzo cierpi...

N i n a (trochę zmieszana). Muszę panią wyprowadzić z błędu. Ja go wcale nie kocham... i przyszedłam do przekonania, że ten rozwód to moje zbawienie... Gdyby on nawet teraz odstąpił od prowadzenia rozwodu, ja go prowadzić będę.

E l k a. Pani go już nie kocha? Jakże to?... Wszak dwa miesiące temu, tu, pani była taka smuta...

N i n a (wybuchając śmiechem). Dwa miesiące!... ależ droga pani, przez dwa miesiące można się namyśleć, zastanowić, przyjść do rozumu i... zaręczyć.

E l k a. Zaręczyć?

N i n a (wesoło). Tak! tak!... wygadałam się... no ale to trudno! I tak mój stosunek do pań jest tak oryginalny. Wpadłam do pań, aby wam zrobić scenę — to była moja pierwsza wizyta—potem przyszedłam w sentymencie i w żałobie—to była moja druga wizyta — wreszcie zjawiam się po raz trzeci i oznajmiam paniom, że — jestem zaręczona.

J u l k a (spokojnie). Pani bardzo nerwowa.

N i n a. Okropnie. Dlatego robię masę głupstw. Ale moje małżeństwo nie będzie wcale głupstwem. Ktoś bardzo, bardzo dobrze—z sytuacją, ze stanowiskiem, majątkowo dla mnie odpowiedni. Słowem, dziś

najzupełniej nie żałuję tego, że się z Karolem rozstałam. Nawet mu wdzięczna jestem. Skoro go panie zobaczą, niech mu to panie powiedzą.

Julka. My nie będziemy widzieć więcej męża pani.

Nina. Och! dlaczego? Tak surowo, to źle. To wcale nie jest zły człowiek, tylko sam nie wie czego chce... Ot — mężczyzna! Ale grunt ma niezły. Ja się za nim wstawiam. Niechże panie go tak ostro nie sądzą... Ot—ja chyba mam prawo mieć do niego duży żal a przecież jest przeciwnie... No—a teraz o cóż chodzi? co mi panie mają do powiedzenia?

Julka. Już nic. Wobec teraźniejszego, świetnego usposobienia pani i wobec tego, że się pani zaręczyła...

Nina. Może panie sądziły, że ja się zechcę pogodzić z Karolem?... Cóż znowu! Po co? (do Elki). Pani jednak radzę niech pani się nie zaczyna w uporze i z nim pogodzi. Już tyle razem z sobą przeżyliście... To bardzo wiąże dwoje ludzi... Niech pani przemówi do niego serdecznie a on się z pewnością wróci. Ja z nim nie umiałam postępować. Z nim trzeba dobrocią... cukrem, cukrem... O! już teraz będę wiedziała jak z mężem się obchodzić...

(po chwili).

To tylko o to paniom chodziło? Tak?... No to ja już pójdę, bo mam dziś jeszcze gości na herbacie (do Elki). Strasznie pani blada... Niech pani dolewa do wszystkiego ekstrakty doskonałe i wino stare... potem na południe... ale już razem z Karolem. No... do widzenia! uciekam!.. A skoro spotkam Karola natychmiast go przyślę... Dziękuję... niech pani nie wychodzi, bo zimno do widzenia!... (wychodzi szeleszcząc, Julka ją odprowadza, Elka stoi zdumiona, Julka wraca i patrzy przez chwilę na Elkę).

S C E N A VII.

ELKA, JULKA.

(Elka zdumiona patrzy przez chwilę na drzwi, któremi wyszła Nina, po chwili chwytając Julkę za rękę)

Elka. Julko!... widziałaś? słyszałaś?

Julka. Słyszałam, widziałam i nie dziwię się, Elko!

Elka. Jakto! Jakto? Tak prędko zapomniała o nim—pokochała innego?

Julka. Moja biedna Elko... Ty tego nie rozumiesz. Ty już całe życie będziesz pamiętać o swoich łzach i o swym bólu — ale ona nie jest tobą... to Ahaswer także--który szuka, wiecznie szuka...

Elka. Nie rozumiem cię, Julko. Zresztą, ja widzę, że wielu rzeczy jeszcze w miłości nie rozumiem, skoro się tak bardzo zdziwiłam. Oh!... starsza!... przecież to straszne, tak prędko przestać myśleć o kimś, kto niedawno jeszcze był wszystkim. To prawie niemożliwe.

Julka. Dla nerwowych istot — wszystko jest możliwe.

Elka. To dziwne! dziwne... A ja myślałam, że wyrzekając się Karola, sprawię jej tem tyle radości, że oni się pogodzą.

(siada na sofce zamyślona, Julka przynosi na stół książki i zaczyna robić z nich notatki).

Elka (po długiej chwili). Julko!

Julka. Co, Elko?

Elka. Widziałaś, jaki Karol mizerny?

Julka. Nie uważałam...

Elka. Och! bardzo mizerny—blady, oczy wpadnięte... on się musi bardzo martwić swoim ze mną postępkom, co?

(Julka milczy).

Elka. Bo przecież gdyby się nie martwił... gdyby go sumienie nie gryzło, nie byłby tu przyszedł... a potem dlaczego on tak źle wygląda. Może to z restauracyjnego życia, ale prędzej ze zmartwienia... Jak myślisz Julko?

Julka. Elko!... już późno... możebyś poszła spać?

Elka. Nie!... nie!... pozwól mi jeszcze posiedzieć... Nie mogłabym spać, tyle myśli mi się tłoczy do głowy... I ta jego żona!... patrzcie państwo!... zaręczyła się!..

(po chwili).

Przeszkadzam ci?

Julka. Nie, Elko...

Elka. Już będę zupełnie cicho siedzieć... ty czytaj...

(po chwili, cichutko).

Julko!... ja się ciebie chciałam o coś zapytać.

Julka (cierpliwie). No... pytaj... pytaj...

Elka (nieśmiało). Ale ty mi tego za złe nie weźmiesz?

Julka. Nie wiem jeszcze.

Elka. Co... on... z tobą mówił? O czym? O naszym małżeństwie—prawda?

Julka. Tak—o małżeństwie.

Elka. I coś ty mu odpowiedziała? Czy powiedziałaś mu — żeby... poszedł precz... i więcej... więcej nie wrócił?

Julka (odwraca się i patrzy na Elkę). Elko! co to ma znaczyć?

Elka (zmieszana, szybko). Nic... nie... tylko ja tak chciałam wiedzieć... a potem ja myślę sobie, że teraz kiedy i ona go nie

chce to... on... będzie sam i będzie mu smutno...

Julka (wstaje, idzie do Elki, bierze ją za rękę i mówi poważnie) Elko,... czy ty go jeszcze kochasz?

Elka (wybuchając płaczem). Nie wiem! nie wiem!

Julka (pochylona nad nią). Wniknij w siebie... zbadaj swe serce...

Elka (płacząc). Ja nie wiem... ale mi go żal... on taki blady. On może żałuje, tęskni. I widzisz, jakem go zobaczyła, wszystko sobie przypomniałam, jak i co było. No — cóż chcesz?... ja nie jestem taką, jak tamta. Ja nie mogę zapomnieć...

Julka. A przecież musisz!

Elka (nieśmiało). Jeżeli on jest teraz zupełnie wolny... jeżeli on się poprawi... jeżeli on żałuje... to... przecież ja mogę, ja powinnam przebaczyć. Kiedy mnie ksiądz na śmierć dysponował, kazał mi przebaczyć. Ja przebaczyłam... więc...

Julka. Przebaczyć możesz i powinnaś ale i zapomnieć o nim musisz.

Elka. Tego nie można nakazać, starsza... Widzisz, tego nie można nakazać. Gdybyś ty kochała tak jak ja, zrozumiałabyś, że nie można zapomnieć.

Julka. Można nie kochać tak, jak ty, moja biedna!

Elka (chwytając ją za ręce). Widzisz — nazywasz mnie „biedną“. Żałujesz mnie, prawda?

Julka. Żałuję cię z całej duszy!

Elka. Ja taka biedna... tyle się wycierpiałam, wychorowałam, zrób tak! niech ja się już nie męczę dłużej... I on także... Zobacysz... Jak on się ze mną ożeni, on się poprawi. I ja będę inną. Będę się uczyć, będę czytać, będę już od rana uczesana, ubrana, nie będę się z nim sprzeczać... To wszystko była moja, tak! tak, moja wina... on znów taki zły nie jest. Słyszałaś, co tamta powiedziała, że on nie jest taki zły... No... pozwól, niech on się ze mną ożeni.

Julka. Ty?... ty chcesz za niego iść? ty po tem wszystkim co się stało? Ależ przypomnij sobie... Elko!... zmuszasz mnie do wymówienia słów, które cię śmiertelnie zabolą... Przez niego ono umarło!

Elka (cicho). Nie, Julko... ja wtenczas go może nie rozumiałam... On przecież powiedział tylko, że „nie wie“ czy się ze mną ożeni. Może on myślał o tem, że niewiadomo, czy rozwód dostanie. A ja zaraz tak się o to zmartwiłam... Gdyby on nie chciał się ze mną

żenić, to byłby zupełnie nie przychodził... A przecież sama mówiłaś, że czekał na ciebie nieraz na ulicy i chciał do ciebie mówić ale mu nie pozwoliłaś...

J u l k a (hamując się). Elko! Elko!... lepiej nie chciej się dowiedzieć prawdy.

E l k a. Ja teraz wiem całą prawdę, Julko szkoda żeś przedtem z nim nie pomówiła... on byłby się tak nie martwił i nie zmizerniał wiedząc, że ja znów nie jestem taką zaciętą.

J u l k a. Jeszcze ci jedno powiem, Elko. Zastanów się nad tem. Chcesz być żoną Karola. Ale pomyśl... jaki to człowiek. Jemu się dziś ty podobasz, jutro Nina — pojutrze kto inny...

E l k a. O nie! teraz już chyba tak nie będzie. On się przekona, że ja go prawdziwie kocham, skoro mimo wszystkiego przebaczam mu i on będzie mnie już stale i wiernie kochał.

J u l k a. Chcesz prawdy, a więc posłuchaj mnie Elko! Tylko pamiętaj — że z m u s z o n a, z m u s z o n a mówię ci wszystko. Chcę cię ocalić przed tobą samą. Wolę, ażeby cierpienie twoje było straszne i wielkie, ale pozostaniesz z niego uleczona.

E l k a (przerażona, tuląc ręce do piersi). Och, starsza! ty mi chcesz coś strasznego powiedzieć.

J u l k a (całując ją gorąco). Tak, Elko! lecz znając cię, jestem przekonana, że ulecę cię, zupełnie. A więc dowiedz się, że Karol już ciebie nie kocha, ale teraz... kocha się we mnie.

E l k a (przerażona). Co?... w tobie?...

J u l k a Tak! i jeśli chce się z tobą żenić, to jedynie dlatego, że ja go nie chcę. — Lęka się utracić jakiegokolwiek nici łączącej mnie z nim i postanowił do tego użyć ciebie, biedaczko... Zrozumiałaś mnie, Elko?

E l k a (ogłuszona). Tak... tak...

(nagle).

To nieprawda! to nieprawda!

J u l k a (poważnie). Elko!... zapomniałaś że ja nigdy nie kłamię.

E l k a Daruj!... daruj!... ale ja nie myślę... może ty to mówisz, żeby mnie wyleczyć...

J u l k a Nie miałabym siły wymyśleć coś podobnego, nawet dla wyleczenia ciebie. Ale przekonam cię w inny sposób. Patrz — oto ramka, w której były fotografie nas obu... (bierze fotografie w ramkach podwójnych. W ramkach jest tylko fotografia Elki, druga jest pusta).

Jedną z tych fotografii wziął przed chwilą Karol, skradł potajemnie, gdy ja wyszłam z

tobą na chwilę. — Patrz — twoją fotografię zostawił...

Elka (jest nieprzytomna). Tak!... masz rację... moją zostawił... zresztą ty nie kłamiesz..
(po chwili).

On ci to samo wszystko powiedział?

Julka. Tak Elko — on mi to miał odważyć powiedzieć.

Elka (blada, przykładając twarz do poduszki). Pozwól... odpocznę... tak mi zimno!...

(Julka klęka przy niej).

Elka. Zresztą... gdy sobie wszystko przypomnę... prawda! prawda!... On z tobą tylko rozmawiał, on powołał ciebie o wszystko się pytał... nieraz on z tobą rozmawiał godzinę i dwie..., a mnie tylko pogłaskał, jak psinę, a gdy ja się odezwałam, mówił „cicho! cicho!...” Ty masz rację... On ciebie pokochał, musiał... bo ty jesteś rozumna, ładna, wykształcona... ty jesteś inna...

Julka. Tak, Elko. I dlatego on mnie pokochał, że ja jestem inna... a nie dlatego, że ja trochę więcej umiem niż ty. Gdyby na mojem miejscu, obok ciebie była jakaś druga kobieta, on byłby się także nią zajął — nie patrząc w czem leży różnica pomiędzy nią i tobą. — To już jego natura... on tak będzie

wiecznie wędrował — zrywał — szalał i znów odchodził, szukając innej.

El k a. To jemu będzie bardzo źle na świecie, Julko.

J u l k a. Tak Elko... skoro on lubuje się w tem cierpieniu i potrafi je zagłuszać. Ale sto razy gorzej kobietom, które w błędną ścieżkę takiego Ahaswera wpadną. — Patrz! Nina bardzo płakała — lecz że jej natura podobna do niego... weszła sama na swą błędną ścieżkę. A ty — taka ty, wiesz teraz czym jest śmierć własnego dziecka... Przeszłaś straszny chrzest łez... Twoje biedne życie to cała tragedia...

El k a. Julko!... jak ty dobrze do mnie mówisz? jaka ty dobra dla mnie jesteś!

J u l k a. Bo winna jestem względem ciebie Elko! winna bardzo.

El k a. Ty, starsza?

J u l k a. Tak — ja! Nie byłam dla ciebie siostrą — przeciwnie — ja czułam dla ciebie pewien rodzaj pogardy za to, że ty lgnęłaś do rokoszy i do zmysłowej miłości.

El k a. Miałaś słuszność, Julko!... Powinnaś była mną gardzić.

J u l k a. Nie, Elko! — Nie miałam do tego prawa. Bo później — gdy zobaczyłam, jakimi cierpieniami opłacałaś tę jałmużnę,

ten cień szczęścia, za którym goniłaś, gdy przekonałam się, iż to ja raczej uciekam przed przeznaczeniem kobiety, chroniąc się w biel nieskalaną — odczułam, że ja jestem niczem — wobec ciebie, Elko! — I ty wydałaś mi się tak wielką i promienną w majestacie twego macierzyństwa, tak tragicznie piękną w skardze twojej, że dziś ja proszę cię o przebaczenie!... Daruj mi poprzedni mój chłód i oziębłość. Od tej chwili, Elko, ja jestem dopiero siostrą twoją!

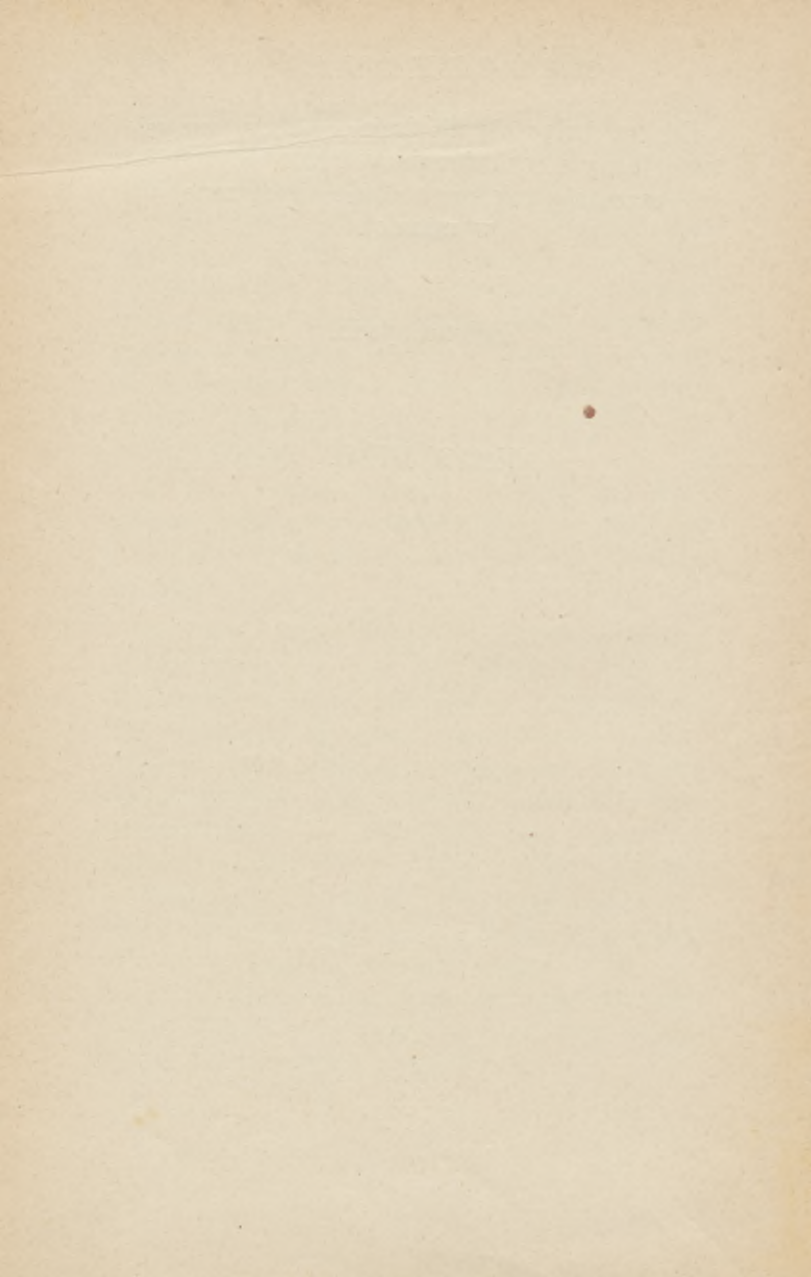
El k a. Och!... starsza!... gdybyś ty wiedziała, jaka noc przedemną. — Chwilami zdaje mi się, że jestem już po drugiej stronie grobu!...

J u l k a. Nie, Elko! Noc przed tobą, bo jeszcze mgła leż ci wzrok zasłania. Ale — czy zechcesz podać mi rękę — i czy pozwolisz prowadzić się przez resztę życia? Z czymś to mogę wykonać sumieniem. Ty spełniłaś swą dań jako kobieta, spełniłaś swe przeznaczenie. — Przeszłaś całą tragedję miłości i nad grobem dałaś życie — życiu. — Lecz teraz z tragedyi tej wyjdiesz odrodzona moralnie. Zmysły twe przeszły katorgę, serce twe łkaniem swoim obudzi twój umysł. — I każda z nas poniesie przed sobą jak lampę ofiarną to, na co ją stać. Ty serce twoje, skrwawione i zbolełe.

Elka (tuląc się do Julki). A ty, umysł
twój jasny i rozświecający mrok!
(pozostają tak przy oknie zapatrzone
w miasto).

Zasłona spada.

K O N I E C.



ŻYCIE NA ŻART.

SZTUKA

w pięciu aktach.

O S O B Y:

LIPECKI, dyrektor banku.

Hr. CASERTA.

STANIO.

MOŚCICKI.

WERYCHO.

PIWOŃSKI.

CHEŁCZYŃSKI

ORDEGA.

MICHAŚ.

JANEK.

POŚLANIEC.

POŚLUGACZ.

JEDEN Z LOKAI.

PRECHNER.

WANDA LIPECKA.

MERY.

JULCIA.

KSIEŻNA.

KSIEŻNICZKA MINUSIA.

NORA BERINGER.

CHARTING.

LUNIA.

ZIUNIA.

LILI ORDEŻANKA.

PANNA MARCELA.

BONA.

JÓZIO.

KOCIA.

Służba.—Goście.—Publiczność na ślizgawce.—Kasyer.—Służba na ślizgawce.—Orkiestra.

AKT PIERWSZY.

Salon w mieszkaniu Lipeckich, bardzo elegancko, wytwornie umeblowany; w głębi drzwi do jadalni, otwarte szeroko. Widać bufet, stół, dokoła krzesła; wszystko nadzwyczaj eleganckie. Na lewo na scenie kominiek, naokoło niego niskie foteliki, parawanami osłonięte od reszty salonu, mnóstwo palm i kwiatów, po prawej fortepian, klawiatura wgłąb sceny zwrócona, udekorowany wspaniałą oponą, na nim palma. Na ścianach moderne obrazy, na ziemi wielki dywan, na nim porozrzucone masy skór i drobnych dywaników. Atmosfera dostatku i niezwyczajnego zbytku.

SCENA I.

MERY, WANDA.

(W chwili podniesienia zasłony wpada Mery, nie zupełnie ubrana, w spódnicy i w maitince elegackiej, w pantofelkach wyszytych

złotem i biegnie do fortepianu. Otwiera go, pokazuje figę ku drzwiom na lewo od widzów i mówi):

Mery. Poczekaj!

(Siada i zaczyna grać chałaśliwie L'Altale-nę, piosenkę wenecką. Po chwili otwierają się z impetem drzwi z lewej strony i pokazuje się w nich Wanda, w szlafroku eleganckim, z rozpuszczonemi włosami, zakręconemi z przodu w papiloty; bardzo piękna brunetka, wysoka, blada, wyraz namiętny).

Wanda. Nie graj, zakazuję ci!...

Mery (nuci, smukła, kształtna, twarz przewrotna, energiczna).

Wanda. Nie graj, słyszysz!...

Mery (gra coraz żywiej).

Wanda. Nie graj, zakazuję ci!...

Mery. Będę grała! Muszę grać! Będę dziś akompaniować Staniowi.

Wanda (bardzo gwałtownie). Nie będziesz akompaniować Staniowi!

Mery (przerywa grę, trzyma ręce na klawiszach). Bo?...

Wanda. Bo?... bo znajduję to niewłaściwem. A zresztą, zabraniam ci, wiesz!

(Prawie razem i coraz gwałtowniej).

Mery (gwałtownie). Ona mi zabrania!

Wanda (coraz szybciej). Tak, zabraniam ci!

Mery (jak wyżej). Jakiem prawem?

Wanda (jak wyżej). Jakiem prawem? wynoś się!

Mery. Ach! non! o, nie! robię, co mi się podoba.

(Zaczyna grać hałaśliwie).

SCENA II.

Też same.—LIPECKI.

(Mężczyzna napozór poważny, z pewnym nerwowym niepokojem w twarzy i w ruchach).

Lipecki. Co się tu dzieje? spać nie można?

Wanda. To jest twoja siostrzenica, twoja droga siostrzenica, rozbija fortepian...

Mery. Fortepian jest mój, dlatego mam prawo grać na nim, kiedy mi się podoba.

Wanda. Nie wtedy, gdy twój stryj śpi w przyległym pokoju.

Mery. Ho, ho! nie o to tu chodzi.

Wanda (zuchwale). Więc o co? więc o co?

Mery. Ei bien... vous saver—vous aver du toupet...

Lipecki. Czy wy nie możecie jednego dnia przebyć spokojnie, bez kłótni? Doprawdy, chwilami zdaje mi się, że mieszkam w suterrenach, w otoczeniu praczek i stróżek...

Wanda (zdenerwowana). Właśnie i ty jesz-

cze zacznij ze swej strony. Doprawdy, widzę, że złe maniery, to u was familijne.

Mery. Jeżeli są złe maniery, to nabyte... Prawda stryju?

Wanda. Milcz, zuchwała dziewczyno!

Mery. To wszystko nie nie pomoże. Będę akompaniowała i ubiorę się w nową suknię i uczeszę się à la Cleo de Merode.

Wanda. Zakazuję ci, ja mam być tak uczesana.

Mery. Drwię sobie!

(Siada, zaczyna grać. Wanda podbiega i opuszcza jej na ręce deskę).

Mery. A!... ręce mi przytłukła!

Wanda. Bardzo dobrze!

(Wybiega, trzaskając drzwiami, na lewo).

Mery. Zła kobieta!

(Wybiega, trzaskając drzwiami, na lewo).

Lipecki. A dajcie mi święty spokój!

(Wybiega, trzaskając drzwiami, na prawo).

SCENA III.

MARCELA.—JANEK.

Przez chwilę pusto, w jadalni tylko od kilku chwil pojawiła się panna Marcela, czarno ubrana, niemłoda; żółta, z czarną, sterzącą grzywą, udaje, że się czem innem zaj-

muje a tymczasem podsłuchuje. Gdy wszyscy się rozlecieli, panna Marcela wchodzi do salonu i dzwoni.

Janek (chłopak dwudziestoletni, w płóciennej liberyi w paski, zasmolony). Jestem, czego chce panna Marcela?

Marcela. Ubieraj się, gawronie! Jak ty wyglądasz?... zasmolony jak kominiarz.

Janek. Zaraz liberyę wciągnę... (Po chwili, cicho). Znow się kłócili? co?

Marcela. A tobie co do tego? Podsłuchujesz?

Janek. I zaraz. Jak się rozkrzyczą. na schodach słyhać.

Marcela. Cicho! Dołoż-no do kominka.

(Janek dokłada i wychodzi).

SCENA IV.

JÓZIA.—JULEK.—BONA.

Wchodzą przez jadalnię w ubraniach zimowych, jak z ulicy, nadzwyczaj eleganckich.

Bona. Schneller, Schneller! herr Julius, was machen Sie denn?

Julek. Gib mir Ruh!...

Marcela. Czemuż przez kuchnię?

Bona. Bo schody już wyfroterowane dla

gości i płótno z dywanu ściągnięte. Pani ka-
zała przez kuchnię.

Marcela. Niechno panna tu pójdzie, coś
pannie powiem.

Bona (biegnie). Co? co?

Marcela. Żarli się!

Bona. E!... znów? jaka szkoda, że mnie
tu nie było... No i co? co?

Marcela. Ano, aż pani tej Mery ręce
fortepianem przytłukła.

Bona. Nie...

Marcela. Jak Boga mego kocham!

Bona. I to dziwić się potem biednemu
człowiekowi, kiedy tak w hrabskim stanie...
no, no!... i o co poszło?...

Marcela. Ha... no...

Bona (chrząka pytająco).

Marcela (chrząka potakująco).

Bona. A!...

Marcela. Uhm!...

Bona. No!... no!... Ale to muszą tam być
płacze!

Marcela. Niema strachu. dziś fix — zaraz
goście zaczną się schodzić, nie będą płakać,
będą się bały, żeby się im nosy nie poczer-
wieniły.

Bona. Prawda.

Marcela. Niech panna się ubiera — bo
dzieci wejdą do salonu.

Bona. Ja już ubrana.

Marcela. To za skromnie.

Bona. Cóż, może się dekoltować?

Marcela. Nie — ale to fix a w takim domu...

Bona. Co, w takim domu! jakby to było co z arystokracji! Moja panno Marcelo, ja wiem, co jest to warte. Ten dom — to przecież nie arystokracja. Jak się w prawdziwym salonie zachowują.

Marcela. No, przecież u nas...

Bona. Co u nas? To tylko małpowanie salonu, nic więcej. Ja byłam u państwa hrabstwa, ale takich prawdziwych — to wiem. Tu, niech panna Marcela posłucha, jak oni ze sobą gadają. Czasem to aż krew bije do głowy, takie głupstwa i trzeba udawać, że się nie słyszy.

(Do dzieci).

No, komen Sie in die Kinderstube! Jesus! was der treikt!

(Wychodzi).

Dzwonek, Janek biegnie otworzyć. Janek jest w liberyjce i białym krawacie.

SCENA V.

JULCIA.—MEK Y.—MARCELA.

Julcia, młoda panienka, blondynka, ubrana elegancko, w kapeluszu, wchodzi z przedpo-koju od strony prawej.

Julcia (do Marceli). Można się zobaczyć z Mery?

Marcela. Jaśnie panienka się ubiera.

Mery (wpada, ubrana prześlicznie, uczesana secesyjnie na uszy). Wiedziałam, że to ty. Poznałam cię po dzwonieniu.

Julcia. Ty masz taki instynkt, jak moja Żolka. Ona mnie zawsze pozna po dzwonieniu i potem szczeka.

Mery. Ach, ty głupiątko!... dobrze zrobiłaś, żeś przyszła wcześniej, mam ci mnóstwo rzeczy do powiedzenia.

Marcela. Czy jaśnie panienka sama herbatniki ułoży, czy ja?...

Mery. Niech Marcela to zrobi. Ja nie mogę. Jestem strasznie zdenerwowana. Ręce mi się trzęsą.

Marcela. Biedna, biedna panienka. Tak ją ciągle irytują... zdrowie panienka tylko straci.

Mery (nerwowo płacząc). Moja pocziwa Marcelo... ach! doprawdy... czasem mi jest tak ciężko, że chciałabym się powiesić.

Marcela. Jaśnie panienko!...

Mery. Cicho!... głupia!... (śmieje się). To tylko się tak mówi... ale... (odprowadza Julcię na bok). Wyobraź sobie, zrobiła mi dzisiaj znów scenę.

Julcia. Kto? pani Lipecka?
(Marcela wychodzi do jadalni, widać, jak przygotowuje na tacy kanapki i herbatniki).

Mery. Tak!... cicho!... nie gadaj tak głośno. Nie mogę cię wziąć zaraz do mego pokoju, bo tam bona Józia przebierać się będzie. Więc powiadam ci, zrobiła mi scenę, ale to en grand, aż stryj wyszedł ze swego pokoju.

Julcia. Ja nie mogę zrozumieć, za co ona ciebie tak niecierpi.

Mery. Ale ja za to dobrze rozumiem.

Julcia. Powiedz mi, dlaczego? dlaczego?

Mery. Nie, moja droga, tego ci nie powiem. A zresztą, przedewszystkiem dlatego, że jestem bogatą.

Julcia. Przecież i oni są bogaci.

Mery. No... szeroko o tem Dawid pisał. Ja wiem, ile mam po mojej mamie — mam ze dwakroć...

Julcia. To dużo... Ja mam zaledwie czterdzieści pięć tysięcy. I ja mam także po mojej mamie. Żeby się moja mama nie zaasekurowała—to nicbym nie miała.

Mery. No, to twój brat nic nie ma?

Julcia. Zdaje się, że nic. Tylko wiesz, Mery, on mnie tego nie powie, bo my z sobą prawie nigdy nie mówimy a potem, nie śmiałabym się go o to pytać.

Mery. No... to z czego on żyje? Chyba ma jaką synekurę. Zawsze ubrany wykwiintnie, ma strzelca...

Julcia (naiwnie). Ja nie wiem... on podobno gra w karty...

Mery. A!...

Julcia (szybko). Ale nie mów mu, że ja ci to powiedziałam. Zresztą, on się kiedyś bogato ożeni. Nasza mama to zawsze tak mówiła. O Stania się nie boję... on robi dobrą partyę... Jak myślisz? Bogata panna może się nim zająć. On taki śliczny, taki szykowny, takie ma maniery... prawda?

Mery. Prawda!

Julcia. A widzisz i ty się nim zachwycasz. Zresztą, nim się wszystkie panny w Sacré-Coer zachwycaly. Skoro przyszedł do mnie w niedzielę, to potem w nocy pół dortoiru nie spało, tylko ciągle o nim mówiły. Ja, żebym nie była jego siostrą, tobym się w nim szalenie kochała.

Mery. Tak... i żebyś się już w kim innym nie kochała.

Julcia. Oh! Mery!

Mery. Czego się wstydzisz? Pan Chełczyński nie jest wprawdzie bardzo świetną partyą, ale...

Julcia. Ach! ja nie mam wielkich wymagań.

Mery. No, więc... A czy oświadczył się?

Julcia. Jeszcze nie—ale prawdopodobnie lada dzień się oświadczy. Ja nie mam mamy. Ojciec w zakładzie w Döbling—więc to wszystko nie idzie tak, jak być powinno.

Mery. Masz opiekuna. Hrabia jest bardzo sympatyczny człowiek.

Julcia (smutnie). Tak... ale to nie to, co matka. Stanio, zdaje się, nie lubi pana Chełczyńskiego. Przytem — zauważyłam, że on tak niechętnie mówi zawsze o mojem zamążpójściu. A ja tak już pragnę, ażeby ta moja dziwna pozycja się skończyła. Pół sierota, ojciec obłąkany. Siedzę u tej starej cioci, ledwo z tobą gdzieś w świat się wyrwę.

Mery (wstaje). Czy chcesz, ażebym ja ze Staniem o tem pomówiła?

Julcia. Ach! moja droga, zrób to... wyrządzisz mi tem najwyższą łaskę... Stanio ciebie lubi.

Mery (siada, po chwili, z przymuszonym uśmiechem). Czy naprawdę twój brat mnie lubi?

Julcia. Bardzo! Zawsze mówi, że ty masz temperament i że masz w sobie... coś. Pytałam się go, co to jest to „coś“, ale on mi powiedział, że jestem gęś... A jeszcze mówił, że masz linię...

Mery. A co! a co! A Wanda mówi, że ja nie mam linii! Spójrz tylko w tej sukni,

jak się rysuje. Quoi? Ona ma dziś włożyć nową tea qown. Będzie zawsze wyglądać a Kleiderstock Marie.

(Ściemnia się. Mery zasuwa się w fotel—po chwili).

Więc twój brat mnie lubi... no! no!... Zdawało mi się, że mnie unika.

Julcia. E, to pewnie wtedy, kiedy przegrał w kasynie w karty. On jest strasznie wtedy zdenerwowany. (Dzwonek). Ktoś idzie.

Mery. Uspokój się... to nie twój Chełczyński. Jeszcze niema czwartej. To pewnie ktoś do stryja.

SCENA VI.

Też same.—Hr. CASERTA.

Hr. Caserta, siwiejący mężczyzna, z bakami i monoklem, ubrany niezmiernie correct, trochę tęgi, twarz zniszczona, uśmiech po-błażliwy i dobroduszny.

Hr. Caserta. Dzień dobry moim Rozynom!

Mery (witając się). Dzień dobry... Dlaczegoż to jesteśmy Rozyny, jeśli wolno wiedzieć?

Hr. Caserta. Jesteście moje pupilki

a ja jestem waszym opiekunem, jak Bartolo!

Mery. O, cóż za porównanie! Bartolo był śmieszny i...

Hr. Caserta. I stary... dokończ, Mery—obrażę się, bądź pewną.

Mery. Doprawdy, możnaby posądzić, że hrabia kokietuje swoją starością.

Hr. Caserta. Franchement — powiedz, chciałaś mnie za męża?

Mery. Na męża? Tak...

Hr. Caserta. A... (z intencją). Żle się zwróciłem, to raczej Julci powinienem się spytać, chciałaś mnie za męża?

(Julcia milczy).

Nie krępuj się, moje dziecko!... bądź szczerą... Nic nie mówisz? Och! Mery, Mery!

Mery. Dlaczego—och Mery?

Hr. Caserta. Nic, nic...

Mery (do Julci, cicho). Chodź!... zaraz nas zacznie całować...

Hr. Caserta (zbliżając się dobrodusznie). Wyglądacie dziś prześlicznie!... D'me fraicheur! Pozwólcie staremu... po ojcowsku...

(Całuję Julcię).

Mery (do Julci). A co!... nie mówiłam?

Hr. Caserta. W moim wieku...

Mery (uchylając się). Pocałunek wieku niema. Chodź, Julciu!

(Wchodzi Lipecki).

G. Zapol-ka. Życie na żart.

S C E N A VII.

Ciż sami.—LIPECKI.

Lipecki. Dobry wieczór, hrabio! Zostawcie nas, dziewczęta!

(Do hrabiego).

Dobrze się stało, że jeszcze nie ma nikogo. Przedewszystkiem załatwimy nasz interes...

(Dziewczęta wychodzą).

Oto pieniądze — kazałem przynieść twój rachunek hrabio... Czy wiesz—to... reszta.

Hr. Caserta. Wiem.

Lipecki. Oto pięć tysięcy i twój czek. Wołałem to sam załatwić, wiedząc, że dziś będziesz u nas.

Hr. Caserta (patrzy przez chwilę na pieniądze, licząc na stole). Ostatni z Siekierzyńskich!

Lipecki. Ostatni? Co do mnie, nie rozumiem takiego słowa.

Hr. Caserta. Tak, pan masz pod swym kluczem miliony.

Lipecki. Prawda! zresztą nie moje—ja mówię o swoich. Wogóle nie rozumiem, jak człowiek obdarzony krwią zimną i trochę sprytu, może powiedzieć: „to są moje ostatnie pieniądze“...

Hr. Caserta (z ironią). Ja nie mam ani

zimnej krwi, ani sprytu. Z tem trzeba się urodzić.

Lipecki (chwytając myśl Caserty). Zapewne, z jakimiś zaletami urodzić się trzeba... Hrabia umiałeś czarować... ja pracować!...

Hr. Caserta (kładąc monokl). Sam?...

Lipecki. Los dopomagał i dopomaga.

Hr. Caserta. Więc panu się zdaje, że stoisz już u szczytu?

Lipecki (żywo). Tak. Każdy z ludzi powinien, zdaniem mojem, znać i wiedzieć, gdzie jest szczyt jego powodzenia w życiu. Gdy stanie na tym punkcie, nie piąć się do góry. Tylko umieć utrzymać się na nim.

Hr. Caserta. Ze zręcznością ekwilibrysty.

Lipecki. Naturalnie—w tem mądrość życia. Nigdy nie spadać z wyżyny.

(Chwilę patrzy na pieniądze Caserty).

Hr. Caserta. Pan patrzysz na te pieniądze? Pan myślisz, że ja tak spadłem z wyżyny, bo to moje ostatnie.

(Po chwili z uśmiechem).

Pan życie normujesz ciągle, jakby przed kasą swego banku, kochany panie Lipecki. Obliczasz wszystko na tyle i tyle... A ja panu mogę prawdę powiedzieć, bo widzi pan.. ja znam życie pod wszystkimi postaciami; ci co je przed kasą obliczają—marnie liczą. Płynie się z falą... nie licząc. Gdy przyjdzie

ostatnia chwila—zgarnia się... ot tak (zgarnia pieniądze i chowa je) i mówi się — dosyć!

Lipecki. Nie rozumiem cię, hrabio.

Hr. Caserta. Zrozumiesz mnie pan później.

Lipecki. Zresztą... gdyby pożyczka—my zawsze hrabio, w każdej chwili... za poręczeniem...

Hr. Caserta (bardzo uprzejmie). Merçi. Nie będę korzystał. Nie o to mi chodzi. Pomówmy o czemś weselszem. Nie lubię kwestyj finansowych. Nazywają matematyków geniuszami. Tabliczką mnożenia i natchnienia. Grand Dieu—finansista mózg musi mieć pokratkowany na błękitno... Ach! przepraszam...

Lipecki. Nie żenuj się, hrabio. Chwilami, gdy powrócę z banku, zdaje mi się rzeczywiście, że mam same cyfry w mózgu.

Hr. Caserta (ironicznie). Musisz pan mieć strasznie dużo tego, co ludzie nazywają presence d'espirit.

Lipecki (oglądając paznokcie). Tak... ma się tego trochę.

Hr. Caserta (ironicznie). I tak od dziecka?...

Lipecki. I tak od dziecka.

Hr. Caserta. To nadzwyczajne...

(Chwila milczenia).

A!... przypomniałem sobie, po co właściwie tu przyszedłem. Chciałem panu powiedzieć, iż zdaje się, jedna z moich pupilek idzie zamaż.

Lipecki (szybko). Która?

Hr. Caserta. Julcia.

Lipecki (żywo). To być nie może.

Hr. Caserta. Dlaczego—dziewczyna pełnoletnia? Niech idzie... wolę nawet, ażeby teraz wyszła. Oddamy jej posag i niech robi, co jej się podoba.

Lipecki. Czy Stanio o tem wie?

Hr. Caserta. Zdaje mi się, że wie. Przede wszystkim, wczoraj dopiero powrócił z Krakowa. Była podobno szalona gra w kasynie. Tak mi mówiono w teatrze.

Lipecki (zdenerwowany). Co on wyrabia... co on wyrabia!...

Hr. Caserta. Co?—żyje...

Lipecki. Ależ on żyje na żart.

Hr. Caserta. Umrze tak samo jak ci, którzy żyją na seryo. Panu się naprzykład zdaje, że pan żyje na seryo?

Lipecki. O, przepraszam...

Hr. Caserta. Szaleństwo! Nikt z nas nie żyje na seryo.

(Po chwili).

Jest świat, który żyje na seryo, ale to ani mój, ani twój, ani Stania...

Lipecki (chodząc po pokoju). Znów kar-
nawał marnuje. Radziłem mu, ażeby już na
seryo zaczął starać się o jaką pannę. Ale to
szalony człowiek. Drwi ze wszystkiego. Cze-
ka chyba na łysinę a wtedy ^zktóż za niego
co da... to... chciałem powiedzieć, która za
niego pójdzie. Hrabio, zlituj się—użyj swej
powagi, wpłyn na niego, niech się oświad-
czy—zaręczy... Wiesz pan co—najlepiej bę-
dzie, jeśli wymożesz na nim słowo, że on
ożeni się przedtem, nim Julcia pójdzie za-
mąż... co? Hrabio, wpłyn na niego.

Hr. Caserta. Nigdy na świecie! Ja mam
swoje pojęcia o małżeństwie.

Lipecki. Julcię przecież chcesz wydać
zamąż.

Hr. Caserta. To co innego. Panna po-
winna iść zamąż. Mężczyzna nie powinien
się, nigdy żenić... Wszak prawda, piękna pani?

(Ostatnie słowa mówi do wchodzącej

Wandy).

SCENA VIII.

Ciż i WANDA.

Wanda. Nie słyszałam, o czem była
mowa.

Hr. Caserta. O niczem mówić nie mo-
gę w tej chwili, tylko o tualetcie pani. Cóż
za wspaniała szata! A fryzura!... Admiruj,
dyrektorze!

Wanda. Niechże nas pan nie namawia
do tej wspólnej przykrości.

Hr. Caserta. O!... Widzę, iż miałem rację przed chwilą, debinując małżeństwo... a mówiliśmy właśnie o małżeństwie i to z racyi Stania.

Wanda. Dlaczego z racyi Stania?

Hr. Caserta. Mąż pani żądał, ażebym namawiał Stania do jaknajszybszego ożenienia się.

Wanda (zdenerwowana). Mój mąż zawsze miesza się do tego, co do niego nie należy... A hrabia cóż na to?

Hr. Caserta. Ja odmówiłem interwencji. Uważam małżeństwo za niedowcipny wynalazek. Przedewszystkiem trwa za długo a zaczyna się od stłuczenia najkosztowniejszych cacek. A ty co myślisz, dyrektorze?

Lipeccki (patrzając w przestrzeń). Ja myślę, że gdyby Stanio nie uwiązł w jakimś niedorzecznym romansie, wszystko wzięłoby inny obrót.

Wanda (szybko). Zkąd wiesz, że Stanio ma romans z mężatką?

Lipeccki (udając zdziwienie). Z mężatką? Czy ja tu co mówiłem o mężatce?

(Chwila milczenia).

Hr. Caserta (pragnąc załagodzić). Ja także... tak rzecz zrozumiałem jak pani.

Lipeccki. Być może.

Hr. Caserta (półgłosem — usiłując utrzy-

mać nóż do rozcinania kart na dłoni). Ekwi-librystyka!

Lipeccki. Co mówisz, hrabio? Nie? Chodźmy do mego gabinetu. Wypalimy cygaro.

Wanda. Ale hrabia do mnie powróci?

Hr. Caserta (z kurtuazją). Myślę pozostać zawsze przy pani...

(Wychodzą obaj do pokoju dyrektora).

SCENA IX.

WANDA.—MARCELA.

(Wanda szybko biegnie do stołowego pokoju i woła):

Wanda. Marcelo!

Marcela. Słucham jaśnie pani.

Wanda (wyjmuje list z zagorsu). Marcelo, proszę—pobiegnij... oddaj ten list.

Marcela. Goście się lada chwila zejdą.

Wanda. Tylko dwie ulice. To musi być oddane dzisiaj, moja Marcelo!

Marcela. Jeśnię pani się tak denerwuje. Jeszcze jaśnie pani zachoruje.

Wanda. Moja Marcelo, niech Marcela idzie. A jeśli jeszcze nie wrócił z Krakowa -- niech się Marcela dowie, kiedy i którym pociągiem wraca.

Marcela. Dobrze, leczę!

(Wybiega).

(Wanda rzuca się na sofę i przez chwilę tarzając się spazmatycznie, głową po poduszkach),

Wanda (łkając cicho). Skonam, skonam!...

(Słyszysz dzwonek, zrywa się, biegnie do lustra, przygląda włosy, uśmiecha się, rozszerzając sobie palcami usta, drzwi się otwierają, Wanda ucieka, wołając cicho):

Nie mogę, nie mogę!

SCENA X.

PIWOŃSKI, później MOŚCICKI.—
CHEŁCZYŃSKI.

(Piwoński, duży, rośli, rumiany, zdrow mężczyzna, ubrany niby modnie a niezgrabnie; mina szlagona. Wchodzi, rozgląda się dokoła. Niema scena: siada na rozmaitych krzesłach i próbuje różnych póz — przez pokój przebiega Bona, on porywa się i kłania jej bardzo nisko, sunie do niej, aby ją pocałować w rękę. Bona ucieka).

Piwoński (wracając na swoje krzesło)
Pomyliłem się.

(Po chwili zaczyna świstać i chwyta się za usta z przestachem—drzwiami wejściowymi

wpada Mościcki—ślicznie ubrany, elegancki, młody człowiek—ogląda się dokoła, kłania się Piwońskiemu i siada na krzesło—nareszcie zrywają się równocześnie i prezentują się wspólnie):

„Piwoński“—„Mościcki“.

Mościcki. Jakoś nie widać nikogo? co? he? Zwykle są w salonie... pan jeszcze nie widział nikogo z domowych?

Piwoński. Nie.

Mościcki. To ślicznie... Pan nie tutaj-szy?...

Piwoński. Ja? z Ukrainy. Na karnawał do Lwowa. A jakże. Niby rodzice chcieli do Warszawy, ale ja się uparłem do Lwowa i przez Zwirynkę, Brody do Lwowa.

Mościcki. A co... ja zaraz poznałem. Pan dobrodziej taki czerstwy, zdrów, duży...

Piwoński (śmiejąc się hałaśliwie). Niby tak na naszej brasze.

Mościcki (grzecznie). Właśnie, właśnie...
(Po chwili).

Pan zapewne w zamiarach matrymonialnych?

Piwoński. I... i.. nie. Ja tak znów na panny nie lecę. Jakby się tam która trafiła, taka co to... no, może — ale poco... niech ja trochę użyję.

Chełczyński (wchodzi, wysmukły, wspinały młody człowiek).

Mościcki. Servus! mój drogi, ślicznie żeś przyszedł, no, no... ślicznie.

Chełczyński. Czy masz jaki do mnie interes?

Mościcki. Nie, nie... tak się cieszę. Jaką masz śliczną krawatkę — śliczna, śliczna, milusia... panowie się znacie?

Chełczyński. Miałem przyjemność, wczoraj na balu w namiestnictwie.

Piwoński. Wie pan.... to był byczy bal!
(Mościcki i Chełczyński patrzą na siebie chwilę).

Mościcki. O tak... ślicznie... ślicznie, milusio...

Chełczyński. Cóż to znaczy, pań jeszcze nie ma?

SCENA XI.

Ciż sami.—MERY.—JULCIA, później WANDA. — NORA. — KSIĘŻNA. — KSIĘŻNICZKA MIRONOWICZOWA. — WERYHO. — LILI.—ORDEGA.—ORDEŻANKA.—HARTINGOWA.
—NUNIA i LUNIA HARTINGÓWNY.

Mery. Dobry wieczór... a pan ślicznie, milusio... ślicznie pan zrobił, że pan przyszedł.

Mościcki. Milusio, milusio.

Julcia (do Chełczyńskiego). Dlaczego tak późno?

Chełczyński. Matka moja przyjechała i to na skutek mego listu.

Julcia (z uśmiechem). Matka pana... to pan musi być szczęśliwy!

Mery. Panie Piwoński, siadaj pan, proszę...

(Piwoński ogląda małe secesyjne krzeselko).

Piwoński. Czy to się na tem siada?

Mery. Nie... z tego się czarną kawę pije.

Piwoński. Bo niby też to człowiek rozgruchocze odrazu.

Mery. To lepiej niech pan nie siada.

Piwoński. To pani dobrodziko, pocóż takie krzesła, co na nich siąść nie można.

Mery. Żeby się pan miał o co pytać.

(Biegnie do drzwi).

Wańdziu, Wańdziu!

Piwoński (do Mościckiego). Zanadto cięta — potem za cienka w pasie... nie dla Ukraińca.

(Wchodzi Wanda, wita się z mężczyznami, siada koło kominka, bierze ekran w rękę i zasłania się nim od ognia).

Wanda. Jakże po wczorajszym balu? bardzo panowie zmęczeni?

Mościcki. Ślicznie... milusio... kotylion... caca...

Piwoński. Nie widziałem kotyliona, bo się zdrzemnąłem w karcianym pokoju.

Mery. Miałam ochotę pana obudzić, przypinając panu order wielkiego stogu siana.

Wanda (surowo). Mery!

Mery. Cóż? księżniczka wniosła projekt, ażeby ponadawać nazwy orderom, na wzór prawdziwych orderów. Był order tuberozy, hyacentu, róży, lewkonii... no i order stogu siana. Prawda, Julciu?

Julcia (która rozmawiała z Chełczyńskim). Prawda, Mery.

Nora (wchodzi — śliczna trzydziestoletnia kobieta, ubrana niezmiernie szykownie, strojnie. Wanda, Mery witają się z nią z demonstracyami wielkich czułości). Zgadnijcie z kąd wracam?

Mery. Od spowiedzi.

Nora. Point du tout. Byłam w szpitalu. Moja panna służąca zachorowała—już się ma lepiej, odcięli jej palec... Zawiozłam jej fiołków. Jeszcze mam pełną torebkę.

(Rzuca w powietrze masę fiołków).

Powąchajcie mnie — muszę pachnieć karbolem.

Mościcki. Prawda... ślicznie... milusio...
(Siadają koło kominka. Wszystkie te sceny muszą iść z nadzwyczajną lekkością i elegancją).

Nora. Co ci jest, moja Wandziu? Jesteś trochę blada. Może to efekt twojej sukni — czarująca — te empiry są bardzo awantażowne.

Mery. Ja nie znajduję, to kryje figurę.

Mościcki (przysuwając się pomiędzy kobiety). Mnie to zachwyca. C'est.....

Mery. Milusio?

Mościcki. Właśnie to dodaje majestatu... A pani, panno Julio?

Mery. Pst... dajcie im pokój, nie przeszkadzajcie...

Wszyscy (zaciekawieni). A, a!...
(Piwoński przez ten czas chciał usiąść na brzeżku fotela, ale nie śmie — ziewa ukradkiem. Wchodzi Hartingowa z dwiema córkami, ubranymi jednakowo, bardzo szykownie; przywitanie dość hałaśliwe — wszyscy cisną się do kominka—Mościcki między kobietami, koło Nory).

Hartingowa. Wracamy prosto ze ślizgawki—wspaniały lód.

Mery. My pójdziemy jutro... Będziemy tańczyć kadryla z kolorowemi latarkami.

Wszyscy (prócz Wandy). Ach, tak, tak! to będzie śliczne!

Werycho (wchodzi—elegantki czterdziestoletni mężczyzna). Słyszę już w progu gwar zachwyconych głosów. Cóż za nadzwyczajny fakt? Czy mogę wiedzieć?

Nora. Mówimy o jutrzejszej ślizgawce.

Werycho. A... tak... zamawiam sobie kadryla.

Nora. Jeżeli nie zapomnę.

Mościcki. Kadryla, ja z panią Norą tańczę jutro.

Nora. Ja z panem tańczyć nie chcę.

Mościcki. Dlaczego?

Nora. Pan mnie kompromitujesz — pan tylko ze mną tańczysz. A ja tego nie chcę. Pan wie... mnie nazywają gronostajem...

Werycho (przechodząc koło Piwońskiego). Dzień dobry!—cóż pan tak stoisz, jak słup soli?

Piwoński (chce usiąść, chwytając go za ramię). Niech pan nie siada, to się rozleci...

(Wchodzi Ordega, stary, wysoki, siwy mężczyzna, za nim jego córka—zgrabna, strojna panienka).

Mery (biegnąc do Lili). A... Lili... jaka dzisiaj śliczna!

Lili. To ty jesteś śliczna, moja droga! A, Julcia!

(Chce witać się z Julcią).

Mery. Daj pokój... nie przeszkadzaj...

Lili. A!...

(Lokaje wnoszą herbatę, ciastka i kanapki—panna Marcela kieruje usługą—panny odsuwają się od kominka).

Mery. Chodźcie do gołębnika!

(Idą na prawo, gdzie zajmują kącik).

Nora. Weźcie i mnie ze sobą.

Mery. O, nie, przepraszam, tu same pаниenki... to nasz gołębnik.

Werycho. Jastrząb jednak i do gołębnika zajrzeć ma prawo.

Mery. Chyba po to jedynie, aby porwać jednego gołębia.

Ordega (do Wandy). Czy męża pani dziś ujrzymy?

Wanda. Za chwilę. Jest w swoim gabinecie z hrabią Casertą. Załatwiają jakieś interesy.

(Wchodzi księżna i księżniczka, obie bardzo modnie ubrane, mają jednak w sobie coś prowincjonalnego).

Wanda. Bardzo wdzięczna jestem księżnie, że nie zapomniła o moim domu.

Księżna. Dość mi Minusia głowę suszyła.

Mery. Panno Minusiu, proszę tu, do nas.

Wszystkie panny. Do gołębnika!

Werycho (do Piwońskiego). Czy ona naprawdę księżna?

Piwoński. Taka... od kurchana... Pan wie, u nas na Ukrainie, taki tam na polu pagórek i zaraz od niego jakieś kniazie. Pan to pije? Ja myślałem, że to także nie do pi-

cia, tak jak ich krzesła nie do siadania. To można pić?

(Bona sprowadziła dzieci — te witają się ze wszystkimi, panie pieszczą je i rozmawiają).

M e r y. A ja wam mówię, że przyjdzie.

L i l i. Ach, moja droga, żeby on przyszedł!... tak bardzo chciałabym go zobaczyć zblizka i w dzień. Zawsze go widzimy przy sztucznem oświetleniu.

(Lampy elektryczne się zapalają).

M e r y. To ci się nie uda, bo właśnie światło się zjawilo. Ale poczekajcie—ja go jutro na lód przyprowadzę.

W s z y s t k i e p a n n y. Przyprowadź, moja droga, przyprowadź!

M e r y. I wiecie? Ja Staniowi powiem, jak wy za nim szalejecie...

W s z y s t k i e p a n n y. Nie, nie! daj pokój!

W e r y c h o. Co? czemu dać spokój?

L i l i. Niech pan nie podsłuchuje.

K s i ę ż n a. A ja tylko wzdycham, żeby się już ten karnawał skończył. Minusia to młoda, nie śpi — wszystko jej za jedno — ale ja...

H a r t i n g o w a (wyniosła, uprzejma). Ja bardzo lubię bale, to taki barwny, śliczny widok.

G. Zapolska: Życie na żart.

3

P i w o ń s k i (do panny Marceli, która mu podaje herbatę). Ślicznie dziękuję pani dobrodziejce, niech się pani dobrodziejka nie trudzi .. ja wolę już nie pić..

M a r c e l a. Ten ma maniery.

W a n d a (w przejściu do Marceli). Od-
dała Marcela list?

M a r c e l a (cicho). Do rąk samemu jaśnie
panu! Powiedział, że zaraz przyjdzie. Oto
i jaśnie pan!

S C E N A XII.

Ciż sami i STANIO.

(Trzydziestoletni, bardzo piękny mężczyzna,
prosty i smukły, blady, zimny, sztywny,
wzrok stalowy, uśmiech ironiczny dokoła
ust, ubranie według ostatniej mody. Stanio
wchodzi spokojny, pewny siebie, wita się
z Wandą, która nerwowo podaje mu rękę
i mówi przez zaciśnięte zęby).

W a n d a. Nareszcie!

Wszystkie panny. Przyszedł! przyszedł!

M e r y (biegnie ku Staniovi, podaje mu
obie ręce). Dawno pan wrócił?

S t a n i o. Przed godziną.

M e r y. I zaraz do nas, to bardzo ślicznie

W a n d a. Mery! pozwól się panu ze
wszystkimi przywitać.

M e r y. Ale potem proszę do nas, do go-
łębnika...

(Stanio wita się ze wszystkimi).

W e r y c h o (do Mościckiego). Uchodźmy ztąd. Przyszedł niezwyciężony.

M o ś c i c k i. O! proszę, ja nie ustąpię z placu.

N o r a. Jesteś pan zarozumiały. A tymczasem proszę — odejdz pan odemnie. Pan doprawdy mnie kompromitujesz. Ciągłe siedzisz przymnie... Ja bardzo dbam o to, co o mnie mówią.

M o ś c i c k i. Ja pani coś więcej powiem. Ja się z panią założę, że pani przezemnie upadnie w oczach świata.

N o r a (oburzona). Ah non... ça c'est trop fort...

W e r y c h o. Co? co?

(Stanio się zbliża i Wanda także).

M o ś c i c k i. No, niech się pani ze mną założy. A discretion. Co pani szkodzi. Pani tak pewna siebie, że Pani nie nie ryzykuje.

W e r y c h o. Tak! tak!

S t a n i o. O co chodzi?

(Werycho mu tłumaczy po cichu. Wanda słucha).

W a n d a. To niema sensu!

N o r a. To nie moralne!

M e r y. O co chodzi?

(Panny zbliżają się).

W e r y c h o. Przepraszam! to jeszcze nie dla gołębnika!

(Panny wracają na swoje miejsca).

M o ś c i c k i. A... a .. widocznie pani nie jest pewna siebie...

N o r a. Co?... a więc dobrze, zakładam się!...

S t a n i o. Jestem świadkiem. A więc à discretion! A termin?

M o ś c i c k i. Dwadzieścia cztery godzin.

W a n d a. Jesteś szalona.

N o r a. Pozwól, nauczę tego śmiałka, a teraz bądź zdrowa!

W a n d a. Uciekasz?

W e r y c h o. Odprowadzę panią do powozu... A mnie wolno. Ja się nie założyłem.

(Wychodzą z Norą).

SCENA XIII.

Ciż sami.—LIPECKI.—HR. CASERTA.

L i p e c k i (do pań przy kominku). Panie darują... miałem ważne sprawy...

O r d ę g a. Wreszcie widzieć pana można.

L i p e c k i. Mój bank mi cały czas pochłania.

P i w o Ń s k i (do Mościckiego). Kto to?

M o ś c i c k i. To pan domu.

P i w o Ń s k i. Nie może być!

Hr. C a s e r t a. Wolno wejść do gołębnika?

M e r y (niedbale). O! hrabiemu wolno!

Hr. C a s e r t a. Mógłbym się za ten brak protestu obrazić. Ale wolę skorzystać.

(Wsuwa się pomiędzy panny i zaczyna z niemi ożywioną rozmowę).

W a n d a (do Stania, cicho). Mówiłeś, że będziesz w Krakowie dwa dni—byłeś cały tydzień...

S t a n i o. Uważaj, patrz na nas.

W a n d a. Jestem tak zdenerwowana, że mi to jest wszystko jedno.

S t a n i o (odchodzi ku Julce; Wanda patrzy za nim, wreszcie zwraca się i natrafia na pana Piwońskiego, który ciągle stoi koło portyery).

W a n d a. Może pan się przyłączy do grupy pań, pan się nudzi...

P i w o ń s k i. Dziękuję pani dobrodziejce, ja nie umiem z paniami rozmawiać.

M e r y. Nie!... to jest wspaniałe... powiem głośno.

M i n u s i a. Panno Mery... proszę.

M e r y. Hrabia się nie liczy, to jakby kobieta. Otóż patrzcie tylko, gdzie lecą spojrzenia panny Minusi, w stronę portyery, gdzie stoi dzielny zaporozec, podpierający ścianę.

W s z y s t k i e p a n i e n k i. O! o!

M e r y. Ależ tak! Pocóż było przyjeżdżać do Lwowa. Mogliście flirtować tak samo na Ukrainie.

M i n u s i a. Kiedy go mama nie lubi.

M o ś c i c k i (śrubując się między panny). Kogo? mnie?

M e r y. Zagraj pan l'Altalenę.
(Mościcki siada do fortapianu, gra cicho l'Altalenę, powoli gwar, śmiech, szczepek łyżeczek wzrasta, dominuje głos Mery, która ciągle śledzi wzrokiem Stania; to samo Wanda; pana Piwockiego opadły dzieci i bawią się z nim wesoło, on tymczasem robi oczy do bony).

S t a n i o (podchodzi do Julci, która podeszła na przód sceny z Chełczyńskim).
Dzień dobry, siostrzyczko!

J u l c i a (podając mu ręce). A, to ty braciszku!

S t a n i o. Tak, ja—i admiruję twoją skwapliwość, z jaką pośpieszyłaś przywitać się ze mną.

J u l c i a (Chełczyński podaje rękę Stanowi). Daruj, ale byłam zajęta.

S t a n i o. Nie tłumacz się. Może zbliżysz się do panienek. Podaj mi rączkę, pójdziemy razem.

C h e ł c z y ń s k i. Pan daruje.. dwa słowa.

S t a n i o. Jestem na pana usługi.

C h e ł c z y ń s k i. Czy mogę być jutro u pana i o której godzinie?

S t a n i o (z kurtuazyą). Jutro odpoczywam... przepraszam, nie zajmuję się cały dzień interesami. (Do Julci). Chodź Julciu! (Pociąga ją ku pannom, te przyjmują ich z demonstracyami radości).

M e r y. Wybornie, że pan wreszcie się zjawiasz. Ułożymy się o jutrzejszą farandolę. Pan ją aranżuje.

S t a n i o. Chętnie!

M e r y. Słyszycie moje panie! Jutro podbijemy cały Lwów!

(Oreğa żegna się z Wandą, zabiera Lili i wychodzą).

K s i ę ż n a (wstaje od kominka, idzie na-przód sceny z Hartingową). Ja mam na to bardzo prosty sposób. Skoro moja córka rozmawia z kimś, kto mi się niepodoba—z lekka drapię się po nosie—Minusia wie co to znaczy.

H a r t i n g o w a. Moje i tego by nie posłuchały. C'est une peine perdue.

(Wanda zbliża się ku nim, dotykając ręką skroni).

K s i ę ż n a. Czy kochana pani cierpi migrenę?

W a n d a (zdenerwowana). Nie... ale ta Mery jest tak hałaśliwa...

K s i ę ż n a. To pewna, że tutejsze panienki zajmują za dużo miejsca w salonie.

W a n d a. To specjalnie Mery.
(Hartingowa żegna się, zabiera córki i wychodzi).

H r. C a s e r t a (do Stania, biorąc go pod rękę). Proszę cię Staniu, chciałbym...

S t a n i o. Jeśli coś poważnego to...

Hr. C a s e r t a. Nie to żart, ale żart seryo. Twoja siostra jest zdaje się na drodze do zamażpójścia.

S t a n i o (chmurząc się). Miałeś hrabio rację, mówiąc, że to żart, bo to właśnie w dziedzinie żartu. To partya nie dla niej. Ten pan jest mi antypatyczny.

L i p e c k i (zbliżając się). Staniu! czy mogę cię prosić o pozostanie, gdy goście się rozejdą. Mam z tobą do pomówienia.

S t a n i o. Dobrze.

(Odchodzą we trzech do kominka).

P i w o Ń s k i (do bony). Panienska niemka?

B o n a. Także coś! Cóż to ja na niemkę wyglądam?!

J ó z i o. Jaka tam niemka. Dziś gada po francuzku, jutro po niemiecku—to taka wieża Babel—pan wie. A u pana są konie na wsi?...

(Drapiąc się na kolana Piwońskiego).

K s i ę ż n a (zbliża się do panienek). Minusia! czas na nas. Jeszcze mamy dwa fixy, potem przebrać się, do teatru i na bal do kasyna. Doprawdy, jesteśmy zapracowane po uszy... Pan się śmieje?

M o ś c i c k i. Ależ nie .. nie .. ja wierzę.

K s i ę ż n a. Dziś musimy być w kasynie. Cała haut volée tam będzie. Minusiu—vene... (Minusia tymczasem, pod pozorem pożegnania się z dziećmi, zbliżyła się do Piwońskiego).

M i n u s i a (do Piwońskiego). Pan będzie dziś w kasynie?

K s i ę ż n a. Gdzież ona?... a! Minusia.
(Drapie się w nos).

P i w o ń s k i. Pójdę, ale pani ze mną mazurka.

K s i ę ż n a (wyniośle). Pan daruje, ale moja córka nie tańczy.

P i w o ń s k i. Ale ja nie do pani dobrodziejki o mazurek ale do panny dobrodziejki. Cóż, jakże?

K s i ę ż n a (uprowadza Minusię. Mery żegna się z Mościckim).

M e r y. Jutro na ślizgawce.

Hr. C a s e r t a. I ja się tam stawię.

(Żegna się i wychodzi).

M o ś c i c k i (do Piwońskiego). Chodź pan! już się fix skończył.

P i w o ń s k i. Szkoda! Bona, jest wcale, wcale... Może się przedstawić gospodarzowi.

M o ś c i c k i. Chodź pan!

(Przedstawia go Lipeckiemu).

M e r y (zbliża się do Stania). Zostań pan, mam z panem do pomówienia.

S t a n i o. (do siebie). I ta także!

W a n d a (do Stania). Zostań, muszę z tobą mówić.

S t a n i o (do siebie). Jeszcze mi tej brakowało.

Julcia (do Mery). Przyszli po mnie.
Bądź zdrowa Mery!

Mery. Nie trać nadziei. Wszystko będzie dobrze. Przyjdź jutro o trzeciej. Pójdziemy razem na lód.

Julcia. Dobrze! (Żegna się i wychodzi).

(Mościcki z Piwońskim wyszli).

Lipeccki (do Wandy). Zostawcie nas samych.

Wanda. Czy ja nie mogę zostać?

Lipeccki. Nie, nie możesz zostać
(Wanda zbliża się do Mery, mówi z nią po cichu. Ta zła wychodzi. Wanda zabiera dzieci i także wychodzi)

SCENA XIV.

LIPECKI — STANIO.

Lipeccki. A teraz my we dwóch... łaskawco!

Stanio. O ton, seryo. nie znoszę.

Lipeccki (idzie ku drzwiom, patrzy czy nikt nie słucha). Cóż robić, sprawa seryo wymaga...

Stanio (niedbale). Czy chodzi o te pieniądze.

Lipeccki. Tak mój drogi, chodzi o te pieniądze. Nie lubię próżno słów tracić. Wi-

duję cię rzadko. Oto stan rzeczy: Z czterdziestu pięciu tysięcy guldenów twej siostry, złożonych u mnie w banku, zostało zaledwie siedem tysięcy. Awansowałem, bo miałem wiarę w ciebie a wiara ta musiała być sęryo, jeśli taki człowiek rachunkowy jak ja, zawierzył ci i dał się unieść tak nierozważnemu krokowi. Byłem jednak przekonany, że wszystko wyrówna się z chwilą twego ożenienia. Tymczasem ty zwłoczysz. Karnawał się skończy. Jest kilka dobrych panien na targu. Ty nic... grasz całe noce a jeśli jesteś na balu, w wodzireja się bawisz! Panny wywiozą i co potem? Trzeba znów czekać wyścigów. A chcesz wiedzieć prawdę? Zmieniasz się, zmieniasz w oczach... brzydniesz...

St a n i o. Nie znajduję tego.

Li p e c k i. Włosy ci wychodzą...

St a n i o (pali papierosa). O, kilka zaledwie codzień!

Li p e c k i. Zresztą—co mi do tego. Ja proszę cię, ażeby ten kapitał twej siostry został jaknajprędzej uregulowany. Brałeś z niego, czerpałeś... ja byłem tyle słaby, że ci dawałem, widząc, iż nie możesz zrobić porządnej reprezentacyi—ale dziś mogą z tego wyniknąć mankamenta. Siostra twoja może się zakochać.

St a n i o. To niemożliwe!

L i p e c k i. Dlaczego?

St a n i o. Jest moją siostrą.

L i p e c k i. To nie nie dowodzi. Caserta, który jest jej opiekunem, zażąda rachunków... Nie, nie... Tak długo być nie może! Mnie to spać nie daje. Ja nie chcę, ażeby w moim banku były jakieś malwersacye... Doszedłem do stanowiska nie po to, ażeby dla twoich pięknych oczów popaść w ruinę moralną i materyalną. Proszę cię—opamiętaj się. Oglądnij się dokoła... Nietrudno ci będzie wybierać... Nawet—gdybyś umiał dobrze patrzeć, widziałbyś...

St a n i o. A... Mery?

L i p e c k i. Może... Nie mówię nic wyraźnie... Reszta już twoja rzecz. Ja będę ci dopomagał, bo wierz mi, odetchnę dopiero wtedy, gdy cała ta suma znów do kasy powróci.

St a n i o. Tak... ale ja mam panu co innego do zaproponowania. Małżeństwo mnie nie ciągnie... potem... enfin... Mam co innego na myśli. Daj mi pan te siedem tysięcy... ja pojedę do...

L i p e c k i. Monte Carlo, albo Ostendy i tam, mając kombinacye nadzwyczajne — wygram bająskie sumy... Nie, mój drogi!

W Monte Carlo byłeś już trzy razy i zawsze musiałem ci przysłać na drogę. Pozostaje ci jedno tylko: małżeństwo. Spójrz ty raz serwo na życie a przekonasz się, że nie masz innej drogi wyjścia. Przytem zrozum — to nietylko twój honor zaangażowany — ale i mój.

St a n i o. Wystarcza... nie mów pan tyle.

L i p e c k i (zmieniając ton). A... jeszcze jedno... O ile mi się zdaje—jesteś zaangażowany w jakiś romans, quies-ce nie wiem! Zdaje mi się jednak, że ona cię trzyma. To cię głównie krępuje. Otóż raz, zbierz swoją całą odwagę i śmiało przetnij kwestyę. Powiedz jej—ożenie się! Powiedz jej—to tak jak wyrywać każesz zęb dentyście. To się zawsze zdaje, że to wielka ofiara, ale to w gruncie rzeczy nic. Trochę szlochów, gniewów, cała masa listów, odesłanych fotografij — a potem spokój. Zresztą tobie, to łatwo przejdzie. Serce cię boleć nie będzie... No, bądź zdrów! Pójdę się przejść przed obiadem. Zostań tu jeszcze chwilę. Może się zechcesz pożegnać z... Wandą...

St a n i o. Ja pójdę z panem.

S C E N A X V.

Ciż sami. — WANDA.

W a n d a. Pan odchodzi? Chciałam poradzić się pana co do kostyumy z secesyjnego naszego tańca.

L i p e c k i. A widzisz a widzisz... będziecie się tu naradzali nad kostyumem. Żegnam! (do Stania). A pamiętaj! przed końcem karnawału musi się ta kwestya rozwiązać!

(Wychodzi).

S C E N A X V I.

WANDA. — STANIO.

W a n d a (gwałtownie). Jaka kwestya? o czym on mówił, może o twem ożenieniu? On od pewnego czasu ciągle tylko o tem mówi!

S t a n i o. Ależ nie, nie! I proszę cię, nie mów tak głośno. Drzwi pootwierane—ludzie słyszą.

W a n d a. A niech słyszą! Ten cały tydzień był dla mnie najstraszniejszą męczarnią. Gdzieś ty był? gdzieś ty był?

S t a n i o. W Krakowie.

W a n d a. Dlaczego do mnie nie pisałeś?

S t a n i o. Poco?

W a n d a. Tak... prawda... po co! (siada na fotelu, naprzeciw Stania i patrzy na niego przez dłuższą chwilę). Za co ja właściwie ciebie kocham? (Stanio wzrusza ramio-

nami i milczy). Oprócz łez i przykrości, nic. Chłód, obojętność, wieczne szyderstwo.

Stanio (zimno). A więc... zerwijmy ze sobą.

Wanda. A! gdybym mogła, dziśbym to zrobiła. Ale cóż, nie mogę!

Stanio (zimno). A jednak zdaje mi się, że będziesz, musiała.

Wanda (z przytłumionym krzykiem). Nie! nie! odwołaj coś powiedział, odwołaj... daj mi dziś przynajmniej spokój, nie dręcz mnie... patrz ja mam gorączkę, ja trzecią noc nie śpią...

Stanio. Ja także jestem zdenerwowany i proszę cię, nie męcz ty mnie raczej—ja także trzy noce nie spałem.

Wanda. Strawiłeś je przy kartach—a może z kobietami.

Stanio. Właśnie, z kobietami.

Wanda. A!...

Stanio (po chwili). Ale skoro zeszliśmy na ten temat—muszę ci powiedzieć, że jesteś na błędnej drodze. Te sceny... te trywialne wymówki, zdzierają z mych oczu resztę iluzji

Wanda. Resztę?

Stanio. Tak, resztę. Usilnie starałaś się oto, aby okazać się w oczach moich taką, jaką jesteś—egoistką...

W a n d a. Egoistką? ja? Staniu! ja względem ciebie egoistką? (po chwili milczenia, zrywa się gwałtownie). Widzę, że chcesz wywołać scenę... Byłoby to jednak szlachetniej, gdybyś mi powiedział prawdę—szczerą prawdę... ty mnie już nie kochasz...

S t a n i o. O! zaraz frazesy! Ty wiesz, ja nigdy nie igram z temi wytartemi jak liczman słowy. Po co ta tragedia. Na Boga. Przejrzyj się w lustrze. Jak ty wyglądasz!... Dlaczego nie brać życia z ładnej strony? Przez pewien czas byliśmy dla siebie mili, sympatyczni, przyjaźnie usposobieni. Dziś okoliczności się zmieniły.

W a n d a (pada na fotel, ukrywa głowę w poduszki). Cicho! Cicho! bo ja tego znieść nie jestem w stanie. Chwilę tylko... chwilę... (po chwili). Dobrze, niech i tak będzie, ale nie zaraz, nie tak nagle. Powoli ja się przyzwyczaję do tej myśli. Nie zaraz... nie zaraz...

S t a n i o. Widzisz miałem rację, mówiąc że jesteś egoistką. A więc zresztą dobrze. Niech i tak będzie. Będę u was bywał nadal, tyłkonie spodziewaj się już nic z mej strony. Tylko życzliwość, nic więcej. Sama wyzwałaś tę scenę! Lepiej jednak, że aż do tego doszło. O proszę cię, nie proś mnie, nie staraj się tego zmienić, bo tak być musi..

W a n d a (przez chwilę patrzy na niego, potem nagle ociera oczy, przystępuje

i mówi dobitnym głosem z energią). Precz ztąd.

Stanio. Znów ostateczność. Nie chcesz ocenić mej delikatności. Chcesz, ażebym bywał—będę bywał—tylko...

Wanda (silniej). Precz ztąd!

Stanio. Wando! od zmysłów odchodzisz... obrażasz mnie.

(Wanda naciera na niego, tak, że go zmusza do wyjścia).

Wanda. Precz ztąd!

Stanio. Idę... ale sama będziesz tego żałować.

Wanda. Nikczemny!

Stanio (wzuszając ramionami). Psychopatka!

(Wychodzi).

S C E N A XVII.

WANDA sama, później LIPECKI.—DZIECI.
BONA.—MERY.

Wanda (siadając na fotelu). Jezus Marya!... to się już stało!... kilka minut zaledwie... kilka zdań... i już po wszystkim!

(Zostaje nieruchomo wpatrzona w ziemię).

G. Zapolska: Życie na żart

Lipecki (wchodzi cicho, drzwiami wejściowemi, zdejmując rękawiczki, patrzy na Wandę—poczem kaszle).

Wanda. Kto tu?

Lipecki (łagodnie). To ja... przeraziłaś się? co?—musisz mieć migrenę... oczy masz czerwone... tak, tak, to migrena. Gdzież Stanio?

Wanda (głucho). Wypędziłam go.

Lipecki (dobrodusznie). O!... o!... nie chcę wiedzieć dlaczego? Po co tu egzaltacye. Musieliście się posprzeczać o jakieś dzieciństwo. A jednak... on będzie nadal tutaj bywał...

Wanda (porywczo). Nigdy się na to nie zgodzę... obraził mnie!

Lipecki. Lento! lento!... to się wszystko ułoży...

(Lokaj otwiera drzwi od jadalni, gdzie nakryto do stołu).

Lipecki (ciągle dobrodusznym tonem). Oto i obiad... Tak, tak, wszystko się ułoży. W życiu najwyższa mądrość, wszystko przeczekać.

(Dzieci z boną wchodzi do jadalni i stoją przy stole).

Mery. Dalej do obiadu... fryzer za chwilę przyjdzie nas czesać. Suknie już z magazynu przysłali. Niema chwili czasu do stracenia...

(Wybiega do jadalni).

Lipecki. Chodźmy do stołu.

Wanda (po chwili odsuwa włosy z czoła, poprawia suknię i wstaje z determinacją). Tak... wszystko w życiu należy przeczekać. (Z uśmiechem). W tem mądrość życia! Chodźmy!

(Idą do jadalni—widać jak siadają do stołu i jak jeść zaczynają w milczeniu).

Kurtyna zapada.

AKT DRUGI.

(Scena przedstawia kawalerskie mieszkanie Stania, niezmiernie wytwornie urządzone. Nizkie sofy, na ścianach zbroje i broń, parawany i biurko. Wejście główne z prawej strony. W głębi alkowa, zasłonięta ciężką draperyą, po lewej dwa okna. W chwili, gdy podnosi się kurtyna, zasłonięte ciemnymi firankami. Na scenie ciemno, na froncie, przytykając do biurka, olbrzymia sofa, na niej skóry, poduszki. Na sofie leży Michaś, ubrany w strzeleckim ubiorze. Chwila milczenia, dzwonek. Michaś zrywa się z sofy, biegnie do drzwi wchodowych — otwiera, Prechner wsuwa głowę).

SCENA I.

PRECHNER.—MICHAŚ.

Prechner (żyd, ale w surducie, z siwiejącą brodą). Niema go?

Michaś. Niema. Przecież Prechner wi-

dział, że nie wrócił. Przecież musi przejść przez schody. Kominem nie wlezie.

Prechner. Już dwie godziny czekam i ja i tamci...

Michaś. Czekajcie jeszcze dwie godziny, może nadejdzie.

(Prechner się cofa. Michaś zamyka drzwi i wraca na sofę, bierze „Tygodnik Ilustrowany“ i stara się czytać, pukanie lekkie do okna. Michaś zrywa się, biegnie i otwiera okno—przez okno wchodzi Stanio).

SCENA II.

MICHAŚ.—STANIO, później PRECHNER.

Stanio (jest bardzo blady, niewyspany—koszula zmięta, kołnierz od palta podniesiony).

Michaś. Niech jaśnie pan mówi cicho—bo oni tam są, za drzwiami.

Stanio. Zapaść na drzwi gobelin.

(Michaś zaciąga drzwi gobelinem).

Zimno tu... masz herbatę?... nie?... Wie-działem, że tak będzie.

Michaś. Trzymałem samowar do ósmej zrana.

Stanio. Głupiec... Woda w fontannie jest? Jest. Przygotuj mi migreninę...

(Wchodzi za kotarę—słychać plusk wody—

przez ten czas Michaś przygotowuje proszek, wodę, zapala maszynkę i robi na niej herbatę).

Stanio (za kotarą). Michaś, listu niema?

Michaś. Jest... cztery.

Stanio. W zielonych kopertach?

Michaś. Tak.

Stanio. Był kto?

Michaś. Była panna Marcela ze trzy razy.

Stanio. Co jej powiedziałaś?

Michaś. Że jaśnie pan pode Lwów pojechał. Proszę jaśnie pana, ja pójde i przyniosę cytrynę.

Stanio. Idź.

(Michaś wyłazi oknem).

Michaś. Jaśnie pan okno przymknie.

(Stanio wychodzi z alkowy, umyty, odświeżony—w kamizelce domowej, z pikowanemi atłasowemi rękawami, idzie do biurka, bierze listy, wzrusza ramionami, siada na sofie, otwiera listy i zaczyna jeden czytać).

Stanio. „Panie!... postępowanie twoje“. Tak, dobrze... teraz drugi. „Najdroższy“—nie, musiałem się pomylić w porządku, pomiędzy „Panie“ a „Najdroższy“ cała noc nie przespana musiała przynieść coś pośredniego... och!.. crampon!... (Rzuca listy w szufladkę małej komódki i kładzie się na

sofie). Brrr... zimno mi... (naciąga na siebie futro). A, a!

(Michaś wchodzi przez okno).

Michaś. Jest cytryna.

Stanio. Cicho... głowa mi pęka... (mdlejąco). Wyduś całą cytrynę.

(Dzwonek).

Michaś. Cicho... Prechner, niech się jaśniej pan z głową nakryje.

(Biegnie do przedpokoju, otwiera drzwi).

Prechner (za kulisami). Jeszcze nie wrócił?

Michaś. Nie wrócił—może Prechner wejść i zobaczyć.

(Prechner wsuwa głowę, patrzy dokoła).

Ja dam Prechnerowi radę. Niech Prechner pójdzie razem z nimi i czeka przed kasynem. Prechner zobaczy, jak jaśniej pan skończy partyę i wyjdzie.

Prechner. Oni od wczoraj tak grają?

Michaś. Od jedenastej wieczór... no... niech Prechner idzie, tylko prędzej... może się Prechner minąć.

(Prechner wychodzi—Stanio wysuwa głowę z pod futra. Michaś biegnie do drzwi).

Niech jaśniej pan jeszcze się nie odkrywa.

(Patrzy przez drzwi).

Naradzają się, pójdą przed kasyno... Po-
szli... Jednego może zostawią w bramie, ale

to nie nie szkodzi. Niech jaśnie pan śpi. Ja idę do przedpokoju.

Stanio. Michaś... pamiętaj...

Michaś. Już wiem...

(Dzwonek).

Niech jaśnie pan się nakryje, może to Prechner wrócił.

Stanio. Wściec się można.

(Słuchać z przedpokoju głos hrabiego i Michasia).

To bydle go wpuści.

SCENA III.

Hr. CASERTA.—STANIO.—MICHAŚ.

Hr. Caserta (odsuwając Michasia). Usun się, głupcze... dla mnie twój pan jest zawsze w domu. A zresztą wiem, gdzie go szukać.

Stanio (odrzucając futro). Dzień dobry, hrabio.

Hr. Caserta. Leż, leż! musisz być dyabło zmęczony. Byłem dziś w nocy w kasy nie około drugiej. Mówili mi, że grasz i to w dużej grze. (Siada koło sofy). Przegrałeś?

Stanio. Naturalnie! nie mogło być inaczej. Wszystko przez tego bydlaka! (wskazuje na Michasia). Gdy wychodziłem z domu, spostrzegłem, że nie mam fetyszów... Ja

nie mogę do gry sięść bez moich fetyszów... Musiałem się wrócić. Wiedziałem naprzód, że nie mam szansy. Przegrałem wszystko, com przywiózł z Krakowa. Szcześnie, że się gra skończyła, bo byłbym przegrał dużą. (Nerwowo). Ah! beau vrai... pod ładną urodziłem się gwiazdą!

(Odrzuca futro, siada na sofie i chwyta głowę w obie ręce).

C'est trop fort — psia krew!... c'est trop fort!...

(Hrabia patrzy na niego spokojnie, bawiąc się przez ten czas laską; Stanio po chwili).

Jeszcze mi nigdy tak karta nie szła, jak wczoraj.

Hr. Caserta. Wracając nie wstąpiłeś do kościoła?

Stanio. Za co? W Krakowie co rano jak wracałem, szedłem do Panny Maryi. Ale tam było za co... wygrywałem tak, jakby mnie żona zdradzała.

(Wstaje i chodzi po pokoju).

Hr. Caserta. Twoja wina... Dlaczego się gorączkujesz przy grze. Trzeba mieć zimną krew.

Stanio. Łatwo powiedzieć—zimną krew. Gdybym grał dla przyjemności, to... ale... enfin... passons...

Hr. Caserta. No, daj spokój! Żyłkę

masz... i to porządną. Pozorujesz koniecznie-
ścią...

Stanio (wściekły). Ah, non!... jeśli hrabia
mi będziesz robił wymówki...

Hr. Caserta. Boże uchwaj! czy ja ci
kiedy jakie wymówki robiłem? Chciałeś się
uczyć, nie chciałeś się uczyć, robiłeś co
chciałeś. Byłeś w Tarnopolu, źle ci było,
odebrałem cię... byłeś w Krakowie, źle ci
było... powiedziałem wracaj. Wstąpiłeś do
namiestnictwa, powiedziałeś, że ci biurowe
życie nerwy targa... wystąpiłeś.

Stanio. Praktykant konceptowy!...

Hr. Caserta. Właśnie... nie lubisz do-
brze. Już musisz przyznać, że byłem dla
ciebie wzorowym opiekunem. Pozwalałem
ci urządzać sobie życie według twojej woli.
Według mnie widzisz—raz się żyje na świe-
cie i nikt niema prawa krępować nieczyjej
wolności indywidualnej. Ja tak samo od
dzieciństwa nie pozwoliłem się krępować ni-
komu. Życie sobie urządziłem sam i w in-
nym niż wszyscy porządku. Przedewszyst-
kiem nie żyłem z procentów, ale z kapitału
moralnego, fizycznego i materialnego. Nie
chcę, ażeby ze mną zamknięto w trumnie
choć jedną nie spełnioną chwilę rozkoszy
(z uśmiechem wykwintnym) i nie chcę, aże-
by moi spadkobiercy wymyślali na mnie, że
im tak mało zostawiłem. Zdaje mi się, iż

czarę... rozkoszy spełniłem do dna a dla spadkobierców pozostanie tylko okazyja za-manifestowania swego gustu w doborze kwia-tów na wieniec, któremi obwieszają mój ka-rawan.

Stanio. Hrabia masz zaledwo piędziesiąt kilka lat, możesz żyć jeszcze lata całe.

Hr. Caserta (wolno, z zagadkowym uśmiechem). Człowiek silny moralnie żyje tak długo jak chce.

(Stanio zatrzymuje się i patrzy w oczy hra-biego).

Tak długo jak zechce. Trudno bowiem, żyjąc pianą życia, spijać na starość jego męty. To—brzydka afera. To jedyna rada, jaką ci dać mogę. Enfin—nie mówmy o tem. Z czem innem do ciebie przychodzę. Dziś rano był u mnie pan Chełczyński. Spokojnie tylko, proszę cię... powiem ci całą prawdę. Julcia go kocha.

Stanio. Szaleństwo!

Hr. Caserta. Bynajmniej! Dla niej to jest piana życia. Pozwólże i jej spełnić do dna czarę rozkoszy. Ona ją znalazła w pa-nu Chełczyńskim a ty... w kartach i w... zre-sztą mnie nie do tego. Tylko widzisz, nie trzeba krępować wolności indywidualnej. Ona ma swoje pieniądze, podniesiemy je z banku od Lipeckiego, pan Chełczyński ku-pi za nie wiozeczynę i wyjadą sobie spokoj-

nie nad jaki Prut, San, czy tam coś podobnego. Ja nie rozumiem twego uporu—przecież musiałeś być przygotowany na to, że Julcia zamaż pójdzie.

Stanio (nerwowo). Julka jest młoda — niech czeka.

Hr. Caserta. Dobry jesteś—niech czeka! A ty czekasz?

Stanio. Ja jestem mężczyzną.

Hr. Caserta. Frazesy! Julka nie chce czekać i dobrze robi. Młodość przemija, jak wiosna z róż.

Stanio. Ja na to małżeństwo nie pozwolę.

Hr. Caserta. Ależ zrozum, że prośba o twoje pozwolenie jest tylko aktem kurtuazji ze strony Julci i Chełczyńskiego. Bez twego pozwolenia obejść się zupełnie może.

Stanio. Julcia mnie kocha i nie zrobi mi tej... szalonej przykrości.

Hr. Caserta. Zadziwiasz mnie. Co masz do Chełczyńskiego? Nie jest to świetna partya—ale rodzina nie zła, majątku wprawdzie niema wielkiego...

Stanio (ironicznie). Poluje na posag.

Hr. Caserta. Nie poluje—szuka go wraz z żoną. Robi to, co wszyscy robicie, co i ty—byś robił, gdyby...

Stanio. Gdyby co?

Hr. Caserta. Gdybyś się nie wplątał w stosunek, który ci dyabło bruździ w życiu...

Stanio. Hrabia żartuje... nie mam żadnego stosunku.

Hr. Caserta. Mój drogi—takie romanse z meżatkami, to zawsze sekret Poliszynela. Pani Wanda jest tak piękna, że miałbym ci po prostu za złe, gdybyś przeszedł obok niej, nie zauważywszy tej piękności. Ale strzeż się... to jest ten rodzaj kobiet, który bierze miłości ze strony tragicznej i tak jak skorpion w życie się wpija.

Stanio. To już zerwane.

Hr. Caserta. Od kiedy? od wczoraj?—a ile miałeś listów? Nie... mój drogi. Z takimi kobietami się nie zrywa.

Stanio. Bah!

Hr. Caserta. Nie — czeka się aż one same zerwą, to daleko prostsze... (wstaje) inaczej będziesz zawsze na wzór człowieka, któremu na szyję zarzucono postronek. Za każdym szarpnięciem postronek się będzie coraz bardziej zacieśniał a zerwać go nie zdołasz. No a teraz uciekam. Pomów z Julcią, która jest w rozpacz.

Stanio. Ja jej to wyperswaduję. Ona poczeka.

Hr. Caserta. Dlaczego nie chcesz Chełczyńskiego?

Stanio (wymijająco). Działa mi na nerwy.

Hr. Caserta. Na nerwy? Może twoje pojęcia arystokratyczne są zadraśnięte. Ależ mój drogi, wy nie macie prawa należeć z rodu do towarzystwa. Babka twoja była kimś—ale... zresztą, stosunki wasze złożyły się tak, że raczej jesteście w plutokracji przyjmowani a tam, przyznaj sam, że tak co do pochodzenia jak i tonu rozmowy wielkiej wybredności nie ma. Ty bywasz no tak... ale to ty, podczas, kiedy Julcia...

Stanio. O! Nie o to tu chodzi. Pod tym względem mam swoje zasady to prawda, ale to nie jest przeszkodą...

Hr. Caserta. Więc co?

Stanio (nieodpowiada).

Michaś (wsuwa głowę). Proszę jaśnie pana—jaśnie panienska, siostra jaśnie pana przyjechała...

Stanio. Nie mogę się z nią teraz widzieć...

Hr. Caserta. Cóż znowu! nie należy pozwolić, aby piękne oczy płakały. Wejdz moje dziecko, twój brat na ciebie czeka!

(Julcia wchodzi w kostymie ślizgawkowym, z łyżwami w rękę).

S C E N A IV.

Ciż sami — JULCIA.

J u l c i a. Dzień dobry panu! Dzień dobry Staniu!

Hr. C a s e r t a. Cóż to! taka blada? oczy czerwone? Oj panienko, panienko! Ładnych oczów nie psuć! Pozwól (całuje ją) po ojcowsku. Odchodzę, wy pomówcie ze sobą... Ale serdecznie — jak brat ze siostrą... (do Julci). Jedziesz na ślizgawkę?

J u l c i a. Tak z Mery. Mery została na dole, w powozie.

Hr. C a s e r t a. A więc do widzenia. Ja będę także na lodzie. Będę na was patrzył. (Z uśmiechem). To już wszystko na co sobie mogę teraz pozwolić. Bądźcie zdrowi...
(Wychodzi).

J u l c i a (po chwili milczenia). Staniu! (Stanio kładzie się na sofce, okrywa się futrem). Staniu! czy hrabia ci mówił?...

S t a n i o (leży z przymkniętymi oczami). Mówił, ale z tego nic nie będzie.

J u l c i a (przerażona). Dlaczego?

S t a n i o. Jesteś za młoda.

J u l c i a (ze łzami). Daleko młodsze odemnie panienki wychodzą za mąż.

S t a n i o. A zresztą, ten twój pan Chełczyński nie podoba mi się.

Julcia. Nie znasz go. Nie możesz nic o nim mówić. To bardzo zacny i porządny człowiek.

Stanio. E! moja droga, ty jeszcze jesteś głupiutka. On wcale cię nie kocha.

Julcia. Przepraszam... kocha.

Stanio. Powiedział ci to?

Julcia (cicho). Tak, wczoraj na fixie u Lipeckich.

Stanio (zrywając się). Śliczne ma maniere ten pan. Zasluguje na to, ażeby go wyzwać.

Julcia. Staniu! wyzwać go? za co?

Stanio. Za to, że nie postępuje correct. Powinien był przedewszystkiem udać się do mnie.

Julcia. Nie chciałeś go słuchać...

Stanio. A moja droga... skoro sama się o to prosisz, to ci powiem, co o tem małżeństwie myślę. Ten pan chce się żenić z tobą, bo wie, że masz trochę pieniędzy. Spróbuj... powiedz mu, że nie masz ani centa—zobaczysz, czy cię weźmie.

Julcia. Pocóż ja mam to mówić, kiedy ja mam pieniądze.

Stanio. Ale spróbuj! zobaczysz jak będzie uciekał.

Julcia. Dobrze—ja spróbuję, ale ty zobacz się z nim Staniu. On musi mieć dziś naszą odpowiedź... Jego matka przyjechała.

Stanio. Już ją sprowadzić! Coraz ładniejsze maniery. To muszą być ekonomi, albo stalmajstry...

Julcia. Ja sobie z tobą poradzić nie mogę!... (Biegnie do przedpokoju i coś szepcze Michasiowi—wraca). Nie dobry jesteś, bardzo dla mnie nie dobry.

(Płacze).

Stanio (nie patrząc na nią). Szkaradna egoistka. Jestem spracowany, mam migrenę a ona mnie zajmuje swemi mrzonkami.

SCENA V

Ciż sami. — MERY.

Mery (w ślicznym kostymie ślizgawkowym, trzymając łyżwy). Bon jour! Ich bin's!

Stanio. Panna Mery! (biegnie za kotarę). Pani daruje, w tej chwili służę!

Mery. Ja... Julcia, pomnie przysłała pańskiego strzelca i chodź to porządne schoking, ale nie mogę się oprzeć pokusie zajrzenia do kawalerskiego mieszkania. Cóż to? Julcia płacze? A zgaduję! Kochany braciszek nie chce... (Stanio wychodzi ubrany w żakiecie). Witam cię lordzie Astonie z Lammermooru,

bracie i tyranie Łucyi—Julci. Nie pozwalasz jej poślubić Edgara de Ravens wood Chełczyńskiego! Cóż za fatalność.

St a n i o. Przynajmniej pani, panno Mery bierze życie z wesołej strony. Aż przyjemnie odetchnąć przy pani.

M e r y. Z życia trzeba kpić, bo inaczej życie z nas zakpi. Julciu! nie płacz... proszę cię! od wczoraj kąpiesz się we łzach. Powiadam panu, Wanda u nas dostała spazmów przy obiedzie — pojechałam do kasyna ze stryjem... E!... Pan ma ładne sztychy? Czyje to?

St a n i o. Adillon. Redou.

M e r y (przyglądając się). Ten życie pojmuje nie tylko przez łzy, ale i nerwowe dreszcze.

St a n i o. Pani ma nerwy?

M e r y (ironicznie). Mam, na swój użytek. Jeszcze z nich piły nikomu nie zrobię, dotychczas... Choć zdaje się będę je musiała trzymać na wodzy. Nigdy nie zaznam rozkoszy zrobienia mężowi sceny.

St a n i o. Dlaczego?

M e r y. Bo jestem bogata. Będę musiała mieć wielką delikatność w pożyciu — podwójną delikatność.

St a n i o. Będzie więc pani idealną żoną.

M e r y (z ukłonem). I to pod wszystkimi względami. Pomyśl pan tylko. Jestem

bogata, piękna, dowcipna, inteligentna. Jest to trochę za wiele, jak na jedną pannę na wydaniu. Ale co począć! tak mnie los obdarzył—muszę zatem te ciężary dźwigać.

Stanio. Aż ktoś zapagnie z tych ciężarów korzystać.

Mery. O! ja tak samo jak pan do ołtarza nie spieszę.

Stanio. Jak ja? zkaż pani o tem możesz wiedzieć?

Mery. Una voce poco fa...

Stanio. Una voce mylnie mówi.

Mery. O!..

(Patrzy na Stania długo z pod przymrużonych oczów).

Stanio. Tak... Tak...

Mery. Tien... tien... (Po chwili). A cóżby na to powiedziano.

Stanio. Kto?

Mery. Nikt. (Nagle). Widzi pan ja nie wierze w jedną rzecz; w to, że pan ma dużo silnej woli, że pan może sobie powiedzieć: ja chcę! i tak być musi! Pan mi robi wrażenie trzciny. Silny wiatr pana łamie. (Po chwili). A gdybym ja była na pana miejscu—ja wiedziałabym co zrobić!

Stanio. Cobyś pani zrobiła?

Mery (z nerwową energią). Zerwałabym... o... tak... (łamię trzymaną w ręku rączkę od pióra).

Stanio. Może mnie pani niesłusznie o brak siły posądza.

Mery. Czy tak? (Patrzy znów przeciągle na Stania). Pan pojedzie z nami na ślizgawkę?

Stanio. Pojadę trochę później!

Mery. Pan będzie ze mną tańczyć falandolę. A... daj pan dowód?... bądź pan silny... (podaje Stanowi rękę, ukradkiem ściska go nerwowo — zwraca się do Julki i wsuwa jego rękę w swoją mufkę). Weź pan ztamtąd fiołki... patrz pan, jakie ciepłe... (bierze garstkę fiołków i delikatnie wkłada je Stanowi do ust). Zjedz je Pan!

Stanio (namiętnie). Z rozkoszą!... (Chwilę patrzą na siebie namiętnie).

Mery. Zapomnieliśmy o tej biednej Julce... Chodźmy do niej. (Zbliżają się do Julki, która przez ten czas płakała, siedząc na sofie, Mery siada obok niej z prawej strony). A! to źródło łez... zkaż ona bierze tyle łez, niech mi pan powie!

Stanio. To już tajemnica kobiet.

Mery. Nie płacz! nie płacz! pomyśl jak ty będziesz wyglądać na ślizgawce.. Pan Chełczyński tam będzie... jeszcze się w tobie odkocha. Twój brat nie taki znów straszny. My sobie z nim poradzimy. (Siadajże Pan obok niej, tak... I pamiętaj pan jedno: (zmie-

nia ton) „ona niema matki! nie trzeba się nad nią pastwić“.

(Stanio siada obok Juli).

Julcia. Och Mery! Mery!... jabym chciała nie żyć.

Mery. Dużo byś na tem wygrała. Kto inny byłby Chełczyńską.

Julcia. Stanio powiedział, że... że... on się ze mną żeni dla posagu.

Mery. Moja droga! My, które mamy nieszczęście mieć posag, musimy być przygotowane. Ale wiesz mi, to już od nas zależy, to co będzie dalej. Mężczyźni nas mogą wziąć dla posagu, ale potem nas zatrzymać dla nas samych. Prawda panie Staniu?

Julcia. Wtedy—proś go—niech on się nad nami zlituje—proś go, od ciebie tyle zależy!

Mery. Czy to prawda, że odemnie dużo zależy?

Stanio. Qui l'o sa—może wszystko!

Mery. Jaktó mam rozumieć?

Stanio. Jesteś, pani tak dziwnie subtelna, że rozumiesz wszystko.

Julcia. Dlatego, że on sam nie chce się żenić i zawsze szydzi z małżeństwa, to i mnie zabrania iść za mąż.

Mery. Czy to prawda, pan szydzisz z małżeństwa? To przecież taka doskonała instytucja.

St a n i o. Julcia papple jak dziecko.

M e r y. Więc—w zasadzie.

St a n i o. Skoro nie mam migreny — jestem zdania pani.

M e r y. Jak my się cudownie oboje zgadzamy... No, pomówisz pan z Chełczyńskim. Ja go panu dziś na łodzie przyprowadzę... No... ja proszę.

St a n i o. Ja... nie mogę się do niczego angażować!

M e r y. Ale pan nie odmawiasz. To zwycięstwo! No Julciu, ucałuj brata!

Julcia. On nie lubi tych... demonstracji.

St a n i o. Owszem—dziś możesz mnie pocałować. Je suis bon prince (całuje Julkę. Julka rzuca się na szyję Mery).

Julcia. To ty go doprawdy w oczach odmieniasz!

M e r y. Widzisz... mam talizman! (Po chwili). Pokaz nam pan, to historyczne okno, przez które pan wchodziś niewidzialny przez osoby, czychające na powrót pana do domu?

St a n i o. Jakto? to pani wie?

M e r y. Lwów taka mała miejscina. Michaś via Marcella. Więc to jest to okno?

St a n i o. Tak. Ten balkonik wychodzi na ogród, mający furtkę na ulicę Niecałą. Mam do tej furtki klucz i...

M e r y. Pan jeden ma od tej furtki klucz? jeden?

S t a n i o. Ja i Michaś.

M e r y (otwiera okno). Śliczny widok! te drzewa obsypane śniegiem...
(Mery podchodzi do okna—patrzy chwilę—
Julcia podchodzi także. Stanio w tej chwili
układa poduszki na sofie).

J u l c i a (cicho). Mery... jakaś kobieta idzie po śniegu i patrzy tutaj.

M e r y. Cicho, ani słowa!... chodź!...

J u l c i a. Ależ to...

M e r y. Milcz!... Chodźmy!... (przymyka okno i szybko zbliża się do Stania). Jedźmy na ślizgawkę, przyjedź pan prędko... Nie zapomnij pan o naszej rozmowie. Miej pan siłę... czerp ją pan (z uśmiechem trochę smutnym) choćby myśląc o mnie...

S t a n i o. Nie rozumiem pani słów...

M e r y. Na lodzie może się wytłómaczę wyraźniej... Zbliź się pan zaraz do mnie i nie odstępuj mnie ani na chwilę. Będę pana aniołem stróżem.

S t a n i o. Lękasz się pani, ażeby lód się nie załamał? ażeby nie utonął.

M e r y (nerwowo). Czasem w życiu można tak utonąć... ale to tak utonąć... (urywa) i nagle wyciąga się ręka, która chce ratować (wyciąga swoją rękę)

S t a n i o (bierze ją za rękę). Mery!

M e r y. Do widzenia!... za godzinę!... Myśl pan o mnie!... (Wychodzi z Julcią).

S t a n i o (sam). Za godzinę! (Odprowadza ją do przedpokoju, wraca, zapala papierosa, kładzie się na sofce) tien! tien! (Pukanie w szyby).

S t a n i o (zrywa się). Tamta! (chwytą futro, szuka kapelusza, chce uciekać).

S C E N A VI.

WANDA. — STANIO.

W a n d a (popycha okno, szybko wskakuje przez okno, ma na sobie kostyum ślizgawkowy, łyżwy—i na wierzchu dużą rotundę—rzuca się do Stania i chwytą go za rękę). Daruj mi! przebacz! przebacz!

S t a n i o (brutalnie). Zostaw mnie w spokoju!

W a n d a. Daruj mi! Daruj mi! Ja bez ciebie żyć nie mogę!

S t a n i o. Ale ja mogę żyć bez ciebie!

W a n d a. To nie prawda! Mówiłeś mi to już wiele razy a potem zawsze wracałeś do mnie.

S t a n i o. Bo miałem litość nad tobą. Przedstawiałaś mi się zawsze jako istota nieszczęśliwa, jako ofiara twego zimnego i wyrachowanego męża. Dziś widzę, że jeśli kto-

kolwiek jest ofiarą, to z pewnością nie ty, ale on—bo ładne życie musisz mu urządzać, jeśli się z nim tak obchodzisz, jak zemną.

Wanda. Ja ciebie kocham!

Stanio. Nie kochasz mnie! To tylko nerwy—nie więcej. Gdybyś mnie kochała, nie robiłabyś mi ciągłych scen i zrozumiałabyś, że ja nie mogę dłużej pędzić takiego życia.

Wanda. Dlaczego? Cóż ci się złego działo? Ja cię kochałam, byłam ci wierną.

Stanio. Moja droga—widzę, że nie należysz do subtelnych kobiet i nie rozumiesz masy rzeczy.

Wanda. Tak! Nie rozumiem zwłaszcza tego, jak można rozkochać w sobie kobietę a potem powiedzieć jej: daj mi spokój — odczep się odemnie.

Stanio. Moja droga! Nie byłaś dziewczęciem i wiedziałaś, co robisz.

Wanda. Otóż to--nie byłam dziewczęciem. Wam, którzy romansujecie z mężatkami, zdaje się, że nie popełniacie takiej samej zbrodni porzucając ją, jak popełniacie—porzucając uwiedzione dziewczę. Ależ to sto razy większa zbrodnia... bo kobieta taka pozostaje sama ze swemi wyrzutami, ze swym bólem, musi grać komedję przed światem, musi... a...

(Po chwili).

Dziewczyna młoda ma przecież całe życie przed sobą, może się pocieszyć.

Stanio. Mężatka także może się pocieszyć—c'est le premier pas...

Wanda. A... to szczyt!—doprawdy pomyśleć można, że czynisz wszystko, abym cię nienawidziła.

(Chwila milczenia—nagle).

Ty się chcesz żenić?

Stanio. Ja? Także myśl!

Wanda (straszenie blada, chwytając go za rękę). Daj mi słowo honoru, że nie myślisz się żenić.

Stanio (cofając się). Wando, upamiętaj się...

Wanda (ochrypłym głosem). Daj mi słowo honoru, że się nie masz zamiaru żenić...

Stanio (z najwyższem rozdrażnieniem). Ależ... daję ci słowo honoru.

(Milczenie. Wanda upadła na sofę, wyczerpana. Stanio chodzi po pokoju).

Co za życie, co za straszne życie!...

Wanda (wstając). Kiedy do nas przyjdiesz?

Stanio. Nie wiem. Sama mi drzwi pokazałaś.

Wanda. Nie, nie... to było w przystępie szału. Myślałam, że się chcesz żenić i dlatego... ale teraz dałeś mi słowo honoru, wierzę ci. (Z prostotą i prośbą w głosie). Pojedziesz

z nami ze ślizgawki... będziemy próbowali secesyjnego tańca, który tańczyć mamy na cel dobroczynny. Wszak ty go aranżujesz. Pojedziesz?

Stanio. Nie.

Wanda. Nie mów nie! nie możesz powiedzieć „nie!“ — skoro ona tak grzecznie, tak dobrze prosi. Niech on jej nie robi zmartwienia, niech on jej nie robi zmartwienia.

(Dzwonek).

Stanio. Puść mnie!... Zapomniałem drzwi na klucz zamknąć.

Michaś (szybko otwiera drzwi). Jaśnie pan Lipecki.

Wanda (razem). Mąż!

Stanio (razem). Powiedz, że mnie niema.

Michaś. Rozbiera się.

Stanio. Trzymaj drzwi, uciekaj przez okno!

Wanda. Nie zdążę.

(Wpada do alkowy — Stanio wrzuca za nią futro, zaciąga zasłonę—wchodzi Lipecki).

S C E N A VII.

STANIO.—LIPECKI.—WANDA.—MICHAŚ.

Lipecki. No, jesteś wreszcie, myślałem, że cię nie zastanę; wiesz, tam w bramie wi-

działem tego lichwiarza Prechnera. Więc i jemu winien jesteś?

Stanio (prezentuje mu pudełko). Dobry cygara.

Lipecki. Dziękuję... ja na chwilę. (Siada). I cóż, rozmyślałeś się?

Stanio. Ja? nad czem?

Lipecki. No... co do tego mariażu. Bój się Boga, raz jeszcze ci powtarzam — ani chwili czasu nie mam do stracenia. Ja będę mówił z tobą otwarcie. Po prostu... karty na stół. Wskutek mej słabości do ciebie — jestem obecnie zarżnięty. Widziałem się dziś z Casertą. Małżeństwo twojej siostry, wbrew twojej woli, przyjdzie do skutku. Ja tych czterdziestu tysięcy za ciebie nie oddam — bo mam jeszcze coś z posagu żony, ale wyzbywać się tego nie myślę. Ja moje stanowisko, moją sytuację zdobyłem unguibus et rostro i stracić się z niego na centymetr nie dam. Ja żyję — na seryo! Muszę więc po prostu dla ocalenia siebie i ciebie, oddać ci rękę Mery, innej solucyi nie widzę.

Stanio (milczący).

Lipecki. Cóż to, myślałem, że mi skoczysz na szyję z radości. Śliczna, młoda dziewczyna i dwakroć...

Stanio. Są to wszystko mrzonki. Panna Mery mnie nie zechce, ja do niej także nie czuję inklinacyi.

Lipecki. Sam nie wiesz, co pleciesz. Mery jest w tobie zakochana a i ty i nieraz z nią po kątach flirtowałeś nie na żarty.

Stanio. Ależ zapewnić pana mogę...

Lipecki. Nie widzę w tem nic złego a nawet widzisz, miałeś dobry instynkt. Wyflirtowałeś sobie deskę ratunku i to nabiła złotemi gwoździami. Oj, Stanio, Stanio! Dlaczego mnie nie słuchałeś! Z twemi zdolnościami mogłeś dojść do wcale przyzwoitej karyery.

Stanio (nerwowo). Tak... z koceps-praktykanta byłbym został komisarzem a z chwilą, gdyby przyszła łysina... starostą.

Lipecki. Według stawu grobla, mój drogi. Zresztą i na tej drodze można czasem dojść wysoko. Wszystko to było więcej warte niż twoje karty, albo widzi-rejostwo w salonach. Widzisz—przyszła na ciebie ciężka chwila i... nic — ani karty, anitamte salony, które się od nas tak strasznie odcinają—nie nie pomogą. Mówiłem wczoraj wieczorem z Mery, mówiłem naturalnie, delikatnie i ostrożnie. Widzę, że pójdzie ci łatwo. Masz szczęście do kobiet (wstaje). A teraz... główny powód mego przyjścia. Podobno wczoraj z Wandą mieliście jakieś zajście... Nie—ja nie chcę wiedzieć o co poszło. Z pewnością o głupstwo. Wanda jest histeryczka... Ona sama z pewnością żałuje, że zrobiła tę sce-

nę. Najlepiej zrobisz, przychodząc do nas wieczorem. Jakby nie pomiędzy wami nie zaszło. No i cóż—przyjdiesz?

(Stanio się kłania w milczeniu).

Widzę, że ja ciebie muszę uczyć życia a są tacy, którzy mówią o tobie, że ty umiesz żyć! No, bądź zdrow! Jadę na ślizgawkę, tam jest Mery, Wanda. Czekają także na ciebie...

(Słucha chwilę).

Co to? szmer w alkowie? Szelest jedwabiu... a... Nie przeszkadzam... Gdybym wiedział... No... no!... wierzę teraz, mój drogi, że umiesz żyć!

(Wychodzi z dyskretną miną — w tej chwili Wanda wybiega z alkowy i rzuca się ku Staniovi).

Wanda Dlaczego skłamałeś?

Stanio (chwytając ją i zatykając jej usta ręką). Milcz! on jeszcze nie wyszedł.

(Wanda samocze się—wreszcie Stanio odtrąca ją, biegnie do przedpokoju i mówi do Michasia).

Zamknij drzwi, nie wpuszczaj nikogo.

(Wraca, zamyka drzwi na klucz, Wanda chwytając go za rękę).

Wanda. Dlaczego skłamałeś?

Stanio. Nie skłamałem.

Wanda. Dałeś słowo honoru, że nie myślisz się żenić. Dałeś słowo honoru! a teraz

z tym... z tym idyotą... z tym łotrem... układacie wspólnie małżeństwo z panną Mery... Nie rozumiałam dobrze—nie wiem, o co wam chodzi... o jakieś czterdzieści tysięcy... dwóch łotrów się dobroła i mnie chcą zabić! i mnie chcą zabić!

Stanio. Nie krzycz!

Wanda (w paroksyzmie szaleństwa). Uduś mnie, to nie będę krzyczeć, zabijcie mnie obaj razem—to będzie uczciwiej. Ale dość tego... ja nie mogę znieść dłużej takiej męczarni... nie mogę...

(Wyciąga z zarekawka rewolwer).

Niech się skończy...

Stanio. Szalona!

(Chwila strasznej walki.—On jej wreszcie po dłuższem szamotaniu, wyrywa rewolwer i rzuca go na biurko—ona woła):

Wanda. Mniejsza z tem, kupię sobie inny. Ale bądź pewien, że tu się zastrzelę, u ciebie, w tym pokoju, nigdzieindziej.

(Długa pauza—ściemniło się.—Wanda upadła na sofę, Stanio stoi niezdecydowany—wreszcie Wanda przywłóczy się do niego i bierze go za rękę.—Cicho, ze łzami).

Wierzysz teraz, że cię kocham? Nie ożenisz się? Przecież ty nie chcesz, ażebym przez ciebie umarła.

Stanio (podnosi ją). Usiądź!... Uspokój się!...

Wanda. A! mówisz już do mnie inaczej. Innym głosem. Nareszcie! Ach, zlituj się nademną! bij mnie, poniewieraj... ale zostań przy mnie! Nie żeń się, nie żeń się z Mery... powiedz, że się nie ożenisz?

Stanio. Nie, nie!

Wanda. A, a!... (płaczę długo i cicho).

Stanio. Proszę cię, nie płacz—nie jestem w stanie już znieść tego. No, czego chcesz... Nie ożenię się, nie!... zostanę przy tobie... tylko zlituj się nad sobą i nademną. Już nie płacz! (Gwałtownie). Nie płacz!

Wanda. Już nie płaczę... już jestem spokojna. A. Boże! kiedy... on mówił, żeś ty flirtował z Mery, już wyjęłam rewolwer, chciałam się tam zabić, ale potem... pomyślałam, że... onby mi pospieszył z pomocą, że umierając... jego widziałabym przed sobą i... wstrzymałam się. O! ty nie masz pojęcia, jak jego nienawidzę. A teraz, kiedy się dowiedziałam, że on cię chce ożenić z tą wstrętną Mery — cała drzę na jego wspomnienie...

(Stanio siada na sofie, bezmyślnie zapala papierosa i patrzy w ziemię. Wanda usiadła u jego nóg).

Boże, skoro pomyślę, że mam znów wracać do tego domu—że...

(Bierze Stania za rękę).

Czy ty mnie kochasz choć trochę?

Stanio. Kocham!

Wanda. A... gdybym ja była sama?... Gdyby się stało coś takiego, że ja nie miałabym domu, nie miałabym męża... nie miałabym nic na świecie, prócz ciebie... Co ty uczyniłbyś dla mnie wtedy?

Stanio. Ale ponieważ tak nie jest, ponieważ masz męża, masz dom, masz wszystko—więc po co to pytanie?

Wanda. Odpowiedz mi tylko. Przecież my tylko rozmawiamy. Czy... gdyby mój dowiedział się o wszystkim i wypędził mnie od siebie, czy wtedy.. pozostałbyś zawsze przy mnie, do śmierci? Zważ, proszę cię—iż wtedy byłby to twój obowiązek, obowiązek honorowy—prawda? co?

Stanio (patrzac w ziemie). Poniekąd...

Wanda. Więc po takim wypadku byliśmy już naprawdę razem. Ty musiałbyś się mną opiekować, być zawsze przy mnie, nie mógłbyś się już nigdy ożenić.

Stanio. Zapewne. To obowiązek każdego gentelmena.

Wanda. Prawda?... I pomyśl jacy byliśmy szczęśliwi. Ja, nie mając powodu dręczyć się, tęsknić za tobą, bać się, że cię utracę, byłabym dobra, łagodna, nie robiłabym scen—ty nawzajem byłbyś dla mnie

lepszy. O, tak, tak! ja tak bardzobym cię kochała, byłbyś zemną taki szczęśliwy, że i ty musiałbyś mnie kochać tak samo.

Stanio. Ale ponieważ to jest niemożliwe, więc nie rozdrażniaj się, mów o tem, coby być mogło... O, jak mnie głowa boli..

Wanda (klęka przy nim na sofie). Wszystko na świecie jest możliwe!

(Bierze jego głowę w swoje ręce).

A ty byłbyś szczęśliwy, gdyby się to życie kłamstwa i udawania dla nas skończyło? Gdybyśmy mogli otwarcie należeć do siebie, choćby cały świat nas odepchnął... Powiedz, byłbyś szczęśliwy?

Stanio (głucho). Byłbym szczęśliwy.

Wanda (w egzaltacyi). I chciałbyś, żeby się tak stało?

Stanio (zamyka oczy). Naturalnie.

Wanda (po chwili, z suwając się z sofy). Zapalę lampę — potrzebuję napisać parę słów.

Stanio (z przymkniętymi oczyma). Do kogo?

Wanda (zmienionym głosem). Do Nory Beringer... uprzedzam ją o dzisiejszej próbie...

(Zapala lampę).

Piszę, ażeby kazała przygotować sobie kostyum.

(Jeszcze przy biurku widać, że cała drży i jest silnie wzburzona, po chwili idzie do przedpokoju i woła):

Michasiu!

Stanio. Co robisz?

Wanda. Laisse donc, c'est un garçon sur-et puis...

(Michaś ukazuje się we drzwiach).

Zejdź, oddaj ten list posłańcowi, każ mu wziąć sanki, niech jedzie jaknajprędzej na Panieńskie Stawy i odda ten list osobie, do której jest adresowany. Tę osobę wskaże mu z łatwością służba na ślizgawce. Niech nie mówi, od kogo dostał ten list. Żadnej odpowiedzi nie trzeba... Niech oddawszy natychmiast ucieka. Tu pieniądze.

Michaś. Dobrze, proszę jaśnie pani.

(Wychodzi.—Po wyjściu Michasia, Wanda uśmiecha się rozradowana, wreszcie cicho zbliża się do Stania).

Wanda (radośnie). A teraz pocałuj mnie, ale mocno, mocno...

Stanio. Zlituj się—głowa mi pęka!

Wanda. Słuchaj.. a... gdyby to, o czym mówiliśmy przeł chwilą—stało się?

Stanio. Co takiego?

Wanda. Gdyby mój mąż... się dowiedział... Gdyby mój mąż za chwilę miał prawdę o wszystkim wiedzieć, gdybym ja...

już tu... na zawsze została... no—gdybym nie miała gdzie wracać?

Stanio (siada nagle na sofce i patrzy na Wandę przerażonemi oczyma). Ty zrobiłaś jakieś szaleństwo!

Wanda. Nie, nie... ale...

Stanio (wściekły). Odpowiedz ty... co zrobiłaś?

Wanda. Nie... nie... ale — ja mogę to zrobić.

Stanio (z wybuchem). Ani mi się waży — nie radzę ci.

Wanda. Dlaczego? Przed chwilą powiedziałeś, że wtedy na zawsze zostałbyś przy mnie.

Stanio (zrywa się z sofy i zaczyna chodzić po pokoju). Powiedziałem, powiedziałem! Ależ zrozum, że kobieta wymęczy na mężczyźnie tysiące powiedzeń, o których nie myśli. Ty na mnie także to wszystko wymęczyłaś. Czy ty nie widzisz, co się zemną dzieje? Patrz, jaką ja mam gorączkę. Całą noc mordował mnie taki pech, żeby sam anioł przegrał a teraz ona mnie męczy! Ależ zrozum, że ja nie mam nic, że ja mam same długie, że ja czasem chodzę głodny, choć wy wszyscy o tem nie wiecie. Co ty chcesz, żebym ja z tobą jeszcze robił? Na ręce mi jeszcze ty chcesz spaść? A... nie, tego już

zanadto. Może chcesz, ażebym się starał o diurumie?

Wanda. Powiedziałeś... że... tak dżentelmen powinien postąpić...

Stanio. To na scenie się tak postępuje, ale nie w życiu. Egoistka, egoistka!...

(Chwila milczenia).

Raz jeszcze ci powtarzam: nie radzę ci robić coś podobnego. Gdybyś coś takiego zrobiła, ostrzegam cię — wtedy dopiero zerwę z tobą naprawdę i dam ci na to słowo honoru—nie zobaczysz mnie więcej.

Wanda. Nie, nie!

Stanio (krzycząc). Daję ci słowo honoru—słyszysz... nigdy mnie nie zobaczysz więcej!... Możesz się nawet i zastrzelić—nic wtedy nie pomoże!

(Chwyta rewolwer, który jej odebrał i rzuca jej na sofę).

Wanda (szybko). Daj mi futro! Daj mi moje futro!

Stanio. Gdzie chcesz iść?

Wanda. Puść mnie... nie zatrzymuj mnie ani chwili.

Stanio. Masz twoje futro... Powiedz mi jednak...

Wanda. Nie... nie... błagam cię o jedno! Nie wychodź z domu!

Stanio. Oszalałaś! czekają na mnie na łodzie.

Wanda. Nie jedź tam — proszę cię, nie jedź tam!

Stanio. Daj mi pokój!

Wanda (jak szalona). Rękawiczki... albo zresztą mniejsza... Michaś drzwi zamknął— otwórz mi swoim kluczem, prędko! Boże! gdybym znalazła dorożkę! (rzuca mu się na szyję). Wszystko raczej niż ciebie utracić!... (Stanio odprowadza ją do przedpokoju — poczem wraca—przygotowuje łyżwy, ogląda je, potem siada zniechęcony na sofie).

Stanio. A tom wpadł!

Koniec aktu drugiego.

AKT TRZECI.

(Scena przedstawia tor ślizgawkowy. W głębi zaśnieżone wzgórza w półkole — po lewej stronie brzeg śniegiem pokryty, dość stromy—wysoki. Po prawej stronie—wejście na lód—dalej łoże, estrada dla muzyki. Przed kinkietami—plan pierwszy: silna baryera na metr wysokości wzdłuż całej sceny tak, ażeby artyści posuwając się na kółkach łyżkowych, mogli opierać się o tę baryerę, nie narażając się na wypadek i wpadnięcie do orkiestry. Dokoła stawu lampiony w festonach i przez środek sceny idzie rodzaj nasypu śniegowego, wysokiego na 60 centymetrów, kończącego się w trzy czwarte sceny, tak, ażeby ślizgający się, byli niejako odcięci i zakryci do kolan. Do tej zatoki wchodzi wszyscy z prawej strony, przez otwór, pozostawiony pod nasypem; ławki, przy których służba przytwierdza nity i zdejmuje łyżwy. Na podłodze rozesłane i wyszpanowane silnie płótno kauczukowe, pomalowane na biało Służba ślizgawkowa odmiata lód.

Za parkanem słyhać dzwonki u sanek. Przed łozami, pomiędzy bramą a łozą pierwszą, mały bufet pod namiocikiem. Pod łozami ławki, na których siedzą panie. Cały tor obstawiony żerdziami, na których powiewają chorągwie. W chwili podniesienia zasłony słyhać orkiestrę, grająca walca... chwilę orkiestra gra. Gdy zasłona się podnosi jest już trochę zmrok. Mnóstwo łyżwiarzy i łyżwiarek ślizga się po lodzie. Kilka sanek popychanych przez mężczyzn. Ożywienie, wesołość, śmiech i ogólna zabawa. Koło baryery stoi Lipecki, hr. Caserta i Ordega. Na lewym brzegu Mery. Przed nią klęczy Werycho i przymierza jej łyżwy. Hartingowa siedzi w sankach, które popycha jakiś mężczyzna).

S C E N A I.

MERY. — WERYCHO — HARTINGOWA. —
LUNIA. — ZIUNIA. — LIPECKI. — ORDEGA. —
CASERTA. — NORA. — LILI. — MOŚCICKI. —
PIWONSKI, później KSIĘŻNA I KSIĘŻ-
NICZKA.

M e r y. Czy będą pasować?

W e r y c h o. Wybornie.

M e r y. Podaj mi pan rękę. Albo czekaj pan, zawołamy Lunię Harting i popłyniemy we trójkę...

W e r y c h o. Chętnie.

M e r y (do Hartingowej starszej, która z siostrą ślizga się opodal). Luniu! będziemy się ślizgać razem.

Lunia. Ach, dobrze...

Zunia. A ja? cóż się ze mną stanie?

Mery. Weź sobie Piwońskiego. Patrz, stoi koło baryery. Że też on wiecznie coś podpierać musi.

Werycho. Niech się panie nie wyśmiewają. To najlepsza partya z całego sezonu.

Mery. Mnie to nic nie obchodzi. Ja jestem w tym sezonie także najlepszą partją.

Lunia. Mama także mówiła, że Piwoński jest najlepszą partją.

Mery. No—dalej Zuniu, poflirtuj z nim trochę.

Zunia. Daj mi spokój! Wolę się ślizgać sama.

Mery. Patrzcie... Oto Mościcki z Norą

Lunia. Ach, moje drogie, patrzcie, jak pani Nora przed nim ucieka.

Nora (dopadając do panien). Czy wolno schronić się do gołębnika?

Mery. Wolno! I tak gołębnik nasz tutaj otwarty na cztery wiatry. Cóż się stało—pani taka zmęczona?

Nora. Nic... nic... która godzina?

Werycho. Wpół do piątej.

Mościcki (dobiegając). Nie może mi pani uciec.

Nora. Przegrałeś pan!

Mościcki. Myli się pani. Założyliśmy się wczoraj o piątej. Mam jeszcze całe półtorej godziny przed sobą.

Nora. Uprzedzam, że ja pozostaję na ślizgawce do późnego wieczora.

Mościcki. I owszem. Mnie to do wygrania zakładu nie przeszkodzi.

Mery. Jakiż to zakład? jaki?

Nora. Przedwczesna ciekawość, moja panno.

Werycho. Patrzcie, księżna... ależ ma wspaniałe sobole.

Mery. To rodzinne. Biedna księżniczka, już szuka wzrokiem pana Piwońskiego.

Nora. Cicho... zmierzają ku nam.

Księżna (nadchodząc). Spóźniłyśmy się! Miałyśmy dwa fixy i Minusia musiała przymierzać swój kostyum, ten... no... jakże...

Nora. Secesyonistyczny.

Księżna. A no tak.. syonistyczny... Czy ja tam wiem! Jakieś czupiradło. Bójcie się Boga, jak wy w tem wyglądać będziecie!

Werycho. Ależ to przerysowane z Jugend—z Młodości... to śliczne, co linij i...

Księżna. Panie kochany — w młodości nosiły się krynoliny a nie jakieś gazowe płachty i było bardzo ładnie. Minusiu, gdzie ty patrzysz?

M e r y. W stronę Ukrainy...

Lili (przybiegając do ojca). Papo! ratuj!...

O r d ę g a. Co się stało?

Lili. Obcas! Obcas!

O r d ę g a. No i co teraz będzie?

Lili. Trzeba posłać Karola do domu. Niech mi panna da inną parę bucików.

O r d ę g a. Ale cóż znowu! Nie ślizgaj się więcej.

Lili. Papo! co ty mówisz. A farandola? z latarkami! Pomyśl tylko.

O r d ę g a. Prawda! farandola z latarkami! Ważna afera!...

Hr. C a s e r t a. Młodość! Młodość!

O r d ę g a. Prawda! My starzy mamy jedną wadę, zapominamy co nas dawniej bawiło. No cicho, już nie piszcz—poślę do domu (przywołuje skinieniem lokaja w bogatej liberyi, który stoi opodal w grupie lokajów i trzyma na ręku zarzutkę Lili — mówi do niego po cichu—„Lili także!“ — Lokaj odchodzi).

O r d ę g a (woła za nim). Daj narzutkę panienki! (bierze okrycie). Lili weź narzutkę... przeziębisz się!

(Lili okrywa się i biegnie do grupy panien, kulejąc na jednej łyżwie).

Lili. Obcas mi odleciał! wiecie, obcas mi odleciał!...

Mery. Chodźmy się ślizgać! Tam przykręca nam łyżwy (łączą się w pary, w trójki i odbiegają).

Lili. A ja?

Werycho. Panią usadзимy tymczasem do sanek i będziemy panią wozić.

Mery (przebiegając koło Piwońskiego). Niech się pan ślizga, panie Piwoński, bo panu nogi przemarzną.

Piwoński. Gadanie, pani dobrodziejko — ja wciąż nogami przytupuję dla rozgrzania.

Mery (do księżniczki). Minusiu! podaj rękę pani Piwońskiemu... i naprzód Ukraina.

Piwoński. Padam pięknie do nóg paniom dobrodziejkom. Ja łyżew nie mam.

Mościcki. Ach—ja mam zawsze parę na zmianę. Może się dadzą zastosować.

Piwoński (mierzy łyżwy). Wątpię panie dobrodzieju, bo u mnie noga jak u podolskiego wołu.

Mery. Wiadomo przecież, że pan Piwoński żyje na dużej stopie.

Piwoński. Ja? co znowu? Jak Boga kocham—skromnie żyję—nie szastam się, bo tego nie lubię.

M o ś c i c k i. Ależ ślicznie, milusio... leżą wybornie. Jak mnie to cieszy. Hej! człowieku! chodźcie tu... przymocujcie łyżwy.

S C E N A II.

Ciż sami. — BONA.

(Głównemi drzwiami wchodzi Bona z dziećmi ubranemi ciepło w białych kamaszkach i z łyżwami na rękach — dzieci biegną do Lipeckiego).

J ó z i o. Bon jour papa!

B o n a. Monsieur Josepf! prener garde!

L i p e c k i (wita się z dziećmi). Jak się macie! A uważajcie, ślizgajcie się ostrożnie. Panno Ewo, proszę na dzieci uważać.

B o n a. Dobrze proszę jaśnie pana.

J ó z i o. Panno! proszę mi łyżwy przypiąć!

B o n a. Parlez français!

L i p e c k i. Józiu mów po francuzku... (Do bony). To dziś dzień francuzki?

B o n a. Tak proszę pana—wczoraj mówiły dzieci po niemiecku.

O r d ę g a. A kiedyż dzieci mówią po polsku?

B o n a. W nocy, proszę pana, jak się przebudzą i to punkt o dwunastej, bo od

dwunastej to już się zmienia język—według tablicy.

L i p e c k i. Trzeba, żeby nabrały akcentu... Czy pani z wami wyjechała z domu?

B o n a. Nie, jaśnie pani wyjechała, może na dwie godziny przed nami.

L i p e c k i. Ale pani tu przyjedzie?

B o n a. Tak Jaśnie pani wzięła łyżwy.

P i w o Ń s k i (zobaczywszy bonę, daje oznaki niecierpliwości i zachwytu).

S ł u ż ą c y. Niech jaśnie pan stoi spokojnie, bo łyżew przymierzyć nie mogę.

P i w o Ń s k i (do Werycha i Mościckiego, którzy stoją przy nim, panny są cokolwiek dalej). Jak Boga kocham, bona przyszła!

W e r y c h o. Kto? Bona? jaka bona?

P i w o Ń s k i Już też nie ta co umarła. O! ta śliczna dziewczyna od Lipeckich!

W e r y c h o. Wstydź się pan! stój pan spokojnie, nie patrz pan na nią, to pana kompromituje.

P i w o Ń s k i. E! co mnie to obchodzi. Cóż to, ja na posag lecę, czy co. Patrz pan jaka dziewczyna...

M o ś c i c k i. Milusia... milusia, ale wobec naszych pań, wobec panny Mery, pani Nory..

P i w o Ń s k i. E! wy nie wiecie co dobre.. Jak Boga kocham, ślizgać się będzie... Ja pójdę się z nią ślizgać.

W e r y c h o. Oszalałeś pan? Z bonami się nikt nie ślizga, tylko dzieci.

P i w o Ń s k i. Gadanie austriackie...

L i p e c k i (do bony). Czy pani z wami wyjechała z łomu?

B o n a. Nie, jaśnie pani wyszła przed nami, może na dwie godziny i kazała mijechać samej z dziećmi.

L i p e c k i. Ale pani na staw przyjedzie?

B o n a. Tak. Jaśnie pani wzięła łyżwy. (Bona zabiera dzieci i odchodzi z niemi w głąb stawu).

M e r y. I cóż tam z temi łyżwami?

W e r y c h o. W tej chwili spróbujemy. Za minutkę.

S C E N A III.

Ciż sami.—JULCIA I CHEŁCZYŃSKI.

(Zbliżają się z głębi stawu. Julcia siada na ławeczce, w głębi Chełczyński odpina łyżwy).

L i l i. Patrzcie, patrzcie... zakochani!

K s i ę ż n a. Minusia chodźmy! chodźmy, nie przeszkadzajmy... (Łączą się w pary, chwytają Piwońskiego).

M e r y. Pan Piwoński z Minusią.

W s z y s c y Tak! tak!

M o ś c i c k i (do Nory). A ja z panią.

N o r a. Uprzedzam pana, że mu za ledwie godzina czasu pozostaje do spełnienia... pańskiej pogroźki.

M o ś c i c k i. Niech się pani nie troszczy. (odbiegają widać jak na ławeczce przypinają im łyżwy).

K s i ę ż n a (do Hartingowej, z którą przed chwilą się przywitała). Nie mogę dojrzeć gdzie moja Miusia.

H a r t i n g o w a. O tam będzie się ślizgać z tym czerwonym panem.

K s i ę ż n a. Z Piwońskim? Ależ ja nie chcę! Ta dziewczyna wpędzi mnie do grobu. Gdybym chciała wydać ją za mąż za Ukraińca, nie wyjeżdżałabym do Lwowa. Muszę lecieć za nimi.

H a r t i n g o w a. Ależ oni na łyżwach. Nie, nie, to na nic. Na ślizgawce matki, to są jak kury, które wysiedziały kurczęta.

K s i ę ż n a. No, ale ja sankami pojedę! Hej! człowieku, sanki!... (Siada do sanek, słuszający popycha i odjeżdża z nią w głąb stawu).

M e r y (która przez ten czas ustawiała się z Lunią Harting). Gdzie Lili?

L u n i a. Zmienia buciki! A... jest nareszcie.

(Lili podjeżdża do nich).

J u l c i a (zbliża się do baryery). Nie będę się więcej ślizgać.

Chełczyński. Pani pozwoli, ale buciki całe zaśniewione.

(Kłęka i otrzepuje buciki).

Mery (śmiejąc się). Bardzo, bardzo malowniczo!

Julcia. O, proszę, niech pan wstanie.

Chełczyński. Za nic na świecie!

Julcia (ogląda się dokoła). Bo może... mój brat...

(Mery zabiera dziewczęta, odbiega wгłęb—siadają na ławce tyłem, potem wstają i nikną po za wzgórzem, na scenie koło baryery pozostają starsi trzej panowie po prawej stronie, po lewej Julcia i Chełczyński, ściemnia się).

Chełczyński. Pani rączki zmarzły. Pani pozwoli, ja rozgrzeję.

Julcia. Panie Antoni—jeszcze kto zobaczy.

Chełczyński. Grzechu chyba niema... jakie zimne rączki.

(Cicho z uczuciem).

Ty moja malutka!

Julcia. Pan wie, Stanio, zdaje się, przychylniej zapatruje się na pana. Wszystko to zrobiła Mery. Tak ładnie do niego zaczęła mówić, wspomniała mu, że jestem sierotą, że nie trzeba mnie martwić... i on złagodniał.

Chełczyński. Ależ naturalnie, przecież on musi rozumieć, że ludzie mogą czuć do siebie sympatyę... że mogą chcieć połączyć się na całe życie.

Julcia. To niech pan do niego tu na łódzie podejdzie. On mnie tak serdecznie ucałował, uśmiechnął się do mnie.

Chełczyński. A widzi pani a widzi pani! wszystko musi być dobrze.

Hr. Caserta (patrząc na Julcię i Chełczyńskiego). Śliczna para! Takie to jest dobrane, takie miłe i takie młode!

Lipecki. To podobno porządny człowiek.

Hr. Caserta. Bardzo.

Ordega. Nie więc nie stoi im na przeszkodzie.

Lipecki. Stanio coś bruzdzi — ale zdaje się, że on przyjdzie do rozumu.

Hr. Caserta. Mówiłem z nim w tej mierze.

Lipecki. Wolałbym jednak, ażeby przedtem Stanio się ożenił.

Ordega. Stanio nie może się ożenić.

Lipecki. Dlaczego? Czy dlatego, że nie ma? Ależ jego szczęście do kobiet, wzięcie się, wystarczy najzupełniej. Wszystkie za nim szaleją. On może pójść w wyborną cenę.

Ordega. Nie o to chodzi. Słyszałem, że on ma jakiś stosunek z mężatką i że w nim ugrzął po prostu.

Lipeccki (żywo). To plotki... nie podobnego niema, ja za to ręczę.

S C E N A I V.

Ciż sami.—POSŁANIEC.

(Posłaniec wchodzi bramą główną i mówi ze służącymi, stojącymi u wejścia).

Posłaniec. To jak ten pan dyrektor wygląda? z dużą brodą?

Służący. Tak, będzie gdzieś na łodzie. A idźcie brzegami, bo środkiem chodzić nie wolno.

(Idzie brzegiem wgląd stawu).

Julcia (do Chełczyńskiego). Ale mama pańska będzie z nami mieszkała?

Chełczyński. Jeśli pani sobie tego życzy.

Julcia. O, tak! pomyśl pan—ja prawie nie znałam mojej matki. Ja byłam dzieckiem, kiedy ona umiała.

(Spostrzega wchodzącego Stania).

Mój brat!

S C E N A V.

Ciż sami.—STANIO.—MICHAŚ.

Stanio (w furtce). Czekał tu na mnie. Skoro się ślizgać zaczę, oddam ci futro.

(Kłania się mężczyznom i przechodzi mimo Julci i Chełczyńskiego).

Julcia (nieśmiało). Dobry wieczór, bracie.

Stanio (ostrym, zmienionym głosem). Dobry wieczór. Co tu robisz sama?

Julcia. Nie jestem sama—jest ze mną pan Chełczyński.

Stanio. Gdzie panna Mery?

Chełczyński. Była z nami przed chwilą. Panna Julia czuła się znużoną, odpoczywała—ja dotrzymywałem jej towarzystwa.

Stanio (z kurtuazją). Bardzo panu jestem wdzięczny za opiekę nad moją siostrą, ale obecnie, skoro jej brat jest przy niej—nie zatrzymujemy pana dłużej.

Chełczyński (zmieszany). Jak to mam rozumieć?

Julcia (szybko). Panie Antoni—pozwól mi pan rozmówić się z bratem.

(Chełczyński odchodzi wgląb).

Julcia (chwytając za rękę Stania). Staniu—dlaczego mi tak dokuczysz? Pamiętasz,

co ci Mery mówiła? Ja jestem sierotą, nade-
mną się pastwić nie trzeba.

Stanio. Właśnie dlatego, że jesteś siero-
tą, trzeba nad tobą czuwać, ażebyś nie po-
pełniła jakiego fałszywego kroku.

Hr. Caserta (zbliża się). Julcia płacze?
Cóż to znowu? Staniu, wstydź się!

Stanio. O, miejcie litość nad mojami
nerwami!

Hr. Caserta. Nerwy to rzecz hydropa-
tyi i bromu. Ty raczej miej litość nad ser-
cem twej siostry.

Stanio. Sentymenta!
(Ordega odszedł wgląb, hr. Caserta pociesza
Julcię, Lipecki zbliża się i bierze pod rękę
Stania).

Lipeccki. Przepraszam cię — na słówko!
Przed chwilą widziałem, że pomiędzy twoją
siostrą a panem Chełczyńskim rzeczy coraz
dalej zachodzą. Wszyscy uważają ich za pa-
rę narzeczonych.

Stanio (zdenerwowany). Uszy mu obe-
tnę!...

Lipeccki. Obetniesz uszy jednemu, znaj-
dzie się drugi konkurent. Nie nie pomoże.
Nie masz czasu do stracenia, oświadczyć się
Mery.

Stanio (krótko). Nie!

Lipeccki (gwałtownie). Musisz!

Stanio. Nie muszę! Ja pieniądze dla pana znajduję.

Lipecki. Jak w karty wygrasz? Oświadczyć się, mówię ci — Mery dziś, jutro — ale nie zwłócz. Kto inny koło niej się zakrzątnie. Korzystaj z tego, że za tobą waryuje. Mówię ci, że... waryuje. Cóż, oświadczysz się?

Stanio. Nie!

S C E N A VI.

Z głębi zaczynają nadciągać: NORA. — MOŚCICKI. — MERY. — LUNIA. — ZIUNIA. — MINUSIA. — WERYCHO. — PIWOŃSKI. — DZIECI. — BONA. — LILI ORDEŻANKA. — Tłum łyżwiarzy i łyżwiarzek.

Mery (w głębi). Chodź pan prędko... Malström już przyjechał.

Wszyscy. Przyjechał, przyjechał!

Mery. A, wreszcie i pan Stanio.

Wszyscy. A, Stanio! a, est parfait! będziemy tańczyć.

Mery (do Stania). Czekaliśmy na pana. Musisz nam pokazać, jak się przytwierdza lampki.

(Do Julci).

Co ci to, płaczesz?

Julcia. Oh, Mery, on znów zrobił impertynencyę Chęłczyńskiemu.

Mery. Dajże pokój, nie płacz, ludzie się na ciebie patrzą.. Ja się z nim rozmówię, tylko łyżwy odepnę.

(Drzwiami głównymi wchodzi para łyżwiarzy, ubranych elegancko, z cudzoziemska i trochę teatralnie).

Wszyscy. To oni, to oni!

(Robią szpaler, łyżwiarze przechodzą, kłaniają się i idą w głąb stawu).

Wszyscy. Patrzmy się na nich.

(Odbiegają w głąb, oprócz hr. Caserty, Li-peckiego, Mery, Julci, Piwońskiego i Bony z dziećmi).

Piwoński (do Bony). To panienka tak, jak Boga kocham, umie na łyżwach? tego?

Bona. A, czemu by nie? To przecież bardzo łatwo. To nie żadna filozofia.

Piwoński. Bo to dziwna, doprawdy—panienka tak niby nie a to i parle françe i sprechen sie deutsch i na łyżwach. Jaby m chciał mieć taką bonę.. jak Boga kocham!

Bona. Także coś... Potem jaby m się na wsi na śmierć zanudziła.

Piwoński. Albo to prawda!

Mery. Panie Piwoński, księżniczka czeka.

Piwoński. A niech ją pokrę... te, przepraszam. Już idę!

(Do Bony po cichu).

Panienka jest najśliczniejszą!

Bona. Także coś!

Mery (do Julci). Idź do panienek, ja tu z nim pomówię.

(Julcia odbiega w głąb. Tymczasem utworzył się z łyżwiarzy i łyżwiarek tłum, zwrócony plecami do publiczności — tak, że ewolucye, które tamci wykonywają, nie są tak widoczne.—Bona zabiera dzieci i idzie z niemi do bufetu).

Bona. Venez—prendre—du the!

Józio. Z rumem! avec—mit rhum—wissen sie.

(Odchodzą, Lipecki idzie z niemi i wchodzi do bufetu).

Mery (do Stania). Pan nie idzie z nami? To Malström, słynny Malström, łyżwiarz szwedzki. Podobno cudownie się ślizga.

Stanio (zimno, nie patrząc na nią). W tej chwili będę pani służył.

Mery. Panie Staniu—co panu jest?

Stanio. Nic—trochę mi zimno.

Mery. Wierzę — chłód aż wieje od pana.

(Po chwili).

Co panu tak zmroziło słowa na ustach i spojrzenia w żrenicach?

Stanio. Mnie? zimno mi tylko w ręce i w nogi.

Mery. Nie o tem mówię. Pana chłód przyprowadził Julcię o łyzy...

St a n i o. Julcia jest kapryśna. Trzeba ją wysłać do wuja hofrata, do Wiednia. Tam ją uspokoją...

M e r y. Zdałoby się jednak, żeby pan jej towarzyszył.

St a n i o. Dlaczego?

M e r y. Pan także by się uspokoił i oderwał od Lwowa. (Po chwili). Ja mam przecucie, że gdyby pan wyjechał ze Lwowa na dłużej — wszystko by inny obrót wzięło.

St a n i o. Nie rozumiem! Jakto wszystko... Co pani chcesz przez to powiedzieć?

M e r y. Widzi pan, tak się na świecie ułożył porządek, że — pannom nie wolno o tem... mówić. I choć ja jestem trochę inna niż te inne, przeciętne panny, ale sama czuję, że są rzeczy tak... ciemne, że o nich delikatność wrodzona nam dziewczętom nie pozwala mówić. Powtarzam panu jednak, że wyjazd pana na czas dłuższy, mógłby zmienić życie pana... och! na jakie inne, na jakie jasne... I Julcia byłaby szczęśliwa i pan spokojny i... wszyscy. Pan rozumie?

St a n i o (po chwili). Nie panno Mery — ja na razie wyjechać ze Lwowa nie mogę.

M e r y. Może pan tylko nie chce... pan widział kiedy więźnia? Zdaje się, że kajdany są tak silnie na jego rękę zamknięte — że wrosły mu w ciało. A taki więzień czę-

sto się kajdanów pozbywa. A bon entendeur salut .

St a n i o (obojętnie). Bawi się pani w zagadki!

Me r y. Nie tylko pomiędzy mną i panem od pół godziny stanął jakiś cień! Strzeż się pan! To cień pańskiego życia.

St a n i o (śmiejąc się). Moje życie tak wesołe, że na niem nie ma cienia.

Me r y. A! może się myłę! (Zmienia ton). Tańczymy razem farandolę.

St a n i o. Pani daruje... ale ja muszę...

Me r y. Tańczyć z Wandą? prawda? Ależ kadryl się niedługo zacznie a Wandy jeszcze niema.

St a n i o (niespokojnie). Niema pani Wandy?

Me r y. Niema! (Śmiejąc się nerwowo). A więc z nią? ha! będzie farandola z cieniem! z cieniem...

(Lampy zapalają się elektryczne — dokoła stawu)

St a n i o (wymijając). Nie może być z cieniem, bo widzi pani jak widno...

Me r y. Strzeż się pan, czasem cień pokryje najjaśniejsze światła... A rivederci... (Odjeżdża na łyżwach w głąb).

St a n i o (sam). Fatalność! Gdzie ona być może?

S C E N A VII.

STANIO. — HR. CASERTA. — POSŁANIEC,
później LIPECKI.

Stanio. Przepraszam cię, hrabio! nie
widziałeś pani Lipeckiej?

Hr. Caserta. Nie widziałem. Ma przy-
jechać—dzieci są, bona jest... A może we-
szła, kiedy byliśmy właśnie z dziećmi w bu-
fecie.

Stanio (nerwowo). Pójdę poszukać!...
(Odchodzi w głąb, pomiędzy tłum, widać
idącego ku przodowi posłańca w tej chwili
Lipecki wychodzi z bufetu i chce iść ku
głębi).

Lipecki. Chodź hrabio! pójdziemy zo-
baczyć tego słynnego Malströma.

Posłaniec (zbliża się do hr. Caserty).
Proszę jaśnie pana, czy to jaśnie pan jest
pan dyrektor Lipecki?

Hr. Caserta. Nie! ale to właśnie pan
dyrektor.

Posłaniec. List dla jaśnie pana!
(Wręcza Lipeckiemu list, który Wanda pi-
sała).

Lipecki. Od kogo?

Posłaniec. Niewiem jaśnie panie, ja-
kiś pan dał mi go na rynku... (Ucieka).

L i p e c k i (podchodząc do latarni). Nieznane jakieś pismo. Przeczytam później.

Hr. C a s e r t a. A jeśli to co pilnego?

L i p e c k i. Masz pan rację. Na mojem stanowisku powinno się wszystkie listy zaraz czytać (ogląda list). To jest pismo zmienne, prawda?

Hr. C a s e r t a. Tak! najwidoczniej. To pewnie jakiś anonim. (Szybko). Nie czytaj pan...

L i p e c k i. Dlaczego? Ja anonimom nigdy nie wierzę. A potem—kto wie—może to jaka wskazówka kasowa. (Otwiera). Nie widzę dobrze!

Hr. C a s e r t a. Chodźmy do bufetu.

L i p e c k i. Nie warto. Patrz pan, za ledwie parę słów... (Rzuca kopertę na ziemię i zbliża się do latarni). Panie... żona pana od lat... dwóch... (Urywa, czyta po cichu i zagryza usta, marszczy czoło i chwilę stoi nieruchomo).

Hr. C a s e r t a. I cóż? czy co nieprzyjemnego?

L i p e c k i (siłąc się na spokój). O! nie!... głupia plotka... nie więcej.

Hr. C a s e r t a. Wystarczy czasem jednej takiej głupiej plotki, by zniszczyć życie i stanowisko całej rodziny.

L i p e c k i (wyniośle). Mego życia i sta

nowiska nie zniszczyć nie jest w stanie. Chyba jedna śmierć.

Hr. C a s e r t a. Czy nie za wielką wagę przywiązujesz pan do tego stanowiska?

L i p e c k i. Panie kochany — każdy swe życie pojmuję według pewnego kąta widzenia. Mój kąt jest żyć jako człowiek poważny, urzędnik sumienny, dzieci wychowywać według swoich przekonań. Reszta mnie nie obchodzi!.. (Po chwili). O jedno cię prosić będę hrabio. Nie mów nikomu o tem, że mi wręczono ten anonim. (Bierze zapalną, pali list). Spłonęło!... feu!... dym nawet nie pozostał! Gdyby ten a raczej ta, bo zdaje mi się, że to była kobieta, która pisała ten anonim, wiedziała, jak wielki efekt jej list wywarł na mnie i na moje życie! (Śmieje się ale trochę nerwowo). Chodźmy hrabio do bufetu, weźmiemy dzieci i odeślemy je do domu. Nie rozumiem dlaczego Wandy nie ma do tej chwili. (Odchodzą do bufetu).

SCENA VIII.

WANDA.—Thum w głębi.—WERYCHO.

(Scena przez chwilę pusta. Orkiestra gra L'Altalenę. Wanda wchodzi szybko—ma rotundę zsuniętą z ramion, jest blada jak trup, drży cała. Wszedłszy, opiera się o słup i po-

zostaje tak nieruchoma. Werycho przybiega szybko z głębi i biegnie ku grupie lokai).

W e r y c h o. Który z was jest służącym pani Hartingowej?

J e d e n z l o k a i. Ja proszę jaśnie pana!

W e r y c h o. Dajcie mi kolety panienek!

J e d e n z l o k a i. Ja zaniosę proszę jaśnie pana!

W e r y c h o. Niepotrzeba! ja sam zaniosę (Bierze kolety i przebiegając koło Wandę zatrzymuje się).

W e r y c h o. Kto to? Pani Lipecka?

W a n d a (podnosi głowę, patrzy na niego, ale nie odpowiada).

W e r y c h o. Co pani jest? Czy pani chora? Pani taka blada! Gdzież jest mąż pani? ja go poszukam.

W a n d a (z trwogą. Nie szukaj pan.

W e r y c h o. To może pani rozkaże przysłać kogoś ze znajomych.

W a n d a. Tak... tak... poszukaj mi pan hrabiego Caserty... poproś, niech do mnie przyjdzie.

W e r y c h o. Natychmiast! widziałem jak szedł w stronę bufetu... może tam jest jeszcze...

W a n d a (z wysiłkiem). Tylko... sam hrabia... bez mego męża?...

W e r y c h o. Tak... tak!... niech pani się tylko uspokoi.

(Odbiega od bufetu).

W a n d a (poprawia rotundę, nerwowo gryzie chustkę do nosa i patrzy w stronę bufetu, po chwili wychodzi z bufetu hr. Caserta i Werycho, który wskazuje na Wandę hr. Casercie i odchodzi w głąb).

Hr. C a s e r t a (podchodzi do Wandy. Pani Wando! co to znaczy?

W a n d a (jak w obłądzie). Powiedz mi pan... czy widziałeś się z moim mężem.

Hr. C a s e r t a. Tak, staliśmy prawie ciągle razem — oczekując na panią, dzieci przybyły—pani nie mogliśmy się doczekać.

W a n d a Gdzie on?

Hr. C a s e r t a. Mąż pani? W bufecie z dziećmi.

W a n d a. Panie... czy tu był posłaniec?

Hr. C a s e r t a (po chwili). Posłaniec? Nie wiem!

W a n d a. Powiedz mi pan całą prawdę!... Ja panu wszystko powiem, ja panu wytłómaczę. Ale ja muszę wiedzieć, czy tu był posłaniec, czy mój mąż dostał list.. czy go otworzył.. czy go czytał.. i po przeczytaniu co... co... powiedział.

Hr. C a s e r t a. Na to pani odpowiedzieć nie mogę. Ale pozwól mi, że ja nawzajem, jaknajogólniej powiem ci słowa prawdy...

Przedewszystkiem gdybyś wiedziała jak wyglądasz...

W a n d a. To nic... to nic.. biegłam szybko... nie mogłam dostać nigdzie sanek. Byłam trochę daleko... stacyi nie było w pobliżu a na stacyi, jakby się zmówili, ani jednej dorożki... Przemokłam... przeziebłam... rotunda ciężka, ale ja tu być musiałam, chciałam zapobiedz i niewiem teraz znów nic... niewiem.. a dowiedzieć się boję.

Hr. C a s e r t a (biorąc ją za rękę). Czy nie szkoda tak niszczyć swej urody. Oczy pani od łez nabrzmiały..

W a n d a (tłumiąc łkanie). Ja całą drogę płakałam, łzy mi marzły na twarzy (nagle). Hrabio, błagam cię... pójdz tam do kasyera, dowiedz się, czy jaki posłaniec tu był, zapytaj się służby... ja nie śmiem. Zresztą drzę cała—nie mogę kroku postąpić.

Hr. C a s e r t a. Chodź pani tu, bliżej — pod tę latarnię. A teraz spojrzysz mi w oczy. Czy pani właściwie chcesz? Czy idzie ci o to, aby twój mąż tego listu nie dostał?

W a n d a. Tak! tak! pół życia bym dała, żeby ten list się do jego rąk nie dostał.

Hr. C a s e r t a (nagle). Spójrz mi pani w oczy. To pani ten list napisałaś?

W a n d a. Tak, ja!

Hr. C a s e r t a. Nie wiem co było w tym

liście... ale pierwsze słowa, któremi ten list się zaczyna...

Wanda. Więc mój mąż ten list dostał?

Hr. Caserta. Tak, przed chwilą.

Wanda. Jestem zgubiona!

Hr. Caserta. Po co pisałaś ten list a raczej anonim? Co pani napisałaś — powiedz? Ja ci dopomogę. Tam było: „żona pańska od lat dwóch“ a ja dodam dalej, tylko proszę, nie miej do mnie urazy, od lat dwóch jest... w ścisłej przyjaźni... Czy wymieniałaś nazwisko?

Wanda. Poco? ażeby go zabił?

Hr. Caserta. A sama nie bałaś się śmierci, pisząc to oskarżenie?

Wanda. O, ja, to co innego!

Hr. Caserta (po chwili). O, dziwne istoty! Sfinksy niezrozumiałe! Po co napisałaś ten list? w jakim celu?

Wanda. Chciałam się zgubić, ale chciałam zarazem uwolnić się od pęt, od męczarni...

Hr. Caserta. I żyć z nim... z tamtym... Szaleństwo! Pani zna akrobatę Feuilleta?

Wanda (po chwili, patrząc w oczy hr. Caserty). Ja go, hrabio, dziś przed godziną poznałam! (z nagłym wybuchem). Bo pan się myli co do mych uczuć w tej chwili. Pan myśli, że ja dlatego chciałabym cofnąć

ten... anonim, ażeby wszystko wróciło do dawnego porządku?

Hr. Caserta. Tak, bo pani dowiedziałaś się, albo zmiarkowałaś, że Stanio jeszcze prędzej panią opuści, skoro pozostaniesz sama, bez męża, bez domu, bez opieki.

Wanda. Pan znasz mężczyzn, panie hrabio.

Hr. Caserta. Jestem sam mężczyzną, łaskawa pani. Ale wracam do rzeczy. Czy nie mam racyi. Pani to w nim przeczułaś wszak prawda?

Wanda. On mi to najbrutalniej w oczy powiedział. Ale ja, o panie, ja mam dawny charakter—mnie można poniewierać do pewnego punktu tylko. Można deptać po mnie, po mojej dumie, po mojej ambicyi... ale nagle przyszło na mnie opamiętanie—i pan wie kiedy? Oto wtedy, gdy wlokłam się dziś po ulicy, po błocie, szukając jak szalona dorożki, aby pośłańca powstrzymać, aby zapobiedz nieszczęściu. Łzy mi marzły na twarzy, ja konałam po prostu i powtarzałam sobie: „Boże, żeby tylko dorożkę znaleźć!“ I nagle—zatrzymałam się. Już iść dalej nie mogłam, rzuciłam łyżwy—oparłam się o mur jakiejś kamienicy i nagle—pan wie—nagle przyszła na mnie taka reakcja. Za co? dlaczego? Co zrobiłam, ażeby ten człowiek mną tak szarpał, tak mnie udrećzał. Co on

mi daje w zamian od dwóch lat, co? Łzy, łzy i łzy! I zaczęłam wołać: „nie chcę, nie chcę!“ I znowu zaczęłam biegnąć, szukać dorożki, aby powstrzymać posłańca, ale dla innej przyczyny, nie dlatego, ażeby... tamtego zatrzymać przy sobie... ale żeby dla tego egoisty nie niszczyć swego życia — spokoju mej rodziny, mego... męża! (nagle). Pan wie, ja tak znienawidziłam tego... tego Stania, że nawet mój mąż wydaje mi się mniej nienawistnym, niż ta zimna lalka, która mi serce po prostu wyżarła swemi stalowemi oczyma.

Hr. Caserta. Więc pani go nie kochasz?

Wanda. Nienawidzę!

Hr. Caserta. Mogłbym pani powiedzieć, że go nienawidzisz dlatego, że jesteś w tej chwili zmęczona, zablocona, zimno ci i prze-czuwasz przed sobą nieszczęście. Ale... jutro, dziś nawet, gdy będziesz u siebie w domu, gdy będzie ci ciepło, zaciszno, spokojnie... nerwy twoje znów obecności tych stalowych oczu zapragną.

Wanda. Nigdy! wszystko mi w oczach stało, co przez te dwa lata wycierpiałam, ale pan się myli — ja już do domu nie wrócę, nie mogę!

Hr. Caserta (biorąc ją za rękę). Wróci pani — i dziś będziemy mieli sposobność podziwiać panią w secesyjnym tańcu. Będzie

pani robić honory domu, będziemy się bawić wszyscy, tak jak dawniej.

Wanda. Zapomina pan o tem, że mój mąż list przeczytał.

Hr. Caserta. I cóż ztąd? Mąż pani list przeczytał, spalił go a teraz siedzi w bufecie z dziećmi i pije poncz, który jest ohydny!...

Wanda. Więc on... temu anonimowi nie uwierzył?

Hr. Caserta. Uwierzył czy nie uwierzył—to już rzecz jego.

Wanda. Więc pan sądzi, że on... wiedząc... mógłby...

Hr. Caserta. Moja droga pani, ludzie w rozmaity sposób życie pojmują... Otóż i on. Nie rób pani najmniejszej aluzji do tego anonimu. Obetrzyj oczy — patrz mu prosto w twarz. Pamiętaj, od tej chwili wszystko zawisło.

SCENA IX.

WANDA.—LIPECKI.—HR. CASERTA.

BONA.—DZIECI.

Lipecki (do bony). Proszę pookrywać dzieci i jechać do domu.

Hr. Caserta. Dyrektorze, oto twoja żona!...

(Do Wandy).

Podnieś pani głowę.

Lipecki (podchodzi do Wandy, nie patrząc jej w oczy). Witam cię, moja droga. Dlaczego tak późno? Pewno konferencya z krawcową? Te kobiety są szalone... całe życie przepędzają u swoich krawcowych... Odsyłam dzieci do domu. Zimno. Ty prawdopodobnie chciałabyś brać udział w owej farandoli. Mówią o niej tylko na lodzie. Spiesz się jednak z powrotem. Jeszcze trzeba dać ostatnie coup d'oeil na urządzenie do kolacyi. Bo wiesz, hrabio, kazaliśmy nakryć dziś w halli par petites tables... To pomysł Stania.

(Zbliża się do Wandy, która stoi bez ruchu i patrzy wciąż na niego).

Jesteś trochę blada... może wejdiesz do bufetu—rozgrzejesz się?

Wanda. Dziękuję!

Lipecki. Hrabiaby ci towarzyszył, boja muszę pójść zobaczyć się z Ordegą. Ale proszę cię—posadź dziś Stania przy kolacyi przy stolicku Mery i dodaj im kogoś nie znaczącego do towarzystwa. Powinnaś mi dopomódz... proszę cię, dopomóż mi, ażeby Stanio oświadczył się dziś Mery. Mnie o to bardzo chodzi... bardzo chodzi. Mam nadzie-

ję, żeś mnie zrozumiała. Ja użyję swego wpływu na Mery — ty masz pewien wpływ na Stania. Użyj go. Ja ci nawet Stania przyślę—porozumiej się z nim w tym względzie. A ty, hrabio, dopomóż jej także.

(Odchodzi w głąb pomiędzy tłum, który przez tę scenę powinien się zachować cicho i prawie nieruchomo, stojąc ciągle plecami do publiczności, jak najdalej w głębi—zajęty popisami Malströma).

Hr. Caserta. A co, nie mówiłem?

Wanda. Ależ to niemożliwe, on tego listu nie dostał.

Hr. Zaręczam, że dostał, zresztą, oto koperta.

Wanda. Jezus Marya!

Hr. Caserta. Co się stało?

Wanda. Niech pan patrzy, ja ten list pisałam u Stania i wzięłam kopertę z jego monogramem.

Hr. Caserta. No więc cóż?

Wanda. A więc mój mąż wie kto.

Hr. Caserta. Nie.

Wanda. A więc i ten podły!

Hr. Caserta. Nie, mąż pani jest tylko rozumny, on umie żyć, kocha swoje stanowisko i unika skandalu.

Wanda. Szaleństwo mi się chwyta!

Hr. Caserta (idzie, bierze za rękę dzieci i prowadzi do Wandy). Banalny się pani

w tej chwili wydam—ale spójrz pani! Tych dwoje—to ani podłe, ani rozumne. To takie nic. A w takiej nicości pani znajdzie może trochę uspokojenia.

Wanda (machinalnie, biorąc dziewczynkę za rękę). Tak, tak...

Józio. Ja pójdę za papą!

Wanda (gorzko). Tak, ty idź za papą, ty idź za papą! ty i tak pójdiesz za swoim papą...

(Józio biegnie w głąb, z nim bona. Kocia zostaje przy matce).

SCENA X.

WANDA.—Hr. CASERTA.—STANIO.

Wanda (dostrzegając Stania). Hrabio, przyprowadź mi tego pana, z którym mój mąż kazał mi się rozmówić.

Hr. Caserta. Lepiej pani z nim nie mów! Odejdź pani do domu, jesteś tak szalenie rozdrażniona.

Wanda (w najwyższem zdenerwowaniu, siląc się na chłód). Daruj hrabio — muszę się zabawić w swaty. Pańie Staniu, zechciej pan podejść do nas.

(Hrabia się usuwa).

Stanio (zbliżając się ku niej i cicho przez

zęby). Co znów zrobiłaś nowego? jakie szaleństwo? Po tobie wszystkiego się można spodziewać.

Wanda (przez chwilę patrzy się na niego z ironią i wściekłością). Chciałbyś się ożenić?

Stanio. Proszę cię—*treves de plaisanteries*! Pytam się ciebie, co zrobiłaś? jakie szaleństwo?

Wanda. A ja pytam się ciebie, czy chcesz się ożenić? Jeśli tak—to się żeń. Cóż patrzysz na mnie takimi oczyma? Dziwi cię to, że nie szlocham, że nie błagam „nie żeń się, nie żeń się!” Ale wszystko się wyczerpie, nawet łzy... nawet szlochy, nawet psie przywiązanie (twardo) nawet taka jak moja miłość! I cóż? milczysz? Irytuje cię to, że nie będziesz miał komu pozwolić się kochać w tobie?

Stanio. Słucham i myślę, co nowego ukrywa się pod twojemi słowami? Wycho-
dząc...

Wanda. Kzuciłam ci się na szyję... wiem. Ale od tej chwili minęła cała godzina — ja się wlokłam po błocie — w ciemnicy i obliczyłam wszystko, całą sumę szczęścia, jaką mi dać raczyłeś... obrachunek był krótki... szczęścia było niewiele. A egoizmu z twej strony—a chłodu—a poniewierki... a... Wiesz, czasem na kobiety przychodzą takie

opamiętania... (Po chwili). Żeń się, mówię ci, żeń się! ja ci nawet sama żonę wynajdę...

(Tłum powoli zaczyna się zbliżać).

Hr. C a s e r t a. Malström skończył swe popisy!...

W a n d a. Teraz pan Stanio rozpocznie swoje! Już akrobata skończył swe karkołomne popisy, teraz miejscowy, lwowski, rozpocznie swoje ewolucye. Więc jakże z tą żoną? A! Mery! Mery! prosze cię na słówko!

S C E N A XI.

WANDA.—CASERTA. — MERY. — PIWOŃSKI.—KSIEŻNA.—KSIEŻNICZKA.—NORA.—MOŚCICKI — WERYCHO.—ORDEGA.—RZEPECKI — LILI.—HARTINGOWA.—ZIUNIA.—LUNIA. — BONA. — STANIO. — JULCIA. — CHEŁCZYŃSKI.

(Malström udał się pomiędzy łoża, gdzie jest osobne wyjście).

W a n d a. Mery!

M e r y (niechętnie). Słucham cię.

W a n d a (bierze ją za rękę).

N o r a. Ach i tutaj jest ślisko. (Do Mościckiego). Już tylko ma pan pięć minut czasu!

M o ś c i c k i. Korzystam z nich! (Zakrę-

ca tak Norą, że ta pada). Wygrałem! wygrałem!

N o r a. Voila des manières!

M o ś c i c k i. Ale pani przezemnie upadła! w oczach całego świata!

N o r a. A! tak?

M o ś c i c k i. A pała jak myślała?

N o r a. Rien... rien!...

W s z y s c y (śmieją się).

W a n d a (ironicznie). C'est charmant. dowcipnie i w dobrym guście.

W s z y s c y. Pani Wanda, pani dyrektorka! pani Lipecka!

(Witają się z Wandą).

W e r y c h o. Szyk! możemy zacząć farandolę!

M e r y. Ja tańczę z panem!

K s i ę ż n a (do księżniczki). Nie waż się tańczyć z Piwońskim.

P i w o Ń s k i (do Werycho). Ja wezmę bonę do bufetu i kupię jej ponczu.

W e r y c h o. Co pan masz za pomysły!

P i w o Ń s k i. Ja i dzieciom kupię ponczu i panu... Jak Boga kocham, ona mi się coraz więcej podoba.

M e r y. Chodźmy przyczepić lampki—tam czekają na nas...

W a n d a. Mery! przepraszam cię moja droga! Proszę cię na słówko

M e r y (do siebie). Czego ta znów chce odemnie.

W a n d a. Miałam prowadzić farandolę, ale czuję się zmęczona... chcę odjechać do domu, muszę się zająć przygotowaniem do kolacyi—wyreżcz mnie.

(Wanda bierze Mery za rękę, prowadzi do Stania).

Oto moja następczyni. (Z nerwowym śmiechem) i zastępczyni. To już zupełnie od was obojga zależy. No, dalej! oto ręka Mery, ja panu ją sama ofiaruję do farandoli, tymczasem. Za taką rękę się chwyta bez wachania. Patrz pan, ile tu bransoletek. (Do Lipeckiego). Każ proszę zajechać. A my zabieramy dzieci i pojedziemy do domu. (Z ironią). Jak bardzo przykładne małżeństwo. (Do obecnych, niektórych żegnając). Do widzenia! najdalej za trzy godziny... Au revoir! A bien tôt... A bien tôt.. (Do hrabiego). Po dziwiasz mnie pan? co? Niczem hrabina Sara Ohneta!

(Wanda wychodzi szybko z dziećmi i boną).

L i p e c k i (przechodząc koło Stania). Skorzystaj ze sposobności... oświadczyć się, powiedz sobie... tak być musi...

(Lipecki wychodzi za żoną).

S C E N A XII.

Ciż, bez Lipeckiego dzieci i Bony.

W e e r y c h o. Dalej, dalej, po lamp.
Proszę za mną.

N o r a (do Mościckiego). Wygrałeś pan zakład! Upadłam przez pana... potłukłam się.

M o ś c i c k i. Ślicznie, milusio.. a jak mi cię... to jest jak mi żal, ja przeprósze!

M i n u s i a (do Mery). Zrób tak, żeby pan Piwoński nie tańczył ze mną farandolę.

M e r y (uszcześliwiona). Moja droga, daj tu mi spokój teraz z Piwońskim.

M i n u s i a. Patrz! Mama się już w nos drapie, nie pozwoli mi z nim tańczyć!

M e r y. To tańcz z kim innym.

H a r t i n g o w a (do Piwońskiego). Pan odchodzi?

P i w o ń s k i. A co ja tu dłużej będę robił. Niema dla mnie już teraz żadnego interesu.

H a r t i n g o w a. Takie ładne panienki, panie... taka śliczna iluminacja.

P i w o ń s k i. E... to nie pri mene pisanie! (odchodzi).

W e r y c h o. Czy idziemy po te lampiony?

W s z y s c y (odbiegają w głąb. Pozosta-

ją Mery i Stanio, w głębi Julcia, dalej Chełczyński, koło baryery Caserta).

Hr. C a s e r t a (zbliża się do Stania). Korzystać możesz z tej chwili, dowierzać trwałości postanowienia Wandy nie radzę. Takie panie Wandy robią wrażenie kameleonów, nigdy nie można stale oznaczać ich barwy. Korzystaj jednak z chwili, jeśli ci to koniecznie potrzebne.

S t a n i o. Nie rozumiem cię hrabio!

Hr. C a s e r t a. Rozumiesz doskonale — a teraz ci jedną dam jeszcze radę. Jeżeli będziesz znów tracił swobodę to już przynajmniej z jakąś rekompensatą i pewnym pożytkiem. Voila (odchodzi w głąb).

(Orkiestra gra L'Altalenę).

M e r y. Pan słyszy co grają? pan słyszy?

S t a n i o. Słyszę, to L'Altalena... pani ulubiona wenecka piosenka.

M e r y. Pan był w Wenecyi?

S t a n i o. Byłem... ale źle widziałem Wenecję. Tam trzeba być we dwoje... Wtedy cały czar, cały urok się rozumie...

M e r y. Tak? (Po chwili). Jak się tu jasno zrobiło? Cień znikł.

S t a n i o. Znikł... (zbliża się). Ma pani jeszcze w swojej mufce fiołki?

M e r y (z trochę przymuszonym uśmiechem). Pan głodny?

S t a n i o. Kwiatów, które pani ręce do-

tykały... jestem zawsze głodny, zdaje mi się, iż mógłbym się niemi żywić całe moje życie.

M e r y. Jak można przyrzekać coś na całe życie.

S t a n i o. A jednak przed ołtarzem przyrzeka się, e.. co mówię, przysięga się...

M e r y (patrząc na Stania z pod przymkniętych powiek). I dotrzymuje się tej przysięgi?

S t a n i o (cicho i namiętnie). Takim, jak pani kobietom—zawsze!

M e r y. Dlaczego takim jak ja kobietom?

S t a n i o. Bo pani jesteś stworzoną do miłości... do wiecznej miłości...

M e r y. Masz pan dziwny sposób wymawiania tego słowa... To po prostu odurza... upaja!

S t a n i o. Nie opieraj się pani wrażeniom... to najlepsze, co z życia zaczerpnąć można. Wszak to nam wolno?

M e r y (ze znaczeniem). Prawda! nam teraz dużo wolno!

S t a n i o. A wolno prosić o fiołki?

M e r y. Wolno!

(Podaje Stanowi wyjęte z mufki fiołki).

S t a n i o. A wolno razem z fiołkami prosić i o...

M e r y. (szybko) To za prędko... Czekał pan. Julciu!...

Julcia (zbliża się).

Mery (bierze ją wpół). Patrz pan na te biedne, zapłakane oczy... Ona może tańczyć farandolę z panem Chełczyńskim? Ja proszę! Niech wszyscy dziś będą szczęśliwi.

Stanio. I owszem... niech tańczy.

Julcia. Dziękuję ci... braciszku! (Biegnie w głąb).

Stanio. Z pani prawdziwa czarodziejka. Twarzyczka mojej siostrzyczki rozjaśniła się w jednej chwili.

Mery. Gdybym mogła być taką czarodziejką... zmieniłabym nie jedno na lepsze. I panu w takim razie lepiej byłoby na świecie!

Stanio. Zmień pani moje życie. Ja niczego więcej nie pragnę!

Mery. Przekonać się muszę, czy tak jest w istocie.

(Z po za łóż zaczynają się ukazywać rzeregi farandoli, tancerzy z lampkami ponsowymi i zielonemi na głowach — orkiestra gra L'Altalenę).

Mery (po chwili). Ach! L'Altalena — znów Wenecya!

Stanio. We dwoje!

Mery. Tak! Dlaczego mi w tej chwili przeszło:

Nabijaną światłem drogą
Zwolna, zwolna łódź ma płynie...

S t a n i o (wskazuje na farandolę). Może dlatego, że te światła...

M e r y. Tak! tak! dlatego, że te światła takie sztuczne, takie fałszywe... inne niż tamte, któremi łódź tamtych płynęła, fałszywe jak moje życie... pana życie.. Pst! zostań pan.. nie łączmy się z niemi, zostańmy tu we dwoje... ten fałszywy wąż światel i tak nas odnajdzie. Już idzie ku nam, po mnie... po pana, oh! po co? (zamyka oczy, i stoi oparta o baryerę, obok niej Stanio).

Zasłona spada.

AKT CZWARTY.

Scena przedstawia halę w domu Lipeckich. Po obu stronach oszklone drzwi. Pod ścianami kłoby kwiatów, oświetlonych elektrycznie. W głębi ciemno-czerwona firanka. Na scenie stoliki nakryte do kolacyi. Przy nich całe towarzystwo kończy kolację. Kamerdyner kieruje usługą, lokaje roznoszą owoce. Orkiestra niewidzialna gra walca, wesołość, zamieszanie. Na froncie po lewej stronie siedzi Wanda, Werycho i Nora po prawej. Mery, Stanio i hr. Caserta, dalej Julcia, Piwnicki, Chełczyński—czwarty stolik Lili, Mościcki, Lunia, Harting—piąty Ordega, Ziunia i jedna z pań, szósty Księżna, Lipecki i poważny pan—siódmy Hartingowa, dama w średnim wieku i młody pan — ósmy księżniczka Minusia, młoda panna i młody pan — przy dwu ostatnich kilka osób. Wszystkie panie w strojnych wieczorowych toaletach. Pano-
wie we frakach.

S C E N A I.

WANDA.--WERYCHO — NORA.—MERY.—
STANIO.—Hr. CASERTA.—JULCIA. — PI-
WOŃSKI.—CHEŁCZYŃSKI.—LILI.—MOŚCI-
CKI.—LUNIA.—ORDEGA.—ZIUNIA.—KSIE-
ŻNA.—LIPECKI.—HARTINGOWA.—KSIEŻ-
NICZKA.—GOŚCIE.—LOKAJE.—KAMERDY-
NER.—BONA między gośćmi.

Nora. Przepyszna myśl te małe stoliczki. Dlaczego są tak mało w użyciu. Skoro się zdecyduję na powtórne małżeństwo, muszę u siebie ten system wprowadzić.

Wanda. To inwencja Stania.

Werycho. Gdzie on? opuścił nas — dlaczego?

Nora. Siedzi tam przy stoliku Mery.

Wanda (żywo). Proszę, nie zwracajmy na nich uwagi.

(Pije).

Nora. Podziwiam cię.

Wanda. Z powodu?

Nora. Pijesz piąty czy szósty kieliszek. Mnie dwa w głowie przewrócę.

Wanda. Zimno mi.

Werycho. Jesteś pani jeszcze bledszą niż zazwyczaj—jesteś pani prawie alabastrowo błądą.

Wanda. Niby posąg rozpaczy, żalu... co?

Werycho. Tego zgadnąć nie mogę. Wyczytać można te uczucia z głębi źrenic a pani uparcie dziś wzrokiem błędzisz w przestrzeni.

Wanda. Myli się pan, patrzę prosto pannę w oczy.

Mościcki (przybiega). Czy mogę na chwilę lekczkę usiąść, czy mogę?

Nora. Ciesz się pan wygraną i nie kompromituj mię dalej.

Mościcki. Ja? wielkie nieba... czy to kompromitacya?

Hr. Caserta. Więc mi nie wierzysz — Mery?

Mery. Nie wierzę.

Hr. Caserta. A jednak tak jest—za nic na świecie nie chciałbym być młodym.

Stanio. Ja hrabiemu wierzę.

Hr. Caserta. A co? a co? czy wiesz, dlaczego on mi wierzy, bo sam ze swej młodości nie zaczerpnąć nie potrafił.

Mery. To jego winą, zresztą, to jest do naprawienia.

Hr. Casera. Wskaż mu drogę.

Minusia (gł. z uśm.). No! nie będę więcej pisała... niech pan nie nalega i tak widzę wszystko podwójnie.

Księżna. Boże, co ta Minusia tam wyprawia.

Lipecki. Niech pani się tem nie irytuje. Młodziutkie to jeszcze, cieszy się życiem. Przytem zdrowa, wesoła... miasto na nią jeszcze nie oddziało.

Księżna. Upominałam ją, kiedyśmy z domu wyjeżdżały. Gdzie jest ten pan Piwnicki? Czy czasem nie przy jej stoliku?

Lipecki. Ależ nie! o, tam siedzi razem z Julcią... słyszy pani jego głos?

Piwoński (trochę trącony). Jak Boga kocham... powiadam państwu, że cały Lwów do chrzanu. Aż mnie rozpiera, żeby się na wieś wydostać. Nie wierzy pani dobrodziejka? Niech pani tylko do nas przyjedzie?

Julcia. Ależ wierzę panu.

(Do Chełczyńskiego).

Czy mówił pan z moim bratem?

Chełczyński. Przywitał się ze mną nadzwyczaj serdecznie.

Wanda. (tuląc Kocię). Poszłaby panienka spać. To już czas.

Kocia. Mamusiu!

Wanda. Mery!

Mery. Wołasz mnie, Wando?

Wanda. Każ się pospieszyć służbie... trzeba nam iść się ubierać. Każ przyjść bonie—Kocię niech zabierze z salonu.

(Mery odchodzi do kamerdynera).‡

Hr. Caserta (do Stania). Oprzytomnij,

wyglądasz, jakby ci dachówka spadła na głowę.

Stanio. Spaść jeszcze nie spadła, ale lękam się, ażeby naprawdę nie spadła... Powiedz mi hrabio... Co robi pani Lipecka, jak wygląda... czy patrzy w tę stronę?

Hr. Caserta. Nie zwraca nawet na nas uwagi.

Stanio. To dziwne!

Hr. Caserta. Dlaczego? Werycho jest przy jej stoliku... Uważałem dawno, że miał ochotę poflirtować z nią trochę. Tylko, że ona mu nie odpowiadała.

Stanio. A teraz?

Hr. Caserta. Teraz? zbyt jesteś ciekawy.

Wanda (do Koci). Zkąd masz ten chryzantem?

Kocia. Dał mi go pan Stanio.

Wanda. Rzuć ten kwiatek!

Kocia. Mamusiu, taki ładny!...

Wanda. Rzuć, mówię. Zresztą idź spać!

Werycho. Wstawiamy się za Kocią... niech się przypatrzy próbie naszego tańca.

Nora. Gdzie się będziemy ubierać?

Wanda. W salonie. Muszę zobaczyć, czy panna Marcela wszystko przygotowała.

(Ołchodzi, niknie za firanką — przechodząc, zatrzymuje się przy stolikach, rozmawiając).

Nora (do Werychy). Powiedz mi pan, co tu się dzieje? Wanda wygląda jak cień!... Mery promienieje. Stanio koło Mery, do Wandy się nie zbliża. Czy to... zerwanie?

W e r y c h o. Tak wygląda.

(Zaciera ręce).

Nora. Z czego się pan cieszy?

Werycho. Gdzie dwoje się kłóci, tam trzeci korzysta.

Nora. Vous ne doutez de rien!

Mościcki (przybiega). Ani ja!

Nora. Pan znów tutaj? Jak się pana pozbędę?

Mościcki (z uśmiechem). Zostając moją żoną.

(Śmiech ogólny).

Nora. Ach—non 'ac c'est trop fort.

Ordega (podehmielony). Co? co się stało, z czego się śmiejesz?

Zunia. Pan Mościcki uciekł i tam państwa bawi.

Nora. Choźcie do nas, pomieścimy się wszyscy.

Zunia. Tak, tak, chodźmy.

(Przenoszą się do Nory).

Lili (śmieje się). O, mój papa idzie flirtować z panią Norą. To niebezpieczne. Nie chcę mieć macochy. Biegnę go pilnować.

Zunia. Ja z tobą!

(Przysiada do Nory).

Mery (wraca do Stania). Nie wiem, jak będziemy dziś próbować taniec? Wszystkie jesteśmy ślizgawką tak zmęczone..

Hr. Caserta. Musicie spróbować! Wszak tańczycie go na balu po trzy dni.

Mery. Tak i gdyby to nie na balu prasy, ja pierwsza odmówiłabym stanowczo. To bardzo trudne. Prawda, Julciu?

Julcia. Co takiego?

Mery. Gawot.

Stanio. Ułożyłem go jaknajłatwiej. Zresztą, ja będę znaki dawać.

Wanda (wraca — przechodzi koło Stania, prowadząc Kocię). Kociu, oddaj panu jego kwiat.

Stanio. Ależ ona mnie tak o niego prosiła...

Wanda (bierze ją za rękę i wyciąga ją z kwiatem). Pan czytałeś Bodailera? Są kwiaty złego... fleurs dumał... rączki dzieci są za czyste, ażeby te kwiaty w nich wędły!

Stanio. Niech Kocia kwiat ten na ziemię rzuci.

Wanda. Kociu, oddaj cioci Mery ten kwiat, dla niej on stosowny.

Mery (wyzywająco). W rękach moich odżyje i z kwiatu złego zmieni się w kwiat dobra i piękna.

Wanda (ironicznie). Wątpię... wyrósł na bagnie.

Mery (wyzywająco). Tak, rósł na tem bagnie całe dwa lata. Dziś ja go przyjmuję i tchnieniem go swem ożywię.

(Bierze chryzantem i przypina sobie do piersi).

Wanda. Strzeż się... czasem takie kwiaty bywają zatrute.

(Odchodzi z Kocią do Nory).

Hr. Caserta. Rozmowa kwiatowa.

Mery. Jak w Japonii...

(Do Stania).

Dlaczego pan się tak dziwnie na mnie patrzy. Nie lubię tych oczów... mróz od nich bije!...

Hr. Caserta. Nie rozgniewacie się, skoro was zostawię samych? Pójdę do gołębnika...

(Idzie do Nory).

Wszyscy (przy stoliku Nory). A... a... a...

Hr. Caserta. Maleńka owacya!

Nora. Tęskniliśmy za panem.

Hr. Caserta. Daruje pani, ale nie wierzę... tylu jest młodszych...

Nora (z lekceważeniem). Oh, młodzi!

Hr. Caserta (do Wandy). Nigdy pani nie widziałam tak piękną, jak dzisiejszego wieczoru.

Wanda (z uśmiechem). A ja pana nigdy uprzejmiejszym.

N o r a. Eu effect... Wanda jest dzisiaj eu beaute.

W a n d a. Szczęście upiększa!

W e r y h o. Cóż się stało tak szczęśliwego? Musi pani podzielić się z nami tą radosną nowiną!

W a n d a. Pst! nie tak głośno. Szczęścia nie trzeba płoszyć.. może uciec.

W s z y s c y (cichutko). Cicho! cicho! szczęścia nie trzeba płoszyć!

W e r y c h o. A gdzież ono? Niechże mu złożę wizytę.

W a n d a. Byłbyś pan gościem niepożądanym. Szczęście jest przy tamtych dwóch stolikach. (wskazuje na stolik Julii, od którego wstał Piwoński i na stolik Mery i Stania).

N o r a. Tam? przy obydwóch stolikach?

W a n d a. Tak!

W s z y s c y. A... a...

W e r y c h o. A więc Stanio... czy to już oficjalne?

W a n d a (gorączkowo). Nie jeszcze, ale za chwilę będzie oficjalne. Panienci możecie włożyć żałobę... Pan Stanio niedługołoży obowiązki wodzireja.

P a n n y. Jaka szkoda.

N o r a. Dlaczego? cóż to przeszkadza. Stanio może nadal pełnić swoje obowiązki.

L i l i. O! to już nie to samo!

W a n d a (z uśmiechem). Lili ma rację. Rosyane mówią, skoro się ktoś żeni: postąpił w brak... Et ils oret raison! (Odechodzi do księżnej).

W e r y c h o (do Nory). Co pan! na to?

N o r a Wie pan, to już ma cechę heroizmu z jej strony. (Do kamerdynera). Kawy nie piję.

(Lokaje roznoszą kawę).

W a n d a (do księżny). Musimy tu wypić kawę. Salon jest w tej chwili zamieniony na garderobę dla pań, jadalnia dla panów. Za chwilę musimy pójść zmienić kostiumy.

H a r t i n g o w a (przy stoliku). Doprawdy, tyle zachodu. Podziwiam pani energię.

W a n d a. Obowiązek, jestem jedną z patronic balu prasy, chciałabym, ażeby się powiódł jaknajlepiej.

L i p e c k i. Niema obawy. Ten pomysł tańca w elektrycznych blaskach jest naturalny i będzie clou balu.

H a r t i n g o w a. Czyj to pomysł?

L i p e c k i Stania!

H a r t i n g o w a (patrzając przez lornetkę na Stania i Mery). Prawdziwie możnaby sądzić, że Mery i Stanio są po słowie. (Do Wandy). Patrz pani, jacy oni sobą zajęci. To nadzwyczajne! I to tak nagle od wczoraj!

L i p e c k i O, to był maleńki flircik od dawna, tylko Stanio się maskował.

W a n d a ze śmiechem). Aż dziś maska spadła.

M e r y (widząc, że ich obserwują). Komu maska spadła?

W a n d a. Twemu portnerowi.

(Stanio i Mery podchodzą do Wandy).

S t a n i o. W takim razie umiał ktoś tę maskę znaleźć.

W a n d a (wyzywająco). I przystroił się w nią, prawda?

(Stanio i Wanda postępują naprzód).

S t a n i o (zimno). Radzę jednak ostrożnie... Mnie ta maska przez dwa lata paliła twarz. Może tak samo i tego, kto znalazł popalić.

W a n d a (ironicznie). O! niema obawy. Przenicowano ją... włożono na odwrotną stronę... z tamtej ta maska była tak lodowato-chłodna, że raczej zmieni twarz tego, który ją nosi w bryłę lodu

S t a n i o (ironicznie). Nie zanosi się na to. W każdym razie ta bryła lodu ma w sobie jeszcze tyle uśmiechów i ponęt, że aż płomień od niej bije! (Mierzą się wzrokiem).

L i p e c k i (wchodząc między nich). Czy nie sądzisz Wando, że czas najwyższy rozpocząć próbę, już jest koło dwunastej, fryzjerzy i krawcy czekają.

W a n d a. Tak! tak! masz rację!

L i p e c k i. Stanio! dopomóż Mery zebrać panie, bo są tak rozbawione, że o próbie na-

wet słyszeć nie chcą. Ja tymczasem zabiorę Ordeę, zabierz Casertę i pana prezydenta do mego gabinetu na cygara. Mery!

(Mery przybiega).

L i p e c k i. Oddaję Stania pod twoje rozkazy.

(Szalony wybuch śmiechu przy stoliku Nory).

W a n d a. Dość tej wesołości moje panie... a teraz do pracy!

W s z y s c y. Już?

W a n d a. Trudno, nie zawsze można się śmiać i żartować. Trzeba się czemś poważniejszym zająć w życiu.

P i w o ñ s k i (stał pod ścianą). Jak Boga kocham, możnaby przypuszczać, że oni idą drwa rąbać.

(Wszyscy wstają—ruch).

M e r y. Za mną moje panie—za mną (wyprowadza panny i Norę za kotarę).

S t a n i o. A panowie za mną (wyprowadza na prawo).

L i p e c k i (do Ordegi i Caserty). Niechże młodzież przyucza się do wypełnienia swych obowiązków względem społeczeństwa a my—na cygarko.

Hr. C a s e r t a. Tak!

L i p e c k i. Seryo, zupełnie seryo, proszę pana panie prezydencie. (Wyprowadza ich na prawo).

W a n d a (do starszych pań). Służba uprzętać będzie stoliki. Przytem brak trochę powietrza. Może panie przejdą do małego salonu.

K s i e ż n a. Ja pójdę do garderoby, bo Minusia taka roztrzepana, że się nie potrafi ubrać.

H a r t i n g o w a. Ja także rzucę okiem na moje dziewczęta.

(Starsze panie wychodzą za kotarę, służba wynosi stoliki i ustawia krzesła).

W a n d a (sposstrzega Piwońskiego). A pan... pan nie tańczy gawota?

P i w o ń s k i. Ja? pani dobrodziejko... ja do gawota tańca jak wół do karety!

W a n d a (roztargniona). Ale zdaje się panu, tak źle nie jest.

SCENA II.

WANDA.—PIWOŃSKI.—WERYCHO, później STANIO.

(W głębi salonu Marcela dozoruje służbę).

W e r y c h o. Wiedziałem, że jeszcze tu panią zastanę. Wszak my tańczymy ze sobą gawota.

W a n d a. Naturalnie, mówiłam panu o tem przy kolacyi. My teraz zawsze już ze sobą tańczyć będziemy.

W e r y c h o. I na jutrzejszym balu w ratuszu kotyliona.

W a n d a. Ależ najchętniej... jeżeli tylko przyjdę

W e r y c h o. Pani mi tego nie zrobi... pani przyjść musi. Pani taka dobra! Dlaczego pani tak patrzy na mnie?

W a n d a. Patrzę i czekam, kiedy w oczach pana zagrają stalowe blaski.

(Stanio wszedł, obserwował ich i udaje, że czegoś szuka.

W e r y c h o. Nierozumiem, ja stalowych oczu nie mam.

W a n d a (sposstrzega Stania). Nie, ja myślałam, że pan masz cały repertuar zawodowego flirciarza... o! patrz pan! (Na Stania). Wzoruj się pan na tym kwiatku.. To typ... to ideał... to cała lira... Po chwili). Czego pan tu szukasz, może swojej maski?

S t a n i o (niedbałe). Widzę ją w tej chwili. Szukam chryzantemu, mego chryzantemu!

W a n d a. Szukasz pan tu przy mnie? Wszak Mery umieściła go na swem łonie... A... a... zapomniałeś pan, prawda?

W e r y c h o. Prawda! zapomniałem, że mnie do kostyumu potrzebny chryzantem.

W a n d a. Qu'a cela ne bienne! Oto go pan masz! (Odpina biały chryzantem i daje).

W e r y c h o. To gwiazda szczęścia!

S t a n i o (zły. Dlaczego się pan nie-ubiera panie Werycho. Wszyscy panowie już są ubrani... panie będą czekać na pana.

W e r y h o. Będę w mgnieniu oka! (wychodzi dumny, przypinając chryzantem).

S C E N A III.

WANDA. — STANIO. — PIWOŃSKI, w głębi
MARCELA. — SŁUŻBA).

S t a n i o (cicho, przez zęby). Szybko się pocieszyłaś.

W a n d a (i rocznie — przymrużając oczy). Kto? co? jak pan mi mówi „ty“? Jakiem prawem? Jeszcze nie jesteśmy skuzynowani. Po ślubie pana z Mery... może... choć i to wątpię!

S t a n i o. Powiedz mi...

W a n d a (wyniośle). Jak?

S t a n i o. Powiedz mi pani, co ty zamysłasz?

W a n d a. Ja—nie... Przestałam pana kochać. Powiedziałam to panu wyraźnie a pan w to nie chcesz uwierzyć. Panu się zdaje, że w Panu nie można się nie kochać. Ach! jaki pan jesteś śmieszny w tej chwili w moich oczach z tą zarozumiałością lwowskiego Don Juana, który się ubiera... aż w Wiedniu, ma dwa wyścigowe konie, z których jeden

ma szpatta a drugi tarza się w piasku na Schmitzeljagdach i który stroi swego lokaja na kredyt... To wszystko jednak się zmieni, skoro panna Mery posażek swój odda w panna ręce. Tylko radzę się przed finalną sprzedażą dobrze zabezpieczyć, bo Mery to praktyczna panienka. Chryzantem przypnie na piersiach, ale kasę na trzy spusty zamknie.

St a n i o (przez zęby). Milcz! nie dałem powodu, ażebyś mnie znieważała.

W a n d a (z nimi). Nie dałeś powodu!

St a n i o (blisko niej). Gdybyś wiedziała jak jesteś mi wstrętna w tej chwili.

W a n d a. A ty mnie! tylko ty mnie naprawdę jesteś wstrętny .. odsuń się odemnie (pociera ręką po czole). Idź do Mery!

St a n i o. Pójdę!

W a n d a. I oświadczyć się!

St a n i o. I oświadczę się... tylko pamiętaj żeś tego sama chciała.., żebyś mi potem nie robiła z tego powodu scen.

W a n d a (z najwyższą pogardą). Lwowska professional beautaj! (wybiega).

S C E N A IV.

STANIO.—MARCELA. — PIWOŃSKI, potem LIPECKI.

St a n i o (wchodzi i mówi do Marceli). Proszę mi dać szklanek wody! (lokaj podaje).

P i w o ń s k i. Przepraszam pana, bardzo pana przepraszam...

Stanio. O co panu chodzi? czem panu mogę służyć?

P i w o ń s k i. Chciałem się spytać... po francuzku szklanka wody, to verre d'eau?

Stanio (roztargniony). Tak.

P i w o ń s k i. A po niemiecku Glas Wasser. Bo widzi pan, ja umiałem i po francuzku i po niemiecku, tylko zapomniałem, bo to, pan wie, na wsi...

Stanio (j. w.). Tak, tak!

P i w o ń s k i. Więc verre d'eau i Glas Wasser?

Stanio. Tak, tak!

(Piwoński w głąb odchodzi).

Lipeccki (wchodzi). Czy już uprzątnięte?

(Do Stania).

A... dobrze, że tu jesteś. Cóż, jakże?

Stanio. Przystaję.

Lipeccki. Oświadczysz się?

Stanio. Tak!

Lipeccki. Masz szanse?

Stanio. Zdaje się.

Lipeccki. A... kamień mi z serca zdejmujesz. Oświadczyć się dziś. Mery jutro do Wiednia wyjedzie... Ty pojedziesz za nią. Zaawansuję ci jeszcze dwa tysiące guldenów. Ale pamiętaj, to ostatnie. Ślub musi

odbyć się za sześć tygodni, ślub Julii naznaczymy w miesiąc po twoim... Po ślubie z Mery wyjedziecie zagranicę i tam pozostaniecie najmniej rok... to konieczne. (Nie patrząc nań). Ja sobie tego życzę. Nie pokazujcie się we Lwowie przez dłuższy przeciąg czasu. Przedewszystkiem nie masz za co urządzić domu a więc taka dłuższa podróż uprości sytuację. Zrozumiałeś?

Stanio. Wybornie!

Lipecki. Mery będzie w Wiedniu u Henrykostwa. Ślub będzie zupełnie cichy. Ja sam tylko na ślub przyjadę. Wanda jest zmęczona. Ostatnim razem, kiedy jeździła „Blitzem“ mierzyć swój stanik do Wiednia, wróciła zupełnie chora. Nie znosi podróży.

(Po chwili, ze śmiechem przymusowym).

Widzisz, jakiego masz we mnie anioła stróża i mistrza ceremonii... Urządziłem ci cały program życiowy. A już teraz od ciebie zależy, ażebyś go pokierował, inaczej niż do tej chwili i zrozumiał wreszcie, że nie żyje się na żart, ale seryo! Zresztą, to wina hrabiego, który zamiast trzymać cię w ryzach, przewracał ci w głowie wolność indywidualną. On ładnie zaszedł swą wolnością indywidualną.

Stanio. Tam, gdzie i pan.

Lipecki. A... przepraszam, ja pochlebiam sobie, jestem kimś na świecie.

Stanio. Nie—obaj i pan i hrabia zeszliscie jednakowo na krawędź grobu...

Lipecki. O, o, o! Jakież niesmaczne żarty... Tego rodzaju idee, to my filistry nazywamy nadludzkimi... zbyt molernistyczne.

Stanio (wybuchając szalonym, nerwowym śmiechem). Nie... śmierć modernistyczny wynalazek! cudowne...

Lipecki. Nie śmierć — ale te ciągle do niej aluzye.

Stanio. Dlaczego? kpić z niej, drwić, szydzić, je t'attends!

Lipecki. Idź tymczasem skontroluj kostyумы panów a potem do... Mery.

Stanio. To już ułożone.

(Odechodzi na prawo).

Lipecki (sposstrzega Piwońskiego). Może i pan na cygarko?

Piwoński. Dziękuję panu, ja lubię tylko fajkę. Ja tu sobie zaczekam.

Lipecki. My zaraz nadejdziemy. Taniec niedługo się rozpocznie.

(Odechodzi na prawo).

S C E N A V.

PIWOŃSKI.—LOKAJE, później BONA.

Piwoński (woła lokaja). Vous!... donner verre d'eau!

Lokaj. Jaśnie pan życzy sobie?

Piwoński. Verre d'eau Glass Wasser! Comprenez!

Lokaj (idzie w głąb, woła drugiego lokaja).

Lokaj I. Po francuzku mówi... to Francuz?...

Lokaj II. Nie wiem. Ja tu wynajęty.

Piwoński. Verre d'eau! Glass Wasser... Bona français.

Lokaj I. Tu bona gada po francuzku. Jest w drugim pokoju. Składa serwety.

(Uchyła drzwi na lewo).

Panienko, proszę tu, jest jakiś Francuz.

Bona. Gdzie? kto?

Piwoński. Bon jour mademoiselle—verre d'eau! Glass Wasser!

Bona (do lokaja). Wody chce, dajcie mi szklanę wody!

(Wychodzi na lewo).

P i w o ń s k i (na stronie). Nie udało się... a tak ślicznie to sobie ułożyłem!

(Do lokaja, który mu przyniósł wodę).

Czego, czego? Cóż oczy wytrzeszczasz?

L o k a j. I do II. Słyszałeś, gada po polsku...

P i w o ń s k i (idąc ku jadalni). Panienko, panno boncio!

B o n a. Czego pan chce jeszcze?

P i w o ń s k i. Na słówko. Ja chciałbym panience zaproponować, czy panienka nie przejechałaby się na Ukrainę?

B o n a. Także coś! Ładny spacer. Niby tak tramwajem na Żółkiewskie. A potem, mnie tu dobrze. Taka bona jak ja, to rzadkość. Jestem z językami i z fortepianem.

P i w o ń s k i. To ten fortepian, co w salonie stoi, to panienki własność?

B o n a (wzrusza ramiona). Pan nie wie, co jest bona z fortepianem? Pan anonsów nie, czyta? Żeby pan czytał, toby pan wiedział że bona z fortepianem, to jakby guwernantka (wyniośle). Bądź pan zdrow!

(Wychodzi).

S C E N A VI.

KSIEŻNA.—HARTINGOWA.—Starsze panie.

H a r t i n g o w a. Śliczne są te kostiumy i w linii i w kolorze.

K s i e ǳ n a. Dla mnie brzydkie. Ja byłam za białemi perukami.

Hartingowa. Tak, to bardzo awan-
tażowne. Każdemu do twarzy.

(Siadają z lewej).

SCENA VI.

Też same.—STANIO, później LIPECKI.—Hr.
CASERTA. — ORDEGA i starsi panowie. —
PIWONSKI.

Lipecki (wchodząc). Jesteśmy, gdzie ma-
my usiąść?

Hr. Caserta. Gdziekolwiek, to niema za-
dnej wagi.

Stanio (rozchylając cokolwiek zasłonę).
Bacność, moje panie! Panno Miniusiu, pro-
szę uważać! Dalej, orkiestra!

(Muzyka; nadzwyczaj cicha gawotka; wszy-
stkie światła na scenie gasną, w sali także;
powoli rozchyła się aksamitna zasłona. Cała
mała scenka wewnątrz jest wybita czarnym
aksamitem. Podłoga estrady także; z tyłu
są dwa gradusy i w samym środku rodzaj
stopnia najwyższego. Wszystkie obciążnię-
te czarnym aksamitem. Gdy zasłona się
rozchyli, na scenkę pada silne kolorowe świa-
tło elektryczne z aparatów wśród krzewów.
Na scenie dziewięć par nieruchomo ugrupo-
wanych. Mężczyźni mają lila atlasowe spod-
nie, pończochy lila i pantofle. Fraki zielone,

z długimi połami. Chryzantemy białe w bu-tonierkach, peruki blond, długie, fryzowane. Kobiety mają suknie secesyjne lila i zielone, peruki blond, rozpuszczone, pół długie, kwiaty po obu stronach twarzy — ogromne lila. W rękach trzymają, na bardzo długich łodygach lilie — mężczyźni słoneczniki. Po chwili zaczynają tańczyć. Należy taniec tak ułożyć więcej w pozach, aby to robiło ciągle wrażenie obrazu. Środkowa para ma w rękę większe irysy liliowe. Jeżeli światło będzie dobrze przyćmione w sali i na scenie, tańczący robić będą wrażenie, iż tańczą w powietrzu. Oświetlenie kolorowe zmienia się w tęcze. Wreszcie przy finale do taktu, barwy się zmieniają. Muzyka z gawotta przechodzi w L'Altalenę. Pośrodku tańczy Wanda z Werycho—Julcia obok z Chełczyńskim, po drugiej stronie Nora z Mościckim, i t. d. Mery, Ziunia, Lunia, Lili, słowem wszyscy grający. Gdy zasłona zapadnie—obecni dają dyskretne brawo. Rozjaśnienia się).

H a r t i n g o w a. Prześliczne, nadzwyczajne! Żyjąca secesion!

H r. C a s e r t a. Rzeczywiście, ładne robi wrażenie.

M o ś c i c k i (wychylając głowę z za firanki). Cóż, ładnie było?

Lipec ki. Bardzo, bardzo dobrze...

(Mnóstwo głów wychyla się z za firanki).

Mery. I cóż? aranżer kontent?

Lili. Papa, jak ja wyglądałam?

Ordega. Dobrze, tylko byłaś strasznie blada.

Stanio. Nie jestem zadowolony z zakończenia.

K s i ę ż n a (do Hartingowej). Pójdę zobaczyć.

H a r t i n g o w a. Ja pójdę także... A potem jedziemy do domu.

K s i ę ż n a. Naturalnie, już koło pierwszej.

(Idą za firankę).

J e d e n z l o k a i (podchodząc do Lipec kiego). Jaśnie pani prosi — panie odjeżdżają.

Lipec ki. Idę...

(Do Stania).

Mówiłeś z nią?

Stanio. Nie jeszcze. Nie doprowadzaj mnie pan do zdenerwowania. Skoro mówię, że się zdecydowałem...

Lipec ki. Nie, to się musi dziś stanowczo skończyć. Pozostań jeszcze trochę pod jakimkolwiek pretekstem — zobacz się z Mery.

Stanio. Dobrze — pozostaniemy z Werycho. Estrada jest stanowczo za niską, musimy wydać jeszcze odpowiednie rozporządzenia.

Hr. C a s e r t a (do Stania, który usiadł na krześle z miną zniechęconą). Skądże to zniechęcenie?

S t a n i o. Znużony jakiś jestem, wyczerpany.

Hr. C a s e r t a. A przecież w tej chwili grasz *va banque*!

S t a n i o. Ryzykuję.

Hr. C a s e r t a. Zbadaj przedtem grunt... oczy Wandy nie dobrego nie wróżą... podczas tańca poprostu przebijała ciemności wzrokiem szukając ciebie.

S t a n i o. Ona? Ależ ona po prostu drwi sobie ze mnie. Gdybyś pan słyszał naszą rozmowę przed chwilą. Ah non, z tej strony jestem zupełnie spokojny. Spodziewam się. Pojutrze już będę na drodze do Wiednia. A! Dieu... co za wyzwolenie.

Hr. C a s e r t a. Albo gorsza niewola.

S C E N A VII.

Ciż sami.—JULCIA. — LIPECKI.

J u l c i a (podchodząc do Stania) Staniu!

S t a n i o (zmienionym, trochę łagodniejszym głosem). Czego życzysz sobie moje dziecko? A zgaduję! No dobrze już — dobrze! Powiedz panu Chełczyńskiemu, żeby mnie odwiedził jutro rano a właściwie dziś

rano, bo to już pierwsza po północy. A koniecznie dziś, bo pojutrze wyjeżdżam.

Julcia. Dokąd?

Stanio. Do Wiednia.

Julcia. A ja?

Stanio. Ty później tam przyjedziesz.

Julcia (po chwili). Staniu! Ty także jesteś zmieniony, smutny, co tobie?

Stanio. Mylisz się siostrzyczko. Cieszę się po prostu twojem szczęściem — nic więcej.

Julcia. Tem lepiej! Ucałuj mnie. Tak potrzebuję dzisiaj dobrego słowa, pieszczoty.

Stanio (patrzac na nią w zamyśleniu). Tak... zdarzają się takie chwile.

Julcia (do Mery) Mery! słuchaj. Stanio jest dziś smutny, przybity, zniechęcony — pomów z nim, ty masz taki dar rozweselenia go. (Do Stania cicho). Braciszku! może ty... znów w karty przegrałeś... To proszę cię... nie martw się... ja moim posagiem się z tobą podzielę... weźmiesz, ile zechcesz... pan Chełczyński nic nie powie.

Stanio (całując ją). Ach! ty mój mały biedaku!

Julcia (wychodzi na lewo).

Lipecki (powraca). Hrabio, proszę cię jeszcze na chwilę do mego gabinetu. Mam ci się poradzić w pewnej ważnej sprawie.

Hr. Caserta. Już późno.

L i p e c k i (cicho). Oddaj mi pan tę przysługę, chciałbym, ażeby Stanio porozmawiał dziś z Mery — a on jeden z gości zostać nie może—ze względu na służbę.

Hr. C a s e r t a. Skoro tak!... (wychodzą na prawo).

S C E N A VIII.

STANIO. — MERY.

M e r y. Zostawili nas samych!

S t a n i o (siedzi w milczeniu, zgnębiony).
(Chwila milczenia .

M e r y. Jaka to ciężka dla pana chwila!

S t a n i o (starając się ożywić). Cóż za przypuszczenie.

M e r y. Nie zadawaj pan sobie przymusu. Ja sto razy wolę pana takim—jak w tej chwili. Siedź pan tak, patrz w ziemię—nie na mnie i nie mów nic... Ja za pana mówić będę, jeśli duch pana nie zmęczy.

S t a n i o. Jaka pani jesteś dobra.

M e r y. Nie, ja tylko jestem taka dla tych, którzy mnie coś obchodzą. Ja dzieckiem będąc chodziłam zawsze do klasztor-nego szpitalika, podczas rekreacyi i tam najchętniej przesiadywałam przy moich chorych smutnych koleżankach. Kwiat, który więdnie, sto razy mi droższy, jak ten, który

się w słońcu śmieje. A pan jesteś takim więdnącym kwiatem, takim chorem dzieckiem. Dlatego ja do pana przychodzę—ręce do pana wyciągam i staram się mówić ci-cho, aby nie zranić niczem pańskiej chorej duszy.

St a n i o. Tak panno Mery!.. moja dusza chora... Ja wiem o tem... Beznadziejnie chora.

M e r y. Beznadziejnie? Kobieta nie zna takiego zwątpienia. Kiedyś w życiu, gdy byłam małą, znalazłam zmarzniętego ptaszka. I tak długo ogrzewałam go moim oddechem, aż ożył.

St a n i o. Ptak mojej duszy nie żył nigdy pełnem życiem.

M e r y. To nieprawda. Tak źle nie jest. Ja pana studyowałam, ależ tak, tak, ja wiem kim pan jesteś w rzeczywistości. Pan masz bardzo piękny umysł, inteligencję, artyzm, serce.. tylko pan to wszystko.. jakby to powiedzieć—pozostawił na boku i tylko od czasu do czasu zaczerpnie pan coś z tego—i to nie dla swej, ale dla ludzkiej potrzeby. A pan sam nie idzie przez życie—tylko się pan... ślizga! (Po chwili). Dziwna rozmowa pomiędzy mną i panem tembardziej w tej chwili.

St a n i o. Dlaczego w tej chwili?

M e r y. Ja będę z panem zupełnie szcze

ra. Tylko zejdzmy oboje z życiowej ślizgawki i stańmy na realnym gruncie... (Po chwili). Ja czekam, żeby mi się pan oświadczył.

S t a n i o (podnosi głowę i patrzy na nią zdziwiony).

M e r y (Ze smutnym uśmiechem). Tak, ja czekam na to. Ja widzę cały aparat tej sprawy, ja nawet zrozumiałam, że to dziś jeszcze musi nastąpić. Dlaczego musi, ja nie wiem, ale ja to czuję i temu się poddaję, pan się musisz ze mną żenić, ja wiem o tem. To nóż na gardle. Dlaczego? także nie wiem, ale od wczoraj stryj z taką siłą, z takim nerwowym pośpiechem popycha nas ku sobie, że po drodze obaliliśmy największą przeszkodę. I... ten cień pańskiego życia sam niejako dopomógł w naszym zbliżeniu... (Po chwili łagodnie, prosto i smutno). No! Oświadczyć mi się pan według przepisów światowych—ja czekam!

S t a n i o (milczy)

M e r y. Ciężko panu? Ja rozumiem... Szukać słów, które na zawołanie nie przychodzą i to do kobiety, której się niekocham...

(Słysząc poruszenie się Stania).

M e r y. Nie przecz pan! przecież pan mnie kochać nie możesz. Pan jeszcze niko-

go nie kochałeś. Pan nie umiałeś kochać... Ale widzi pan, choć pan mnie nie kocha i tylko pan musi się ze mną żenić ja... pójde za pana.

Stanio (bierze ją za rękę). Mery!

Mery. I będę dla pana tak dobra, tak powoli wsunę się w twoją egzystencję, w twoją myśl, w twoje życie, że stanę się tobie do życia potrzebną i kto wie, może pokochasz mnie kiedyś.

Stanio. Wszystko, cobym w tej chwili powiedział miałoby pozór nie szczerości...

Mery. To pewne... Więc nie mów pan nic. Poddaj się pan wrażeniu. Pozwól mi... opiekować się tobą. To śmieszne. Młoda dziewczyna w roli opiekunki mężczyzny, który raczej powinien być jej przewodnikiem. Ale to nie pan poszarpał swoją duszę na strzępki, rozleciały się jak... karty z talij rozrzucone wprawna ręką. Ja te strzępy zbiorę i życie moje na to poświęcę ażeby pana niejako na nowo stworzyć. Tylko musi pan mi być posłuszny—o z początku tylko. Cóż pan, będzie posłuszny?

Stanio. Będę.

Mery (patrzac na niego). Tak! tak! Pana to wszystko zjałło, to całe życie... to nasze życie... to pańskie życie! Co pan chce? I mnie to już je i ja się w tem szarpię jak

ptak, bo ja wiem, że jest coś lepszego, coś gruntowniejszego, że my stawiamy tylko iluminowane transparenty, podczas kiedy inni budują. Pan się uśmiecha? Dobrze, dobrze—niech się pan śmieje, ale pan się nauczy tak myśleć jak ja... A teraz odchodzę, późno już... Nikt nam nie przerwał naszego tête a tête. Zrobiliśmy swoje—zareczyliśmy się!... To było ludzkim dziełem. A teraz naszym będzie nakreślić sobie plan życia. Dobranoc panu!

S t a n i o. Mery! Mówiłaś za mnie i wdzięczny ci jestem za to. Tak w jednej chwili straciłem energię, wolę, wszystko... Nie wiem co się ze mną stało. Wiem tylko, że tamta kobieta miała słuszość! Zgubiłem maskę, którą niemal od dziecka na twarzy nosiłem. I tak mi jest, jakbym nad brzegiem przepaści... każde twoje słowo uspokaja mnie. Mery... ja będę dobry dla ciebie! Mery, ja będę nawet bardzo dobry. Ja to czuję.. ja ci to mogę przyrzec. (Tuli ją do siebie). Ja w to wierzę... a co do naszej miłości, to ona przyjdzie.

M e r y Zmienia się tylko role. Inne dziewczęta są kochane przed ślubem—po ślubie je mężowie kochać przestają. Ja zaś nie będę kochaną przed ślubem ale za to sprawię to, że mój mąż mię bardzo serdecznie pokocha. Dobranoc!

St a n i o. Dobranoc Mery! do jutra... pojedę po Werychę, obejrzę z nim estradę i wracam do siebie.

M e r y. Ja jutro wyjeżdżam do Wiednia.

St a n i o. A ja jadę pojutrze do Wiednia.

M e r y (po chwili prosto serdecznie). Po-całuj mnie!

St a n i o. Mery! (całuje ją gorąco i odchodzi na prawo).

S C E N A IX.

WANDA. — MERY.

(Gdy Mery jest całowana przez Stania z lewej strony halli wychodzi Wanda — idzie śpiesznie—ma w ręku list—zobaczywszy Mery i Stania, staje jak wryta, blednie, szuka oparcia. Tymczasem Stanio niewidząc Wandy, odchodzi na prawo. Mery chce iść na lewo i spotyka się z Wandą, cofa się przeżona. Wanda chwyta ją za rękę i odrzuca naprzód tak silnie, że Mery cofa się aż przed kinkiety tyłem do publiczności. Cała ta scena powinna iść jak błyskawica wyszeptana prawie przez obie kobiety).

W a n d a. Jak ty śmiałaś!

M e r y. Jak ty śmiesz w tej chwili?

W a n d a. Bezwstydna!

M e r y. Tyś bezwstydniejsza odemnie!

W a n d a. Ja kocham—ty z rozpusty.

M e r y. Nie — to ja kocham a ty z rozpusty.

W a n d a (z krzykiem). Milcz!

Mery. Ty milcz, bo dzieci twoje usłyszą...

W a n d a. Wypędzam cię z mego domu.

Mery. Za parę godzin sama idę—ale on za mną.

W a n d a. Kłamiesz! on zostanie.

Mery. Nie... samaś mnie w jego objęcia rzuciła.

W a n d a. Ale teraz nie chcę! nie pozwolę... nie pozwolę!...

M e r y (stanowczo, silnie, biorąc ją za rękę). Ja się o twoje pozwolenie pytać nie będę. Ty dopomagasz do jego życia bez jutra, ja go wydźwignę...

W a n d a. Swojami pieniędzmi.

M e r y (krótko). Chociażby. Zresztą, stało się! Jesteśmy po słowie.

W a n d a. Ja to słowo zniszczę.

M e r y. Jak? skandalem? Nic nie poradzisz—nie! Poddaj się lepiej przeznaczeniu! Ja ci zapowiadam, że nie ustąpię. Ja tego człowieka inaczej kocham niż ty i będę jego żoną. To jest cel mojego życia!

(Wychodzi na lewo).

(Wanda stoi chwilę nieruchoma, drze list,

zaczyna płakać spazmatycznie, aż jęcząc z bólu—widać w głębi, jak Stanio z Werycho oglądają estradę).

SCENA X.

WANDA.—STANIO.—WERYCHO
w głębi.

Werycho. Naturalnie, że trzeba dać jeszcze ze dwie silne podstawy. Cała estrada podczas tańca się chwieje.

Stanio. Pomyśl pan o tem... Ja, zdaje się, będę zmuszony wyjechać.

Wanda (słuszając jego głos). Ten... ten...

(Biegnie w głąb).

Panie Stanio, proszę tu na chwilkę...

Stanio (waha się, ale po chwili wchodzi, zapuszczając za Werycho franki).

Wanda (prawie nieprzytomna, gryząc chystkę i rzucając strzępy na ziemię). Ty... ty... się żenisz?

Stanio (waha się chwilę, wreszcie odzyskuje zimną krew). Żenię się.

Wanda. Z... tamtą?

Stanio. Z tamtą!

Wanda. A ja?

Stanio. Wszak sama chciałaś.

Wanda. Kłamstwo!... w głębi duszy nie

chciałam nigdy... ja tak mówiłam... zresztą, mnie się zdawało... ale ja widziałam... tyś ją pocałował. We mnie wszystko się zbudziło... Ja nie mogę pozwolić... za nie!... za nie!...

Stanio (brutalnie). Dosyć tego! ja nie chcę być dłużej zabawką twych histerycznych kaprysów. Zrozum raz wreszcie... Tyś wpiła się w me życie jak skorpion. Moje życie i tak straszne i tak mnie dławi jak obroża—a jeszcze ty, ciągle ty, wiecznie ty... To musi się skończyć!

Wanda (coraz więcej zdenerwowana). Kłamstwo! to się nie skończy, choćbyś się ożenił. Zrozumiej, że ja ci byłam tak do życia potrzebna, jak twoje karty, jak twoje długie... Ja byłam twem dopełnieniem występków, ja byłam koroną twoich grzechów! Taki panicz jak ty, musi przecież mieć jakąś cudzą żonę na sumieniu. Ty bez takiego skorpiona żyć nie będziesz w stanie, bo ty musisz być nerwowo szarpany. Ale tu nie o to chodzi. Ty się żenisz dla pieniędzy, ty się po prostu sprzedajesz jak ladacz-nica!...

Stanio. Milez! jak śmiesz!

Wanda. Śmieć—śmieć wszystko ci powie-dzieć. Tobie, który wkradłeś się do naszego domu po to, aby mnie zgubić. Nie byłam

szczęśliwą, ale byłam przynajmniej spokojną. A tyś mnie zdeprawował! ty!

Stanio. Nie przypuszczam, ażebym był pierwszym!

Wanda (patrzy na niego chwilę). Jesteś podły!

Stanio. Dobrze byłoby zakończyć tę scenę—mąż pani może jeszcze usłyszeć.

Wanda. Mój mąż? przecież to twój wspólnik. Ależ on wie o wszystkim! wie! ja mu to sama napisałam i dlatego, że ma w tem interes jakiś ukryty, milczy! podajecie sobie ręce. Och! jakiż brud, jakaż nikczemość!

Po chwili, odgarniając włosy z nagłą determinacją).

Ale tak nie będzie, tak być nie może! Zbyt łatwo obaj skończylibyście swoje rachunki. Zapomnieliście o mnie! Po raz ostatni pytam cię: żenisz się?

Stanio (zimno). Żenię.

Wanda (biegnie do drzwi na prawo). Proszę tutaj! Hrabio! pan także! nie, to za mało... O, tam jest także ktoś.

(Biegnie do firanki).

Panie Werycho!... proszę pana tutaj!

S C E N A XI.

WANDA. — STANIO. — LIPECKI. — Hr. CASERTA. — WERYCHO, później KOCIA.

Lipecki. Co się tu stało, Wando?

Wanda (jak w szale). O, nie udawaj, że się nie domyślasz. Ty najlepiej wiesz, co się stało, ty, który prowadziłeś do tej katastrofy. Zabawiłeś się w swata, szkoda tylko, że z posagiem Mery swatałeś... kochanka swojej żony!

Lipecki. Szalona!

Werycho (chce odejść).

Wanda (chwyta go za rękę). O nie—zostań... pan, bo pan jeden tu reprezentujesz świat. Inaczej, oni to znów załatwią pomiędzy sobą—dadzą sobie słowo nie mówić nic nikomu—bo to franc masonerya grzechu!... Ukryją to moje wyznanie, jak mój mąż ukrył mój list, w którym przed kilku godzinami pisałam to samo.

Hr. Caserta. Pani Wando, na Boga, opamiętaj się pani!

Wanda. Nie, nie! wszystko musi raz wyjaśnić się wobec świadków. Inaczej, to za wygodnie... ten pan (wskazuje na męża) chce utrzymać swoje stanowisko, ten pan (wskazuje na Stania) sprzedaje się, aby je

zdobyć. A ja? a ja? po mojem sercu, po moim trupie chcą przyjść do tego?... A nie! a nie! tak nie będzie... Powtarzam!

(Do Werychy).

Słuchaj pan i opowiedz to wszędzie... Dwa lata byłaś kochanką tego pana — dwa lata! c. ile dwa lata!... A teraz...

(Wybiega do swego pokoju).

Lipecki (chwila milczenia). Ta kobieta jest szalona! Panie Werycho, nie wierz pan, proszę...

Werycho (wymyka się cicho).

Wanda (powraca, jest w płaszczu, trzyma za rękę Kocię). Odchodzę! obu wam schodzę z drogi. Teraz załatwiajcie swoje rachunki.

Lipecki. Proszę córkę zostawić.

Wanda. Zostawiam ci syna! Córkę ci nie oddam. Mogłaby stać się w twojem ręku tem, czem ja byłam.

(Wychodzi za firankę).

Hr. Caserta. Pójdę za nią. Zawiozę ją do Nory.

(Biegnie za Wandą).

SCENA XII.

LIPECKI.—STANIO.

Lipecki (chwytając się za głowę). A, a!... Stanio. Jestem na pana rozkazy.

Lipecki (wściekły). Tak, tak! na moje rozkazy wtedy, gdy praca całego mego życia przez ciebie rozprysnęła się w kawały, kiedy ja stoczyłem się ze stanowiaka, na na którym stałem... Teraz mi będzie przy-syłał sekundantów, pojedynki, skandale, co-raz większe skandale... I to wszystko w tej właśnie chwili, kiedy przezemnie mógł wre-szcie wypłynąć! (z furją). Wyrzutku, wy-rzutku społeczeństwa!...

Stanio (zimno). Załatwimy to inaczej, na-tychmiast, po amerykańsku!

Lipecki. Zgoda! Odetchnę aż sobie w łeb strzelisz!

Stanio (patrzy na niego przez chwilę). Kto wie, czy ta kobieta nie miała racyi!

(Wyjmuje dwa bilety, kreśli na jednym krzyż, wrzuca do kapelusza i podaje Lipeckiemu kapelusz).

Ciągnij pan, jeden bilet krzyżem nazna-czony...

Lipecki. Ależ...

Stanio (groźnie). Ciągnij pan—przyjąłeś moją propozycję. Musisz! inaczej napiętnuję pana, jako tchórza i infamisa...

Lipecki (zamyka oczy i wyciąga bilet).

Stanio (wyciąga także bilet — czynią to jednak tak, ażeby publiczność nie spostrze-

gła, który wyciągnął bilet z krzyżem — spoglądają na bilety, kłaniają się sobie i rozchodzą, twarze ich nie wyrażają nic, tak, że publiczność nie wie, kto śmierć wyciągnął. Jak wyjdą, chwila pauzy.—Kurtyna zapada wolno).

Koniec aktu czwartego.

AKT PIĄTY.

Ta sama dekoracya co w akcie drugim. Firanki pozastawiane, na biurku pali się lampa, na środku pokoju stoi Stanio w futrze i cylindrze—Michaś poprawia w piecu.

SCENA I.

STANIO.--MICHAŚ.

Michaś. Może jaśnie panu zrobić herbaty?

Stanio (zmienionym głosem). Nie trzeba. (Po chwili). Która to godzina?

Michaś. Już trzecia.

Stanio. Idź spać. Ja sam się rozbiorę.

Michaś. Kiedy proszę jaśnie pana, dołożyłem właśnie drzewa do pieca.

Stanio. Zostaw. Ja sam zamknę. A zresztą mniejsza.

Michaś. Tam mróz znów ścisnął... Ja przygotowałem wodę sodową, cytrynę. Dobranoc jaśnie panu!

Stanio. A jutro przyjdź trochę później. będę spał...

Michaś. Dobrze, jaśnie panie!

(Odchodzi. Stanio idzie zamyka za nim drzwi od przedpokoju. Michaś mówi jeszcze w przedpokoju).

A niech jaśnie pan nie zapomina wyjąć swego klucza, ażebym mógł drzwi otworzyć, bo wczoraj to nie mogłem

Stanio. Dobrze.

(Wraca na scenę, stoi chwilę na środku, patrzy w ziemię, idzie do małej szafki, wyjmuje z niej stosy listów, fotografie kobiece, siada przy piecu, niektóre listy przegląda i stopniowo wrzuca do pieca. Wstaje—pije wodę i gwizdże machinalnie L'Altalone. — Dzwonek).

SCENA II.

STANIO.—Hr. CASERTA.

(Stanio idzie do przedpokoju, otwiera drzwi, wchodzi hr. Caserta).

Hr. Caserta. A! ledwo ją zdołaliśmy uspokoić we dwoje z Norą. Ty wyjeżdżaj dziś rano. Nie zwlekaj ani chwili. Skoro będziesz od niej zdaleka, ona łatwiej zapomni.

(Stanio milczy, patrzy w ziemię, hr. Caserta siada na fotelu .

Szalona po prostu kobieta. Jedna z tych niebezpiecznych, biorących życie z tragicznej strony. Co teraz będzie — nie mam pojęcia.

Stanio. Ale ja mam. Wróci do domu. Ona już teraz żałuje tego co zrobiła. To jest istota chwili. Ona pierwszej działa niż myśli. To wszystko co robi, to nie ona, to jakaś inna. Ja ją znam.

Hr. Caserta (śmiejąc się). Ty jej wybaczasz? Daruj mój drogi — ale to ona ma ci dużo do wybaczenia. Opowiedziała mi cały wasz stosunek. Nie byłeś dla niej nadzwyczaj miły.

Stanio. Być może—ale to także nie moja wina. Warunki, w jakich żyłem, były zbyt twarde, ażebym mógł znaleźć w sobie jakąś cieplejszą nutę, która do takiego stosunku jest konieczna.

(Podaję mu cygaro, sam zapala papierosa i zasuwa się w fotel).

Hr. Caserta. Warunki twoje życiowe nie były znów tak straszne. Bawiłeś się...

Stanio. O! ta moja zabawa, to nie była w gruncie rzeczy zabawa, to była walka, przynajmniej później, pod koniec stała się już taką. Walczyłem o chleb, tak, po prostu... a walczyłem jak Don Kiszot—z pustką,

z próżnią, bo kim ja właściwie byłem? co ja na świecie robiłem? czy ja wiem!

Hr. Caserta. Tak, ale teraz znalazłeś punkt oparcia. Żenisz się i żenisz się świetnie. Mery jest w tobie tak zaślepiona, że dowiedziawszy się o Wandzie, nie cofnie danego słowa... A zresztą, zdaje mi się, że ona wiedziała...

(Po chwili).

Wiesz o czym myślę? Myślę o Wandzie... jak ona strasznie płakała!...

Stanio. Wiem, to specjalistka od łez... znam te łzy.

Hr. Caserta. Jakże to przykro pomyśleć, że my, mężczyźni, mamy tylko z dwoma rodzajami kobiet do czynienia. Albo to są kobiety, które wszystko obracają w żart i te mijają w życiu naszym bez śladu, albo kobiety, które wszystko biorą ze strony tragicznej i te najczęściej przechodzą przez nasze życie, jak gradowe burze.

Stanio (wstał i poszedł do okna, uchylił firankę i patrzy, smuga księżycowa wpada przez okno). Jaka noc cudowna!

Hr. Caserta (patrząc ze swego fotelu). Tak... cudowna!

(Zakłada przyciemkę na lampę).

Stanio (patrząc w okno). Nabijaną światłem drogą, zwolna, zwolna łódź ma płynię

O! anieli czuć nie mogą — co ja... (urywa). A!...

Hr. Caserta (po chwili). I pomyśleć, że są ludzie, którzy podczas takiej nocy, patrzą na taką smugę księżyca, będą musieli odebrać sobie życie.

Stanio (odwraca się szybko). Zkąd pan wie?...

Hr. Caserta. Muszę wiedzieć, bo takim kimś, ja będę właśnie.

Stanio. Pan... pan także?

Hr. Caserta. Ja. Tobie jednemu to powiem, bo widzisz, pomiędzy nami jest wiele wspólnego. Myśmy szli mniej więcej po jednej ścieżce. Ty jeden mnie zrozumiesz. Ja się zabiję! Tak, tak, zabiję się, nie dziś, nie jutro, nie pojutrze. Wystarczy jeszcze mojego kapitału na jeden miesiąc—cały jeden miesiąc. Bo ja ci to już kiedyś mówiłem, ja żyję z mego kapitału moralnego, fizycznego i finansowego. Wyżyłem wszystko. Gdybym przeszedł po za naznaczony miesiąc, pozostałbym ot.. bezużytecznym szmatem ciała, straciłbym resztę umysłowej świeżości... a materyalnie a!... Dowiedziałem się, ile kosztuje porządna trumna, pogrzeb przyzwoity, jaki taki grób—wszystko to pozakładałem w koperty i schowałem do kasy. Potem spokojnie odbiorę sobie życie. I tak, pójdę ze świata, zupełnie correct, ni-

komu nie będę ciężarem, nie będę wzbudzał obrzydzenia a wyczerpałem to, co życie mogło dać najlepszego, do dna...

(Po chwili).

Stanio. W jaki sposób pan sobie życie odbierzesz?

Hr. Caserta. Nie wiem. W każdym razie w sposób estetyczny. Dbałem zawsze o pewien artyzm w życiu. Chciałbym, ażeby po mnie pozostało estetyczne wspomnienie.

Stanio. Tak... skoro się już na nic nie możemy przydać na świecie, niech o naszym trupie esteci mówią: och! i ach!...

Hr. Caserta. A czemże jest księżyc? Trupem! A patrz, jak ładnie ten trup srebrną smugę pod stopy ci ściele. Skoro będę umierać, będę się patrzeć w taką srebrną smugę.

(Dzwonek).

Stanio. Któż to być może?
(Idzie do drzwi, otwiera, powraca z listem).
Pozwolisz hrabio? to pilna sprawa. Żądają odpowiedzi.

(Czyta, nagle wybucha).

To nadto! nadto!

Hr. Caserta. Co takiego?

Stanio. Powiem panu wszystko! Zresztą, ja muszę to komuś powiedzieć, muszę...

(Idzie, zamyka drzwi).

Po wyjściu tej... kobiety i pana, pozosta-
łem sam z Lipeckim...

(Urywa).

Hr. Caserta. Dalej... dalej!...

Stanio. Jak do tego przyszło... nie wiem.
On mnie obraził... zaproponowałem pojedy-
nek amerykańsk... i...

Hr. Caserta. I... ty? ty?

Stanio. Ja!

(Chwila długiego milczenia).

Hr. Caserta (zmienionym głosem). Od
kogo ten list?

Stanio. Od niego... winien mu jestem—
a raczej kasie jego banku — czterdzieści ty-
sięcy guldenów. I on, ten człowiek, który
tylko egoizm, tylko siebie ma ciągle na
uwadze, żąda odemnie, żebym odwłókł ter-
min, ożenił się z Mery i wypłaciwszy z jej
posagu owe czterdzieści tysięcy guldenów,
zabił się lub zrobił to, co mi się będzie po-
dobało...

Hr. Caserta. Odpisz mu—nie!

Stanio. Tak też i zrobię. Z dwóch nie-
honorowych postępków wybieram ten... mniej-
szy. Wolę zejść do grobu mając ten dług
na sumieniu, niż zrobić Mery żoną trupa!
(Odpisuję jedno słowo: „nie!“—wkłada do ko-
perty — wynosi do przełpokoju, nagle co-
fa się).

S C E N A I I I.

MERY.—STANIO.—Hr. CASERTA.

(Do pokoju wchodzi Mery, ledwie odziana w rotundzie i mówi do przedpokoju).

Mery. Niech panna Marcela poczeka, ja zaraz wyjdę.

Stanio. To ty Mery, to ty?

Mery (zgorączkowana). Ja! nie mogłam zasnąć! nie wiem, co mi jest... boję się czegoś! Chciałam ciebie raz jeszcze zobaczyć, chciałam się upewnić, że jesteś moim, że będziesz moim, na zawsze, na zawsze!

Hr. Caserta. Mery! uspokój się... wszak widzisz, nic się nie stało...

Mery. Ja nie wiem, co ta kobieta zrobiła. W jej pokoju tak cicho. W całym domu tak cicho... pies tylko tak strasznie gdzieś wyć zaczął, zerwałam się... Julcia, która śpi w moim pokoju, nie zbudziła się nawet. Uprosiłam panią Marcelę... jesteśmy... o!...

(Pada znużona na sofę. — Stanio patrzy na nią smutno i stoi bezradnie, z opuszczonymi rękami).

Hr. Caserta. To nerwowe, Mery... nie innego, tylko nerwowe... Musiałaś dziś dużo przejść, zaręczyłaś się, coś dziwnego, że cię to wyprowadziło z równowagi.

Mery. Czy ja się zaręczyłam? ja już nie wiem. Mnie się zdaje, że to wiek cały minął od tej chwili, w której zamieniliśmy przyrzeczenie.

(Do Stania).

Dlaczego pan nic nie mówisz?

Stanio. Patrzę na ciebie, Mery... piję twój czar, obraz twój, patrzę, Mery...

Mery. Jakie pan ma dziwne oczy w tej chwili... jakie dziwne... szklane... bez wyrazu... a!...

(Rzuca się w tył z krzykiem).

Boję się tych oczów!

Hr. Caserta. Mery, jesteś tak strasznie zdenerwowana. Trzeba powrócić do domu.

Mery. Nie — nie, zostawcie mnie tutaj, o! tu, w kątku. Będę siedzieć cichutko, nie będę nikomu przeszkadzać... nikt o mnie nie wiedzieć nie będzie... tylko nie każcie mi tam wracać. Tam tak straszno!

Hr. Caserta. To niemożliwe, Mery. Niedługo dzień się zrobi. Nikt nie powinien wiedzieć, że byłaś tu w nocy.

Mery. O! to mniejsza!

Hr. Caserta. Nie, Mery... zważ na opinię, co świat powie! Idzie o twoją reputację.

Mery (wyciągając ręce do Stania). A więc on weźmie mnie ze skalaną reputacją... To będzie rzecz nas dwojga. My będziemy wiedzieli, że jesteśmy bez grzechu.

Stanio (całując jej ręce). Mery! moja Mery! moja ty słodka Mery!

Hr. Caserta. No... tak... jak się zaczniecie rozczulać.

(Odchodzi do okna, kryjąc wzruszenie).

Mery. Teraz już nie masz takich szklanych, strasznych oczów, teraz już...

(Pociera ręką po czole).

A jednak i teraz taki mam w sobie niepokój, taki mam straszny niepokój! Nie o siebie, o ciebie. Zdawało mi się, że cię więcej nie zobaczę... nigdy, nigdy!...

Stanio (z przymuszonym uśmiechem). A jednak zobaczyłaś mnie.

Mery. Tak... ale to dziwne, mnie to nie uspokoiło. Wolałabym, ażebyś pojechał do Wiednia razem ze mną.

Stanio. Jeżeli chcesz tego koniecznie... to pojedę.

Mery. Naprawdę?... (radośnie). Pojedziesz?—o, jak to dobrze! tak bardzo bałam

się ciebie samego we Lwowie zostawić. Nie dlatego, ażeby ci nie ufała... Enfin, skoro razem jedziemy, będę już spokojniejsza.

(Drży z zimna).

Stanio. Zimno ci?

M e r y. Pozwól mi zbliżyć się do pieca. (Wstają). Jacy my będziemy szczęśliwi. Zobaczysz, że i ty będziesz ze mną szczęśliwy. Powoli, powoli, dawny tryb twego życia zniknie jak zły sen... a jeżeli te damy, te... treflowe, kierowe i inne, chciałyby powrócić, to ja tak proszę, tak ślicznie proszę, że pewien pan odpowie im: „niemam czasu!“ a gdyby mimo to jeszcze chciały wrócić, to ja wiem co zrobię. Będę płakać.. a ktoś nie zechce, aby drugi ktoś płakał. (Po chwili). Dreszcz mnie przeszedł. (Zbliża się do pieca, przykłęka na poduszce, nagle dostrzega porozrzucane fotografie kobiece i listy. Bierze w rękę jedną fotografię szansonetki w trykotach i czyta). A mon bébé.

S t a n i o (zbliża się ażeby wziąć jej z rąk fotografię).

M e r y (upuszcza, wstaje wolno zarumieniona, z oczami spuszczone, idzie po rotundę).

S t a n i o. Odchodzisz?

M e r y (zakłopotana). Tak... pójdę!... Wołę.. wołę... wołę ztąd odejść..

Hr. C a s e r t a (zbliża się). Macie sanki?

M e r y. Tak! i Jakób na mnie czeka w sieni. Dowidzenia! Za kilka godzin na dworcu! (Podaje rękę hr. Casercie, potem zwraca się do Stania).

S t a n i o (zatrzymując ją). Mery, zanim się rozstaniemy, chcę ci powiedzieć jedno: chcę, żebyś wiedziała, że w tej chwili, ja cię kochałem. To nie idzie o to, że miłość moja dla ciebie zrodziła się niedawno i tak krótko trwała, lecz głównie, pamiętaj, że to była miłość prawdziwa i jedyna w mem życiu.

M e r y. Z tego coś powiedział zapamiętałam tylko jedno słowo... że mnie kochasz i to mi wystarcza... odchodzę, już nie zasnę... czekać będę ranka!... dowidzenia!

S t a n i o (tuląc ją do siebie). Bądź zdrowa Mery!

M e r y. Dowidzenia! (Po chwili już w progu). A zniszcz to wszystko! (Wskazuje na fotografie). Ja proszę. (Ochodzi, Stanio i hr. Caserta towarzyszą jej do przedpokoju, zamykają drzwi, wracają).

SCENA IV

STANIO. — HR. CASERTA.

Hr. C a s e r t a. Kiedy się zabijesz?

S t a n i o. Zaraz!...

Hr. C a s e r t a. Może ..

S t a n i o. Nie, nie... ani jednej chwili. Nie zniósłbym dłużej tej męczarni. Ja jestem w pozycyi skazanego na śmierć, który się obudził w nocy i słyszy, jak mu pod oknami stawiają srubienicę... Jak ja cierpię... jak ja strasznie cierpię! (Chodzi po pokoju, łamiąc ręce i drżąc cały). I ona jeszcze, po co ona tu przyszła? Byłbym umarł bez żalu, skończyłbym życie, żartując tak, jak żyłem na żart a teraz mi żal! żal! żal...

(Płacze nerwowo upadłszy na sofę)

Hr. C a s e r t a. Patrz na mnie. Ja mam także umrzeć a nie płaczę.

S t a n i o. Pan umierasz z własnej woli, ja pod przymusem. A zresztą i pan, gdy przyjdzie ta chwila, ta ostatnia chwila, ta ostatnia chwila... gdy pan tak stanie ze śmiercią twarz w twarz, jak ja w tej chwili i pana zimna krew opuści... i pan zrozumie co się ze mną dzieje!... (Po chwili ociera oczy, wlecze się do pieca, zbiera listy, fotografie i pali je). Ocalmy honor tych pań!... (Casserta siada naprzeciw niego na fotelu, bije w pół do czwartej). O czwartej się zabiję... Jeszcze pół godziny! ha! ha! całe pół godziny... do ogarnięcia wzrokiem nietylko mojej przeszłości, ale wszystkiego, z czego ludzie lepią sobie każdą minutę swego istnienia. Ja się nie trudziłem, ale inni, jak oni się trudzą, jak oni się trudzą a potem każdy ma

taką pół do czwartej — i o czwartej — pustka, nicość...

Hr. C a s e r t a. Czy nicość?

S t a n i o. Tego by jeszcze brakowało żeby się to jeszcze i dalej ciągnęło. (Chwila milczenia, nagle się wstrząsa, rzuca papieros i zakrywa twarz rękami). Boję się... (Milczenie. Zrywa się). Nie, nie! mogę... nie będę dłużej czekać, nie jestem wstanie... Nerwy moje nie wytrzymają... (Idzie do biurka, ma straszny wyraz twarzy, wargi mu drgają). Trzeba coś napisać, coś koniecznie napisać, bo to podobno jest taki zwyczaj... Ale do kogo? po co?

Hr. C a s e r t a. Do siostry.

S t a n i o (z wybuchem). Co? co jej napiszę? Żem ją okradł? że na swoją grę i rozpustę wydałem jej te biedne, te nędzne pieniądze? To jej napiszę?... O jakim ja psem byłem w życiu! (Do Caserty). Nie napiszę do niej nic. Proś ją pan o przebaczenie, ucałuj... Do Mery też nic nie napiszę... powiedziałem jej, gdy odchodziła. A teraz, idź pan!... niech się to skończy, niech się to nie wlecze... (Wyjmuje z szufladki biurka proszek). To strychnina... czy to wystarczy?...

(Hr. Caserta mimowoli odwraca głowę).

A zresztą, gdyby się za długo ciągnęło... jest i to (wyjmuje rewolwer). Idź pan...

Hr. Caserta. Bądź zdrów. (Obejmuje go i całuje długo).

Stanio. Idź!... idź!...

(Hr. Caserta wychodzi powoli. Stanio powraca i teraz już to co robi—robi jak automat—wsypuje proszek do szklanki, gasi lampę, odsłania firanki, tak, że księżyc oświeca otomanę. W tej chwili zegar bije czwartą. Stanio pije truciznę, idzie ku sofie, kładzie się, przykrywa futrem, leży twarzą ku oknom, kładzie obok siebie rewolwer i zamyka oczy).

(Długa chwila ciszy).

Kurtyna wolno spada.

K O N I E C .



Prawa autorskie do przedstawień scenicznych
wszystkich utworów, objętych „Teatrem Gabryeli
Zapolskiej“, na jej korzyść są zagwarantowane.





WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

101686

Biblioteka WSP Kielce



0226994